



Rosamunde Pilcher

OSTATNIE DNI LATA

Tytuł oryginalny:

The End of Summer



Dla Di i Johna

RS

Rozdział 1

- Przez całe lato pogoda była burzliwa i pochmurna, a promienie słońca otulały morskie mgły nieustannie napływające z Pacyfiku. Ale we wrześniu, jak to się często zdarza w Kalifornii, mgły zniknęły, cofając się daleko w głąb oceanu, gdzie rozpostarły się wzdłuż horyzontu posępną siną pręgą.

W głębi lądu, ponad pasem wybrzeża, prażyły się w słońcu pola pełne zbóż, pękających owoców, kukurydzy, karczochów i pomarańczowych dyni. Małe drewniane osiedla drzemały, obezwładnione upałem i zszarzałe, niczym przekłute szpilką okazy nocnych motyli. Urodzajne i żyzne równiny, ciągnące się na wschód aż do podnóża gór Sierra Nevada, przecinała zatłoczona i połyskująca lakierem milionów samochodów wielka autostrada Camino Real wiodąca na północ ku San Francisco, na południe zaś do Los Angeles.

Latem plaża była pusta, bo cypel Reef Point leżał na skraju wybrzeża i rzadko zaglądali tu zwykli wycieczkowicze. Po pierwsze, dlatego że wiodła do tego miejsca mało zachęcająca, bo nie utwardzona i niebezpieczna droga, po drugie zaś, z tego powodu, iż po jego przeciwnej stronie mieściło się niewielkie uzdrowisko La Carmella z uroczymi cienistymi ulicami, ekskluzywnym klubem country oraz nieskazitelnymi motelami. Każdy, kto miał trochę rozumu i dolarów, zatrzymywał się właśnie tam. Tylko żądni przygód śmiałkowie, golcy lub entuzjaści surfingu ryzykowali ostatnią milę i przedzierając się przez brudny trakt prowadzący w dół, przyjeżdżali nad tę wspaniałą, pustą, obmywaną sztormami zatokę.

Ale teraz, dzięki wspaniałej pogodzie i czystym falom oblewającym plażę, to miejsce wprost zakwitło ludźmi. Samochody wszystkich typów zjeżdżały ze wzgórza, by zaparkowawszy w cieniu pod cedrami, wyrzucać z siebie amatorów pikników i miłośników biwakowania oraz entuzjastów wodnych ślizgów, a także całe rodziny hippisów zmęczonych gwarem San Francisco i niczym wędrowne ptaki zdrażających na południe, ku Nowemu Meksykowi i słońcu. Owe wrześniowe tygodnie wabiły tu także studentów uniwersytetu w Santa Barbara, którzy swoimi starymi kabrioletami i ukwieconymi volkswagenami przywozili dziewczyny oraz kartony piwa w puszkach, a potem wałęsali się z wielkimi i wielobarwnymi deskami surfingowymi. Rozbijali małe obozy wzdłuż całej plaży, a powietrze wypełniało się ich głosami, śmiechem i zapachem olejku do opalania.

Mój ojciec, próbując w umówionym terminie napisać scenariusz, w niemożliwym nastroju oddawał się ciężkiej pracy. Nie zauważona przez niego wyniosłam się na plażę, biorąc ze sobą hamburgery i coca-colę, by mieć co jeść, książkę, by mieć co czytać, duży kąpielowy ręcznik, by było mi wygodnie i Rusty'ego, by nie doskwierał mi brak towarzystwa.

Rusty to pies. Mój pies. Brazowe, kudłate stworzenie nieokreślonej rasy, ale o wielkiej inteligencji. Kiedy wiosną sprowadziliśmy się tutaj, nie mieliśmy psa i Rusty, wypatrzywszy nas sobie, postanowił temu zaradzić. Wciąż wałęsał się wokół. Odganiałam go i płoszyłam, ojciec zaś ciskał w niego starymi kaloszami, lecz on - nie czując do nas żalu ani też nie okazując żadnej złości - ciągle wracał, by usiąść w odległości jarda lub dwóch od werandy, szczerzyć pysk w uśmiechu i merdać ogonem. Pewnego upalnego ranka, litując się nad tym zwierzęciem, dałam mu miskę zimnej wody. Wychleptał ją do ostatniej kropli, po czym usiadł, uśmiechnął się i znów puścił w ruch swój ogon. Następnego dnia rzuciłam mu starą kość. Wziął ją ode mnie uprzejmie, wyniósł, zakopał i po pięciu minutach był z powrotem. Znów radośnie merdał ogonem.

Ojciec wyszedł z domu i ponownie rzucił w niego butem, ale uczynił to bez większego zapału. Była to zwykła, niezbyt entuzjastyczna demonstracja siły. Rusty dobrze o tym wiedział i... przysunął się trochę bliżej.

- Jak sądzisz, czyj jest ten pies? - zapytałam ojca.

- Bóg jeden wie.

- Chyba myślisz, że należy do nas.

- Mylisz się - odpowiedział ojciec - on sądzi, że to my należymy do niego.

- Nie jest groźny, nie śmierdzi...

Ojciec podniósł wzrok znad jakiegoś pisma, które usiłował czytać.

- Próbujesz mi powiedzieć, że chciałabyś zatrzymać tę nędzną kreaturę?

- Mówię tylko, że... nie wiem... Nie wiem, jak się go pozbędziemy. ..

- Celnym strzałem.

- Och, nie!

- Z pewnością ma pchły. Rozniesie je po całym domu.

- Kupię mu obrozę przeciwpchelną.

Ojciec spojrział na mnie znad okularów. Widziałam, że zaczyna się śmiać!

- Proszę cię, pozwól mi go zatrzymać! Będę miała towarzystwo w czasie twoich nieobecności!

- Dobrze.

Szybko włożyłam jakieś buty i gwizdnawszy na psa pobiegłam do La Carmelli. Poczekałnia prowadząca do gabinetu weterynaryjnego zatłoczona była rozpieszczonymi pudłami i syjamskimi kotami oraz ich ekscentrycznymi właścicielami. Weterynarz zbadał Rusty'ego i stwierdziwszy, że jest w dobrej kondycji, zaszczepił swego nowego pacjenta, a mnie poinformował, gdzie mogę kupić przeciwpchelną obrozę. Zapłaciłam mu, kupiłam obrozę i udałam się do domu. Gdy dotarliśmy tam, ojciec wciąż czytał swój magazyn. Rusty grzecznie wszedł do środka i po chwili oczekiwania na zaproszenie do zajęcia miejsca, usiadł na starym dywaniku przed pustym kominkiem.

- Jak się wabi? - zapytał ojciec.

- Rusty - odpowiedziałam, ponieważ miałam kiedyś czarnowłosego psa o tym imieniu i teraz właśnie jako pierwsze przyszło mi do głowy.

Jego obecność w rodzinie nie budziła już żadnych wątpliwości, bo wydawało się, że należał do niej zawsze. Rusty chodził ze mną wszędzie. Lubił plażę i zawsze dokopywał się jakichś wspaniałych skarbów, które przynosił do domu, byśmy podziwiali jego znaleziska. Szczątki starych łodzi, plastikowe butelki po detergentach, długie i poskręcane pasma wodorostów. Czasem przynosił też rzeczy, których z pewnością nie wykopał: raz był to nowy but, innym razem szeroki ręcznik kąpielowy, kiedy indziej zaś - dziurawa piłka plażowa, którą mój ojciec musiał oddać jej małemu, splakanemu właścicielowi. Rusty lubił też pływać i choć ja potrafiłam pływać znacznie szybciej i dalej niż on, uparcie towarzyszył mi jak nieodłączny cień. Nic nie mogło go zniechęcić.

Tamtej soboty jak zwykle pływaliśmy. Ojciec, dotrzymawszy terminu, pojechał do Los Angeles, by osobiście dostarczyć scenariusz, a Rusty i ja dotrzymywaliśmy sobie towarzystwa - w wodzie i na lądzie - przez całe popołudnie, zbierając muszelki i bawiąc się kawałkami dryfującego drewna. Ale teraz zrobiło się chłodniej. Ubrałam się więc cieplej i siedzieliśmy obok siebie, obserwując ślizgających się na falach surferów.

Spędzili na wodzie cały dzień, ale miałam wrażenie, że nigdy się nie zmęczą. Przyklękając na swoich deskach, przeskakiwali przez przybrzeżne fale, by znaleźć się nad gładką, zieloną wodą. Tam czujni, cierpliwi, rysujący się na tle nieba niczym stado kormoranów, czekali na grzbiet fali, by ustawiwszy się pod właściwym kątem, ostatecznie ją

Okiełznać. Wybierali jakąś falę i utrzymywali się na niej, kiedy woda zaginała się, wznosiła w górę i pokazywała biały grzebień, gdy zaś z hukiem zwijała się ku dołowi, oni ruszali także, by płynąć w poprzek tej fali. Prawdziwy poemat równowagi, arogancji, pełen młodzieńczego zadufania... Jazda na fali, póki nie wsiąknie ona w piasek plaży, potem krótki, lekki bieg, ponowne sięgnięcie po deskę i powrót do morza, bo wodny narciarz wie, że następna fala, jeszcze większa i lepsza, właśnie

się zbliża, nadchodzi. Teraz jednak zachodziło słońce, a wkrótce zapadnie ciemność.

Jeden z tych chłopców przyciągnął szczególnie moją uwagę: jasnowłose, krótko ostrzyżony, bardzo opalony, w wąskich, sięgających do kolan szortach, tak samo niebieskich jak jego deska. Surfował wprost cudownie, w takim stylu, że wszyscy inni wyglądali jak niezdarni amatorzy. Ale teraz postanowił już chyba zakończyć dzień. Przepłynął swoją ostatnią falę, ostrożnie dotarł do brzegu, zszedł z deski i rzuciwszy długie spojrzenie na bladoróżowe wieczorne morze, odwrócił i podniósł deskę, a potem zaczął wchodzić na wydmy.

Patrzyłam w dal. Przeszedł koło mnie, zmierzając do znajdującej się kilka jardów dalej sterty starannie ułożonych, czekających na niego ubrań. Odłożył swoją deskę i sięgnął po leżącą na wierzchu owej sterty wypłowiałą i przepoconą koszulkę. Zerknęłam ponownie w stronę tego chłopaka, on zaś, przeciągnąwszy głowę przez otwór koszulki, patrzył prosto na mnie. Mówiąc ściśle: ukazałam się jego oczom.

Wydawał się rozbawiony.

- Cześć! - powiedział.

- Cześć!

Obciągnął koszulkę aż do bioder.

- Chcesz papierosa? - zapytał.

- Chętnie...

Pochylił się, wyjął z kieszeni pudełko i zapalniczkę. Idąc w moim kierunku, wyciągnął z tego pudełka jeden papieros dla mnie, a drugi dla siebie i zapalił obydwa. Usadowiwszy się obok, wyciągnął się następnie na całą długość i podpierając łokciami, leżał na plecach. Jego nogi, szyja i włosy pokryte były ziarenkami piasku. Miał niebieskie oczy i tę czystą, jasną urodę, którą ciągle jeszcze można było spotkać na kampusach amerykańskich uniwersytetów.

- Spędziłaś tu całe popołudnie, nie pływałaś...

- To prawda...

- Czemu nie przyłączyłaś się do nas?

- Nie mam deski surfingowej.
- Mogłabyś sobie kupić.
- Nie mam też pieniędzy.
- Więc pożycz jakąś.
- O ile wiem, nie ma tu nikogo, kto mógłby mi pożyczyć deskę.

Młody człowiek zmarszczył brwi.

- Jesteś Angielką, prawda?

- Tak.

- Przyjechałaś w odwiedziny?

- Nie, ja tu mieszkam.

- W Reef Point?

- Tak - skinęłam głową, wskazując szereg drewnianych domów widocznych nad linią piaszczystych wydmy.

- Jak się tu znalazłaś?

- Wynajęliśmy dom.

- My?

- Mój ojciec i ja.

- Dawno tu mieszkacie?

- Od wiosny.

- Ale nie spędzicie tu zimy.

Było to raczej stwierdzenie faktu niż pytanie. Nikt nie pozostaje w Reef Point na zimę. Tych domów nie zbudowano tak, by oparły się sztormom, również drogi stają się nieprzejezdne, wiatr zrywa kable telefoniczne, zawodzi elektryczność.

- Myślę, że tak. Chyba, że postanowimy stąd wyjechać. Był zdumiony.

- Jesteś hippiską lub... kimś w tym rodzaju? Wiedząc, jak wyglądam, nie mogłam mieć mu za złe tego pytania.

- Nie. Mój ojciec pisze scenariusze filmowe i teksty dla telewizji. Ale nie znosi Los Angeles i nie chce tam mieszkać... więc wynajęliśmy ten dom.

Zaintrygowało go to.

- A ty czym się zajmujesz?

Zaczęłam bawić się piaskiem, rozsypując go wokół i pozwalając mu płynąć przez palce.

- Niczym specjalnym. Robię zakupy, wyrzucam śmieci i staram się nie wpuszczać piasku za próg naszego domu.

- To twój pies?

- Tak.

- Jak mu na imię?

- Rusty.

- Rusty, hej, Rusty, chodź tu!

Rusty, nie odrywając wzroku od morza, skwitował jego awanse kiwnięciem głowy godnym Ich Królewskim Wysokościom. By zatuszować wyraźne luki w manierach mojego psa, zapytałam:

- A ty? Pochodzisz z Santa Barbara?

- Uhhh...

Chłopak nie chciał mówić o sobie. Wciąż pytał.

- Jak długo mieszkasz w Stanach? Ciagle masz bardzo, bardzo brytyjski akcent.

Uśmiechnęłam się uprzejmie, jakbym usłyszała kawał z brodą.

-Przyjechałam tu jako czternastolatka, więc...siedem lat. Mieszkam tu od siedmiu lat.

- W Kalifornii?

- Wszędzie. W Nowym Jorku, Chicago, San Francisco.

- Twój ojciec jest Amerykaninem?

- Nie. Po prostu lubi tu być. Napisał powieść, którą kupiła pewna wytwórnia filmowa, więc przyjechał do Hollywood, by przerobić ją na scenariusz.

- Nie bujasz? Czy ja o nim słyszałem? Jak się nazywa?

- Rufus Marsh.

- „Radość poranka”? Potwierdziłam.

- Boże, przeczytałem to od deski do deski jeszcze w szkole średniej. Ta książka była źródłem mojej edukacji seksualnej.

Spojrzał na mnie z nagłym zainteresowaniem. Jak zwykle, pomyślałam. Oni zawsze byli sympatyczni i całkiem uprzejmi, ale naprawdę interesowali się mną dopiero wtedy, gdy wspominałam książkę ojca. Przypuszczam, że miało to związek z moim wyglądem: z oczami przypominającymi sześciopensówki, rzęsami pozbawionymi jakiegokolwiek koloru i twarzą, która nigdy nie pokrywa się złotą opalenizną, zawsze zaś - setkami olbrzymich piegów. Prócz tego jestem też zbyt wysoka jak na dziewczynę i mam wystające kości policzkowe.

Cóż to za wspaniały facet.

Całkiem nowy wyraz malował się na jego twarzy; wyraz zakłopotania tymi pytaniami, których przez uprzejmość nie mógł mi zadać:

Jeśli jesteś córką Rufusa Marsha, jak możesz siedzieć na tej zapomnianej przez Boga i ludzi plaży w najlichszym zakątku Kalifornii, odziana w wypchane dżinsy i męską koszulę, które sto lat temu powinny znaleźć się na śmietniku, nie mając przy tym choćby tyle pieniędzy, by kupić sobie deskę surfingową?

Potem, jakby znał moje myśli, zapytał:

- Jakim jest człowiekiem? Nie pytam oczywiście o Rufusa Marsha w roli ojca.

- Nie wiem.

Nigdy nie opisywałam go nawet na własny użytek. Sięgnęłam po kolejną garść piasku i usypywałam miniaturowe wzgórze, w którego wierzchołek wcisnęłam papierosa, formując mały krater, niewielki wulkan z żarzącym się niedopałkiem w jego dymiącym sercu. Mężczyzna, który zawsze musi być w ruchu, który łatwo zdobywa przyjaciół i traci ich następnego dnia. Mężczyzna kłótlivy, nieustannie dyskutujący, utalentowany geniusz rzeczowości, ale całkowicie bezradny wobec małych problemów codziennego życia. Mężczyzna, który potrafi oczarować i rozwścieczyć. Paradoksalny mężczyzna.

- Nie wiem - powtórzyłam, spoglądając na chłopaka siedzącego obok mnie. Był miły.

- Chętnie zaprosiłabym cię do nas na piwo, wtedy mógłbyś go poznać i przekonać się, jakim jest człowiekiem. Ale dziś ojciec pojechał do Los Angeles i będzie tu dopiero jutro rano.

Zastanowił się nad tym, w zamyśleniu drapiąc w tył głowy i wywołując owym odruchowym gestem małą burzę piaskową.

- Coś ci powiem - rzekł po namyśle - wrócę tu za tydzień, jeśli pogoda się utrzyma.

Uśmiechnęłam się.

- Naprawdę?

- Będę cię wypatrywać.

- Dobrze.

- Przywiozę zapasową deskę. Możesz na niej pływać.

- Nie musisz mnie przekupywać - odpowiedziałam. Udawał obrażonego.

- Przekupywać?! O czym ty mówisz?

- Przedstawię cię ojcu w przyszłym tygodniu. Lubi nowe twarze wokół siebie.

- Nie przekupywałem cię. Daję słowo.

Ustałam. Poza tym chciałam popływać na tej desce.

- Wiem - powiedziałam.

Uśmiechnął się szeroko i zgasił papierosa. Tonące za horyzontem słońce przybierało teraz kształt i kolor dużej pomarańczowej dyni. Mrużąc oczy w oślepiającym blasku usiadł prosto, ziewnął ukradkiem, a potem się przeciągnął.

- Muszę iść - powiedział.

Podniósł się i stojąc nade mną, zastanawiał nad czymś przez chwilę. Miałam wrażenie, że jego cień rozciąga się w nieskończoność.

- No to cześć!

- Cześć.

- Do niedzieli. Jesteśmy umówieni. Nie zapomnij!

- Postaram się...

Odwrócił się, wziął resztę rzeczy, a potem pomachawszy mi ręką na pożegnanie, odszedł biegnącym wzdłuż plaży, oznaczonym starymi cedrami traktem, który prowadził do szosy.

Obserwując chłopaka uświadomiłam sobie, że nawet nie znam jego imienia, on zaś - co gorsze - nie zadał sobie trudu, by zapytać o moje. Byłam po prostu córką Rufusa Marsha. Ale mimo to, w następną niedzielę, jeśli pogoda się utrzyma, być może tu wróci. Jeśli pogoda się utrzyma... Zawsze było coś, na co warto czekać.

Rozdział 2

To Sam Carter sprawił, że zamieszkaliśmy w Reef Point. Sam był agentem mojego ojca w Los Angeles i w odruchu desperacji zaproponował, że znajdzie nam coś niedrogiego gdzie indziej. Los Angeles i mój ojciec czuli do siebie tak głęboką antypatię, że mieszkając tam, nie był zdolny do napisania ani jednego dającego się sprzedać słowa, co Samowi groziło utratą zarówno cennych klientów jak i pieniędzy.

- Jest taki dom w Reef Point - powiedział. - To zupełna prowincja, ale prawdziwie spokojny zakątek świata - dodał, wyczarowując przed nami obrazy czegoś w rodzaju gauguinowskiego raj.

Wydzierżawiwszy więc ten domek, załadowaliśmy cały nasz żalośnie skromny ziemski dobytek do ojcowskiego, starego, poobijanego dodge'a i zostawiając za sobą smog Los Angeles i tamtejszą nieustanną pogoń za sukcesem, przyjechaliśmy tutaj, ciesząc się jak dzieci pierwszym zapachem morza.

Początkowo radowało nas wszystko. Po zgiełku miasta cudownie było budzić się na głosy mew i nie kończący się łoskot fal. Jak wspaniale jest wczesnym rankiem spacerować plażą, oglądać wschód słońca nad wzgórzami, rozwieszać na sznurkach bieliznę, a potem patrzeć, jak faluje i wzdyma się na morskim wietrze, biała niczym nowe żagle.

Nasze gospodarstwo z konieczności było nader nieskomplikowane; po pierwsze, nigdy nie byłam dobrą gospodynią, po drugie zaś, w Reef Point znajdował się tylko jeden sklep. Był to typowy amerykański drug-store, który moja mieszkająca w Szkocji babcia nazwałaby sklepem „ogólnym”, ponieważ sprzedawano w nim wszystko: od pozwoleń na broń do kuchennych fartuchów, od mrożonych dań obiadowych po chusteczki higieniczne. Bill i Myrtle prowadzili ten sklep bez entuzjazmu, za to w sposób zabierający klientom dużo czasu. Ich królestwo zawsze wydawało się wymiecione ze świeżych warzyw, owoców, kurczaków i jajek, które były właśnie tymi artykułami, jakie chciałam kupować. W ciągu tego lata polubiliśmy więc konserwowaną paprykę i mrożoną pizzę oraz wszystkie gatunki lodów. Myrtle najwyraźniej musiała je wprost uwielbiać, na cd wskazywała jej olbrzymia tusza, opięte błękitnymi dżinsami obfite biodra i uda oraz podobne do szynek bicepsy, podkreślane przez dziewczęce bluzeczki na ramiączkach, które nosiła z upodobaniem.

Teraz, po sześciu miesiącach w Reef Point, byłam coraz bardziej niepokojna. Jak długo utrzyma się ta wspaniała pogoda Indiańskiego Lata? Być może przez miesiąc... Potem zaczną się prawdziwe sztormy,

ciemność zapadać będzie wcześniej, nadejdą deszcze, błoto i wiatr. Nasz dom nie miał centralnego ogrzewania, tylko olbrzymi, spalający straszne ilości drewna kominek w pełnym przeciągów salonie. Tęskniłam do zwykłych wiader wypełnionych węglem, ale tu węgla nie było. Ilekroć wracałam z plaży, ciągnęłam za sobą - niczym któraś z pierwszych osadniczek - jakiś pal lub gałąź i dorzucałam je do sterty pięttrzącej się za tylną werandą. Ta sterta przybierała kolosalne rozmiary, ale ja wiedziałam, że kiedyś zateśniemy do ognia na kominku i wtedy nasz ogrodowy stos zacznie niknąć w oczach.

Nasz domek, chroniony przed morskim wiatrem jedynie niewielką piaszczystą wydumą, leżał tuż za plażą. Zbudowany z drewna, spłowiwały do srebrzystej szarości, ustawiony był na palach tak, że zarówno na frontową jak i tylną werandę wchodziło się po kilku stopniach. W środku mieścił się duży salon z szerokimi oknami wychodzącymi na ocean, niewielka ciasna kuchnia, łazienka bez wanny tylko z prysznicem i dwie sypialnie: większa przeznaczona dla pana domu, w której sypiał mój ojciec, i mniejsza - z wnęką -zbudowana z myślą albo o małym dziecku, albo nieważnym, podstarzałym krewnym, którą zajęłam ja. Umieblowano go w tym mdłym, nieciekawym stylu siedzib lotniskowych, do których wszystkie meble zwożono z innych, większych domów. Łóżko ojca było gigantycznym mosiężnym potworem bez gałek, za to z kompletem sprężyn, które skrzypiały, ilekroć się obrócił. Wiszące w moim pokoju ozdobne złożone lustro, które zdawało się pochodzić z wiktoriańskiego burdelu, ukazywało mi obraz topielicy pokrytej czarnymi krostami. Salon był niewiele lepszy: wykrzywione stare fotele skrywały swe zniszczone obicia pod szydelkowymi „afganami”, dywan przed kominkiem świecił dziurami, a końskie włosie, którym wypchano pozostałe krzesła, było o włos od zwycięstwa w bitwie o wydostanie się z nich. Stał tam tylko jeden stół, którego połowę ojciec zamienił w biurko, więc posiłki musieliśmy spożywać - ściskając łokcie - przy jego drugim końcu. Najlepsza rzecz w naszym domu to parapet okienny biegnący przez całą szerokość tego pokoju. Wyściełany gąbką, zarzucony ciepłymi pledami i małymi

poduszczkami, niczym stara sofa z dziecinnego pokoju, zachęcał, by się na nim zwinąć z książką w ręku lub oglądać zachód słońca, albo po prostu rozmyślać.

Było to jednak odludne miejsce. Nocą wiatr uderzał w okna i ze skowitem wdzierał się przez szpary. Pokój, wypełniony dziwnym szelestem i skrzypieniem, do złudzenia przypominał wtedy statek na morzu. Gdy ojciec był w domu, nie miało to żadnego znaczenia, ale kiedy zostawałam sama, moja wyobraźnia, karmiona codziennymi opowieściami o przemocy czytowanymi w lokalnej prasie, zaczynała pracować. Dom zdawał się kruchy, ani jeden zamek wejściowy lub okienny nie powstrzymałby stanowczego intruza. Lato miało się ku końcowi i gdy mieszkańcy innych domków pakowali się i rozjeżdżali do swoich siedzib, nasz stawał się całkowicie osamotniony. Od Billa i Myrtle dzieliło nas dobre ćwierć mili, a nasz towarzyski telefon nie zawsze działał sprawnie. Dom miał niewiele szans, więc lepiej było nie myśleć o niebezpieczeństwach.

Nigdy nie rozmawiałam z ojcem o tych obawach. Musiał przede wszystkim uporać się ze swoją pracą, a poza tym należał do ludzi naprawdę spostrzegawczych. Jestem pewna, że wiedział, iż potrafię sama doprowadzić się do stanu najwyższego nerwowego napięcia, co było jednym z powodów, dla których pozwolił mi zatrzymać Rusty'ego.

Tego wieczoru, po słonecznym dniu na zatłoczonej plaży i spotkaniu ze studentem z Santa Barbara, nasz dom sprawiał wrażenie szczególnie osamotnionego.

Słońce ześliznęło się za horyzont, wieczorna bryza rozpryskiwała się łagodnie. Wkrótce zapadnie ciemność, więc dla dodania sobie otuchy rozpałam ogień, a potem wzięłam prysznic, umyłam włosy i otuliwszy się ręcznikiem, poszłam do swojego pokoju po czyste dżinsy i stary biały sweter, który kiedyś - nim niechcący wyprałam go tak niefortunnie, że zmienił rozmiar - należał do ojca.

Pod burdelowym lustrem znajdowała się politurowana komoda, która musiała pełnić rolę toaletki. Na niej, z braku innego miejsca, ustawiłam

fotografie. Było ich wiele i zajmowały sporą przestrzeń. Na ogół nie poświęcałam im zbyt wiele uwagi, ale ten wieczór różnił się od innych i rozczesując długie pasma mokrych włosów, studiowałam te zdjęcia uważnie, jedno po drugim, jakby należały do osoby, którą ledwie znałam i pokazywały miejsca, których nigdy nie widziałam.

Ujęty w srebrną ramkę klasyczny portret mojej matki... Nagie ramiona, diamenty w uszach, fryzura z salonu Elizabeth Arden... Lubiłam tę fotografię, ale inaczej zapamiętałam swoją matkę. Oto lepsze, powiększone zdjęcie z pewnego pikniku: ubrana w spódnicę w szkocką kratę, siedząc do pasa we wrzosach, zaśmiewa się, jakby właśnie zdarzyło[^] się coś wesołego. Następny eksponat tej kolekcji to montaż, którym wypełniłam obie strony dużej, składanej ramki ze skóry. Posiadłość Elvie: stary, biały dom wśród modrzewi i sosny na tle wznoszącego się za nim wzgórza. Migotliwy blask jeziora na skraju łąki. Babcia stojąca w otwartym oknie z nieodłącznym sekatorem w dłoni. Kupiona przeze mnie na pocztę w Thrumbo kolorowa widokówka z jeziorem Elvie. Jeszcze jeden piknik; wspólne zdjęcie obojga rodziców na tle naszego starego samochodu. Gruby, biało-złoty spaniel siedzący na stopach mamy.

Są też fotografie mojego kuzyna Sinclaira. Jest ich tu bardzo dużo. Sinclair ze swym pierwszym pstrągiem. Sinclair wystrojony w kilt na czele jakiejś wycieczki. Sinclair w białej koszulce kapitana szkolnej drużyny krykieterów. Sinclair na nartach. Sinclair za kierownicą swojego samochodu. Sinclair w papierowym kapeluszu, najwyraźniej lekko wstawiony, na jakimś balu sylwestrowym. Na tym zdjęciu obejmuje ramieniem jakąś ładną brunetkę, ale tak je ustawiłam, by nie było widać tej dziewczyny.

Sinclair to bratanek mojej matki. Jego ojciec, Aylwyn, ożenił się - wszyscy mówili, że zbyt młodo - z dziewczyną noszącą imię Sylvia. Rodzina dezaprobatą, z jaką przyjęto jego wybór, okazała się niestety uzasadniona, ponieważ Sylvia - szybko znudzony się młodym mężem i synkiem - opuściła ich obu i odeszła, by zamieszkać z człowiekiem, który handlował nieruchomościami na Balearach. Gdy minął pierwszy szok,

wszyscy zgodzili się, że była to najlepsza rzecz, jaka mogła się zdarzyć, szczególnie dla Sinclaira, który został oddany pod opiekę babci i wychowywany w doskonałych warunkach w Elvie. Moim zdaniem Sinclair zawsze wydawał się mieć wszystko, co najlepsze.

Jego ojciec, wujek Aylwyn, w ogóle nie zapisał się w mej pamięci. Gdy byłam bardzo mała, wyjechał do Kanady. Przymuszczałnie przyjeżdżał od czasu do czasu, by odwiedzić swoją matkę i syna, ale nigdy nie widziałam go w Elvie. Interesowało mnie w związku z nim tylko jedno: czy przyśle mi indiański pióropusz. Przez lata chyba ze sto razy czyniłam taką sugestię, ale nigdy nic z tego nie wyszło.

I tak Sinclair został właściwie dzieckiem mojej babci. Nie przypominam sobie takiej chwili, w której nie byłabym w nim mniej lub bardziej zakochana. Sześć lat starszy od« mnie był życiowym, przewodnikiem mojego dzieciństwa. Nadzwyczajnie mądry i bezgranicznie odważny. To on nauczył mnie wiązać haczyki na wędce, huścić się na trapezie serwować piłkę krykietową. Razem pływałam i jeździliśmy na sankach, rozpalaliśmy zakazane ogniska, budowaliśmy szałas i w starej, przeciekającej łodzi bawiliśmy się w piratów.

Gdy po raz pierwszy wyjechałam do Ameryki, pisywałam do niego regularnie, ale ostatecznie zniechęcona zostałam brakiem odpowiedzi. Wkrótce nasza korespondencja ograniczyła się do świątecznych kartek i życzeń urodzinowych. Wiadomości o nim dostawałam od babci i także ona sprawiła, że otrzymałam tę fotografię z sylwestrowego przyjęcia.

Po śmierci mojej matki, babcia - jakby mało jej było Sinclaira - również i mnie zaoferowała swój dom.

- Rufusie, dlaczego nie zostawisz tego dziecka ze mną? To pytanie padło zaraz po pogrzebie, gdy wróciwszy do Elvie, odłożyła na bok smutek, by w swym zwykłym praktycznym stylu przedyskutować przyszłość. Ta dyskusja nie była przeznaczona dla moich uszu, ale siedząc na schodach słyszałam ich głosy, które docierały do mnie wyraźnie zza zamkniętych drzwi biblioteki.

- Bo jedno dziecko w twoich rękach to aż nadto.

-Ale ja tak bardzo chciałabym mieć Jane... miałabym dzięki niej także towarzystwo...

- Czyż to nie jest odrobinę samolubne?

- Nie sądzę. Poza tym, Rufusie, powinieneś już teraz po myśleć o jej życiu, jej przyszłości...

Z ust ojca padło tylko jedno bardzo wulgarnie słowo. Byłam przerażona; nie tyle owym słowem, ile faktem, iż skierował je do babci. Zastanawiałam się, czy nie był pijany..

Ignorując ten incydent, ale nie rezygnując ze swego stylu prawdziwej damy, babcia mówiła dalej, lecz jej głos wydawał się teraz zduszony, jak zwykle wtedy, gdy zaczynał ogarniać ją gniew.

- Dopiero co powiedziałaś, że jedziesz do Ameryki, by na podstawie swej książki pisać scenariusz. Nie możesz ciągnąć tam ze sobą czternaścieletniej dziewczynki.

- Dlaczego nie?

- A co z jej nauką?

- W Ameryce także są szkoły.

- Nie sprawiłoby mi to żadnego kłopotu... Póki się nie zadomowisz, nim nie znajdziesz mieszkania...

Wstając ojciec z hałasem odsunął krzesło. Usłyszałam jego szybkie kroki.

- A wtedy - powiedział - poślę po Jane, a ty wsadzisz ją do najbliższego samolotu?

- Oczywiście.

- Wiesz, że to się nie uda.

- Dlaczego nie miałyby się udać?

- Bo jeśli zostawię tu Jane, choćby na krótko, Elvie stanie się jej domem, którego nigdy nie zechce opuścić.

- Więc dla jej dobra...

- Dla jej dobra zabieram ją ze sobą.

Zapadła długa cisza. Potem znów usłyszałam głos babci:

- To nie jest jedyny powód, czyż nie, Rufusie? Zawahał się, jakby nie chciał jej urazić.

- Nie - powiedział w końcu.

- Rozważywszy wszystko, wciąż myślę, że popełniasz błąd.

- Jeśli nawet go popełniam, to mój własny błąd. Podobnie ona jest moim własnym dzieckiem. I chcę ją mieć przy sobie.

Usłyszałam wystarczająco dużo. Wstałam i ciemnymi schodami pobiegłam na górę. Kiedy znalazłam się w swoim pokoju, upadłam na łóżko i zalałam się rzewnymi łzami, bo opuszczałam Elvie... bo nigdy już nie zobaczę Sinclaira... bo dwoje ludzi, których kochałam najbardziej na świecie, toczyło o mnie wojnę...

Oczywiście pisałam do babci, a ona odpowiadała listami, w których odnajdywałam wszystkie dźwięki i zapachy El vie.

Potem, po roku lub dwóch, jakie upłynęły od mojego wyjazdu, w jednym z listów zapytała:

Dlaczego nie wracasz do Szkocji? Choćby na krótkie wakacje, chociaż na miesiąc. Strasznie za tobą tęsknimy. Tyle byś tu miała do zobaczenia. Zasadziłam nowe gatunki pnących róż. Sinclair będzie tu w sierpniu. Ma małe mieszkanie w Earls Court. Niedawno zaprosił mnie na obiad, dzięki czemu byłam więc ostatnio w mieście. Jeśli trudno ci zapłacić za przelot, wiesz przecież, że wystarczy, byś mi o tym powiedziała, a polecę panu Bembridge z biura podróży, by wystąpił ci bilet w obie strony. Porozmawiaj o tym ze swoim ojcem.

Myśl o spędzeniu sierpnia w Elvie, z Sinclairem, nie dawała mi spokoju, ale nie mogłam porozmawiać o tym z ojcem, bo pamiętając podsłuchaną niegdyś gniewną dyskusję w bibliotece, nie sądziłam, by pozwolił mi tam jechać.

Wydawało mi się też, że nie ma ani czasu, ani okazji, by udać się w taką podróż. Powoli stawaliśmy się nomadami: ledwie zdołaliśmy zado-
mówić się w jakimś miejscu, nadchodził czas, by przenieść się gdzie

indziej. Czasem bywaliśmy zamożni, częściej jednak - splukani. Ojcu, pozbawionemu hamującej go ręki mojej matki, pieniądze wprost przeciekały przez palce. Mieszkaliśmy w hollywoodzkich rezydencjach i w motelach, w apartamentach przy Piątej Alei i w brudnych czynszowych mieszkaniach.

Patrząc z perspektywy lat, można było odnieść wrażenie, że cały ten okres spędziliśmy na podróżowaniu po Ameryce i że nigdy nie zdołamy się gdziekolwiek osiedlić na stałe. Obraz Elvie przybladł i stał się nierealny, jakby

wody jeziora Elvie wezbrały i pochłonęły całą posiadłość. Musiałam usilnie sobie wmawiać, że wciąż tam jest, zamieszкана przez ludzi, którzy byli częścią mnie i których kochałam. Nie zatopiona, lecz utracona na zawsze, wyblakła, z trudem dała się dostrzec przez głębokie wody jakiejś strasznej klęski żywiołowej.

U moich stóp zaskowyczał Rusty. Spojrzałam w dół i przez chwilę - jak daleko stąd musiałam przebywać przez tę chwilę - nie potrafiłam sobie przypomnieć, kim on jest i co tu robi. Jego skowyt - niczym trzask mechanizmu domowego projektora, który zaciał się w środku filmu - sprawił, iż wróciłam na ziemię. Uświadomiłam sobie, że moje włosy są już prawie suche, Rusty jest głodny i upomina się o kolację, a i ja także już zgłodniałam. Odłożyłam więc grzebień, przestałam myśleć o Elvie i dorzuciwszy drewna do ognia, zaczęłam szperać w lodówce szukając czegoś, co moglibyśmy zjeść.

* * *

Dochodziła dziewiąta, gdy usłyszałam samochód, który zjeżdżał ze wzgórza drogą wiodącą z La Carmelli. Usłyszałam go, ponieważ zbliżał się tak, jak zwykły to robić wszystkie samochody - na pierwszym biegu - a także dlatego, że byłam sama i mój słuch podświadomie łowił każdy, nawet najslabszy, nieznaną dźwięk.

Czytałam książkę i przewróciwszy stronę zamarłam w bezruchu, nadstawiając uszu. Rusty wyczuł to i podniósł się błyskawicznie, ale

bardzo spokojnie, jakby nie chciał niczego zakłócić. Nasłuchiwaaliśmy razem. Kłoda drewna ześlizgnęła się do ognia; w oddali huczały fale. Samochód zjeżdżał ze wzgórza.

Pomyślałam: to Myrtle i Bill. Byli w kinie w La Carmelli. Ale ten samochód nie zatrzymał się przy ich sklepie. Jechał dalej i tocząc się na pierwszym biegu, minął pole campingowe, a teraz posuwał się odludną drogą, która wiodła tylko do nas.

Ojciec? Miał przecież wrócić dopiero jutro wieczorem. Młody człowiek, którego poznałam dzisiaj, wraca na szklanek piwa? Jakiś włóczęga? Zbiegły więzień? Maniak seksualny?

Zerwałam się z miejsca i rzuciwszy książkę na dywanik przed kominkiem, pobiegłam sprawdzić zamki w drzwiach. Obydwa zamknięte. Ale w naszym domu nie było firanek i każdy, zaglądając do środka, mógł zobaczyć mnie, ale ja nie mogłam dostrzec nikogo. W szalonym strachu rzuciłam się do gaszenia wszystkich świateł, ale ogień jasno płonący na kominku napełniał salon migotliwym blaskiem, który odbijając się na ścianach i meblach, przydawał starym krzesłom drapieżnego wyglądu.

Zbliżające się światła przenikały panującą na zewnątrz ciemność. Teraz mogłam już dostrzec samochód, cicho toczący się po wyschniętych koleinach drogi. Przejechał obok ostatniego w naszym sąsiedztwie, opustoszałego już domku i zatrzymał łagodnie na podjeździe obok werandy. To nie był mój ojciec.

Szeptem przywołałam Rusty'ego, by potrzymać jego obrożę i poczuć ciepło miękkiej brązowej sierści. Warczenie i pomruki wydobywały się z głębi jego gardła, ale nie zaszczekał. Oboje usłyszeliśmy, jak silnik samochodu zgasł, drzwiczki otworzyły się, a następnie zamknęły z trzaskiem. Po chwili ciszy doszedł nas miękki odgłos kroków stawianych na piaszczystym gruncie oddzielającym naszą werandę od drogi, a potem pukanie do drzwi.

Słyszając, jak wypuszczam tłumiony oddech, Rusty wyrwał się z mego uścisku i z podniesioną do góry głową rzucił się do przodu, by chwycić to, co było na zewnątrz.

- Rusty! - Pobiegłam za nim, ale pies zmierzał do drzwi, i nie przestawał czekać! - Rusty, nie ruszaj... Rusty!

Chwyciłam go za obroź i odciągnęłam od drzwi, ale on wciąż ujadał. Robił to tak głośno i zawzięcie, że przyszło mi na myśl, iż być może to najlepsza rzecz, jaka mogła się zdażyć. Opanowałam się i dałam mu klapsa, po którym się w końcu uspokoił, a następnie się wyprostowałam. Cień, jaki rzucałam w świetle kominka, tańczył na zamkniętych drzwiach.

Przełknęłam ślinę, wzięłam głęboki wdech i głosem tak stanowczym, i zdecydowanym, na jaki tylko mogłam się zdobyć, zapytałam:

- Kto tam?

- Przepraszam, że panią niepokoję. Szukam domu pana Marsha - odpowiedział mi męski głos.

Jakiś znajomy ojca? A może to tylko pretekst, by dostać się do środka? Wahałam się. Powtórzył pytanie.

- Czy tu mieszka pan Rufus Marsh? -Tak.

- Czy zastałem go w domu? Kolejny podstęp?

- Dlaczego pyta pan o niego?

- No cóż, powiedziano mi, że tu właśnie mogę go znaleźć.

Zastanawiałam się, co robić, gdy całkiem innym głosem zapytał:

- Czy mówię z Jane?

Nie ma nic gorszego, niż zdradzenie obcemu mężczyźnie swego imienia. W jego głosie było coś... mimo dokładnie zamkniętych drzwi... coś...

- Tak, to ja - odpowiedziałam.

- Czy pani ojciec jest w domu?

- Nie, wyjechał do Los Angeles. Kim pan jest?

-Nazywam się David Stewart... Ja... Doprawdy, dość trudno rozmawiać mi przez drzwi...

Tym, co sprawiło, że odciągnęłam zasuwę i otworzyłam mu drzwi, nim skończył zdanie - co mogło wydawać się szaleństwem - był sposób, w jaki wymówił swe nazwisko. Stewart. Amerykanin uczyniłby to z innym akcentem... Stoowart. On wypowiedział je w sposób, w jaki robiła

to moja babcia, nie był więc Amerykaninem. Przybywał zza oceanu, a sądząc z nazwiska - prawdopodobnie pochodził ze Szkocji.

Przypuszczam, iż wyobraziłam sobie kogoś, kogo znałam, ale okazało się, że nie widziałam go nigdy w życiu. Stał przede mną w ciagle palących się reflektorach swego samochodu i tylko blask bijący z kominka rozjaśniał jego twarz. Nosił okulary w rogowej oprawie i był wysoki... wyższy niż ja. Patrzyliśmy na siebie szeroko otwartymi oczami; on zaskoczony nagłą zmianą mojej taktyki, a ja ciągle zalana wielką falą czystej furii. Nic nie doprowadza mnie do większej złości, niż to, że ktoś mnie przestraszy. Wtedy byłam bliska szału.

- Jak pan śmie przychodzić tu, zakradać się w środku nocy jak...? zapytałam głosem tak ostrym, że wydawało mi się, iż nad nim nie panuję.

- Jest dopiero dziewiąta, nie miałem zamiaru się zakradać - odpowiedział dość rozsądnie.

- Mógł pan przecież zatelefonować i powiadomić mnie o swoim przyjeździe.

- Nie mogłem znaleźć w książce telefonicznej państwa numeru. Nie uczynił żadnego ruchu, by wejść do środka. Rusty nie spuszczał z niego groźnego wzroku. - Nie miałem pojęcia, że będzie pani sama i nie oczekiwałem tego.

Moja pasja powoli stygła i czułam się nieco zawstydzona owym nagłym wybuchem.

- No cóż... skoro pan tu jest, proszę wejść. - Cofnęłam się i sięgnęłam do kontaktu. W pokoju zapaliło się zimne, jasne światło elektryczne.

Ciągle się wahał.

- Nie chce pani zobaczyć jakichś dokumentów... mojego paszportu albo karty kredytowej?

Zauważywszy błysk rozbawienia za okularami, spojrzałam na niego gniewnie, zastanawiając się, co też wydawało mu się tak cholernie śmieszne.

- Gdyby mieszkał pan tu tak długo jak ja, także nie otwierałby pan drzwi żadnemu skradającemu się włóczędze.

- Zanim ten skradający się włóczęga wejdzie do środka, powinien chyba wyłączyć światła w swoim samochodzie. Zostawię tylko tyle, bym mógł widzieć drogę.

Nie czekając na skwapliwą odpowiedź, której bym mu udzieliła, wróciłam do samochodu. Pozostawiłam otwarte drzwi, podeszłam do kominka i ułożyłam w nim następną kłodę drewna. Zauważyłam, że trzęsą mi się ręce, a serce wali jak młot. Rozprostowałam leżący przed kominkiem dywanik, kopnęłam kość Rusty'ego pod krzesło i właśnie zapalałam papierosa, gdy mój nieoczekiwany gość wszedł do wnętrza, zamykając za sobą drzwi.

Odwrociłam ku niemu twarz. Miał w sobie coś mrocznego. Był szczupłym mężczyzną o jasnej cerze i czarnych włosach, jakie posiada większość górali. W jakiś szczególny sposób przypominał nauczyciela. Nosił gładki tweedowy garnitur, lekko podniszczony na łokciach, kolanach oraz przy dziurkach od guzików, koszulę w biało-brązowe paski i ciemnozielony krawat. Wyglądał jak dyrektor szkoły albo profesor jakichś nieznanymi nauk. Trudno było określić jego wiek. Równie dobrze mógł mieć trzydzieści jak i pięćdziesiąt lat.

- Jak się pani teraz czuje? - zapytał.

- Dziękuję, dobrze - odpowiedziałam, ale moje ręce ciągle jeszcze drżały i on to zauważył.

- Chyba nie zaszkodziłaby pani odrobina alkoholu.

- Nie wiem, czy jest coś w domu.

- Gdzie moglibyśmy to sprawdzić?

- Może pod parapetem?

Rozejrzał się wokół, otworzył kredens i poszperawszy po omacku ręką obsypaną pyłkami kurzu, wydobył z niego ćwierć butelki whisky.

- Niezły trunek. Brak nam tylko szklanek.

Przyniosłam je z kuchni wraz z dzbankiem wody i kostkami lodu, które wyjęłam z lodówki. Patrzyłam, jak przygotowuje drinki. Wyglądały podejrzanie mocno.

- Nie lubię whisky.
- Proszę to wypić jak lekarstwo - rzekł, podając mi szklanke.
- Nie chcę się truć.
- Nie otruje się pani.

To było niezłe. Whisky pachniała dymem i była cudownie rozgrzewająca. Pokrzepiona i zakłopotana jednocześnie swoim niemądrym zachowaniem, uśmiechnęłam się pojednawczo. Odwzajemnił się szerokim uśmiechem.

- Czemu nie usiadzimy?

Usiedliśmy więc; ja na dywanie, on zaś na skraju ojcowskiego fotela, z rękami zwieszonymi między kolanami i szklanke obok stóp.

- Zapytam z ciekawości: co sprawiło, że nagle otworzyła pani drzwi?
- Sposób, w jaki wypowiedział pan swoje nazwisko: Stewart. Pochodzi pan ze Szkocji, prawda?

- Tak.
- A dokładniej...?
- Z Caple Bridge.
- Ależ to nieopodal Elvie!
- Tak. Widzi pani, reprezentuję firmę „Ramsay McKen-zie i King”.
- To adwokaci mojej babci!
- W rzeczy samej.
- Ale pana sobie nie przypominam.
- Pracuję tam dopiero od pięciu lat.

Poczułam dziwny chłód w sercu, ale odważyłam się zapytać:

- Nie stało się nic... złego?
- Nic złego. - Jego głos brzmiał uspokajająco.
- Więc dlaczego pan przyjechał?
- Z powodu kilku listów - odpowiedział David Stewart -listów, które pozostały bez odpowiedzi.

Rozdział 3

Wie rozumiem... - powiedziałam po chwili.

- Przyjechałem tu z powodu kilku listów, ściślej mówiąc z powodu czterech listów. Trzech od samej pani Bailey i jednego ode mnie, napisanego w jej imieniu.

- Napisanych komu? - Nie była to pora na troskę o poprawność gramatyczną.

- Napisanych do pani ojca.

- Kiedy?

- W ciągu ostatnich dwóch miesięcy.

- Wysłał pan te listy tutaj? Pytam o to, bo przeprowa dzaliśmy się wielokrotnie.

- Przecież pani sama pisała do babci, podając jej ten adres.

To prawda. Zawsze informowałam ją o każdej przeprowadzce. Rzuciłam do kominka w połowie tylko wypalonego papierosa i próbowałam oswoić się z tą szczególną sytuacją. Mój ojciec miał liczne wady, ale nie był człowiekiem skrytym. Reagował gwałtownie i nieskończenie długo, cały mi dniami głośno narzekając, jeśli cokolwiek go irytowało lub odrywało od pracy. Niczego jednak nie słyszałam o jakichkolwiek listach.

Stewart próbował podsunać mi jakąś myśl.

- Nie widziała pani żadnych listów?

- Nie. Nic w tym jednak dziwnego, bo ojciec codziennie sam odbiera pocztę, która przychodzi tutaj do sklepu.

- Może nigdy ich nie otworzył?

To także nie leżało w jego charakterze. Ojciec zawsze otwierał listy. Niekoniecznie je czytał, ale zawsze cieszył się na myśl, że w kopercie może być czek.

- Nie, nie zrobiłby tego - odpowiedziałam i nerwowo przelękając ślinę, odgarnęłam włosy, które opadały mi na twarz.

- Czego dotyczyły te listy? Czy też może nie wie pan...

- Oczywiście, że wiem...

Jego głos brzmiał urzędowo. Bez trudu można było wyobrazić go sobie pochylonego nad staromodnym biurkiem i rzeczowo, bez emocji, radzącego sobie ze wszystkimi niepojętymi zawilóściami testamentów, oświadczeń, aktów sprzedaży, dzierżaw i zleceń.

-Pani babcia pragnie, by wróciła pani do Szkocji...koszty wizyty...

- Wiem, że tego pragnie, zawsze pisze o tym w swoich listach.

Uniósł brwi.

- Czy pani nie chce tam pojechać? -Tak... naturalnie... chcę...

Myślałam o ojcu, przypominając sobie podsłuchaną onegdaj rozmowę.

- Nie wiem... To znaczy... właściwie nie mogę podjąć takiej decyzji...

- Czy jest jakiś powód, dla którego nie powinna pani jechać?

- No cóż... oczywiście, że jest... mój ojciec...

- Chodzi o to, że nie ma nikogo, kto zająłby się domem?

- Nie to miałam na myśli...

Czekał, bym rozwinęła to zdanie i powiedziała, o co naprawdę mi chodzi, ale unikając jego wzroku odwróciłam się i wpatrywałam w ogień. Podejrzywałam bowiem z przykrością, że moja twarz przybrała wyraz, który dałoby się określić mianem zakłopotania.

- Nie było nic złego w tym, że ojciec przywiózł panią do Ameryki...

- Chciała, bym została w Elvie.

- Więc pani wie o tym?

- Tak, słyszałam ich kłótnię. Zazwyczaj nigdy się nie kłócili. Sądzę, że już się pogodzili. Ale ta kłótnia o mnie była okropna.

- To zdarzyło się siedem lat temu. Teraz, mówiąc między lwimi, możemy spróbować go jakoś przekonać.

W tym momencie podałam najbardziej oczywiste wytłumaczenie:

- Podróż jest bardzo kosztowna...

- Babcia, oczywiście, pokryje koszty pani biletu. - Niezbyt optymistycznie wyobraziłam sobie, jak ojciec na to zareaguje. - Byłaby pani poza domem nie dłużej niż miesiąc. Czy nie chce pani tam pojechać? - zapytał ponownie.

Jego sposób bycia rozbroił mnie. -Tak, chcę...

- Więc skąd ten brak entuzjazmu?

- Nie mam ochoty irytować ojca. On z pewnością nie życzy sobie, żebym wyjeżdżała. Być może odpowiedział zresztą na listy, o których pan mówił.

- Tak, listy... Zastanawiam się, gdzie one mogą być? Wskazałam stojący za nim stół, na którym piętrzyła się

sterta rękopisów, podręcznych książek, starych dokumentów i - niestety - nie zapłaconych rachunków.

- Przypuszczam, że są tam.

- Dziwi mnie, czemu nigdy nie powiedział pani o nich. Nie odpowiedziałam, ale pomyślałam, że wiem. Ojciec

w pewien sposób obraził się na Elvie i czuł się dotknięty faktem, że tamten dom tak wiele dla mnie znaczył. Był też chyba trochę zazdrosny o rodzinę mojej matki. Bał się, że mnie utraci...

- Nie mam pojęcia - odrzekłam.

- Kiedy spodziewa się pani jego powrotu z Los Angeles?

- Nie sądzę, żeby musiał się pan z nim spotykać - odpowiedziałam. - Ojciec byłby przygnębiony, bo gdyby nawet wyraził zgodę na mój wyjazd, ja i tak nie zostawiłabym go tutaj samego.

- Na pewno można to jakoś zorganizować...

- Nie można. Ojciec musi mieć kogoś, kto troszczyłby się o niego. Jest najbardziej niepraktycznym człowiekiem na świecie... Nie kupiłby sobie jedzenia ani benzyny do samo! chodu i gdybym go zostawiła, przez cały czas byłabym chora z niepokoju.

- Jane... pani naprawdę musi pomyśleć o sobie...

- Przyjadę kiedy indziej. Proszę powiedzieć mojej babci, że przyjadę kiedy indziej...

Rozważał to w milczeniu. Skończył drinka i odstawił pustą szklanę.

- No cóż, zostawmy na razie tę sprawę. Jutro, około jedenastej, wracam do Los Angeles. Dla pani zarezerwowałem miejsce w samolocie do Nowego Jorku na wtorek rano. Na miłość boską, nie ma przecież żadnego powodu, dla którego miałaby pani odkładać wyjazd, więc jeśli zmieni pani swoją decyzję...

- Nie zmienię.

Zignorował moją odpowiedź.

- ...jeśli zmieni pani swoją decyzję, nic nie stoi na przeszkodzie, by pojechała pani ze mną.

Podniósł się i stał teraz nade mną. Nie lubię, gdy ktoś nade mną góruje, więc także wstałam.

- Zdaje się, że był pan pewien, iż pojedziemy razem.

- Miałem nadzieję.

- Sądzi pan, że szukam wykrętów, prawda?

- Niezupełnie.

- Czuję się winna, że odbył pan tak daleką podróż niepotrzebnie.

- Przyjechałem do Nowego Jorku służbowo. Cieszę się z naszego spotkania, przykro mi jedynie, że nie zastałem pani ojca.

Wyciągnął rękę.

- Do widzenia, Jane.

Po sekundzie wahania podałam mu swoją. Amerykanie nieczęsto ścisną sobie dłonie, zwyczaj ten wychodzi z użycia.

- Przekażę babci pozdrowienia od pani. - Proszę je przekazać także Sinclairowi.

- Sinclairowi?
- Widuje go pan, prawda? Kiedy przyjeżdża do Elvie?
- Tak. Tak, oczywiście, widuję... Naturalnie, przekażę...
- Proszę powiedzieć, by do mnie napisał - dodałam i nachyliłam się, żeby pogłaskać Rusty'ego. Nie chciałam, aby David Stewart zobaczył łzy, które napłynęły mi do oczu.

Kiedy wróciłam do domu po jego odjeździe, podeszłam do stołu, na którym ojciec trzymał wszystkie swoje papiery. Po chwili znalazłam, jeden po drugim, owe cztery pozostawione bez odpowiedzi listy. Otwarte i z pewnością przeczytane.

Nie zjrzałam do nich. Moje dobre obyczaje wzięły górę, a poza tym wiedziałam już, co te listy zawierają. Po prostu odłożyłam je, zagrzebując w tym samym miejscu.

Przyklękłam na parapecie, otworzyłam okno, a potem przewiesiłam nogi na zewnątrz i patrzyłam w dal. Było bardzo ciemno, ocean przybrał barwę atramentu, powietrze stało się chłodne, ale moje lęki już się ulotniły. Myślałam o Elvie i miałam wielką ochotę, by się tam znaleźć. Myślałam o kluczach gęsi na tle zimowego nieba i zapachu torfu, którym rozpalano kominek w holu. Myślałam o jeziorze; olśniewająco błękitnym i gładkim jak lustro lub szarym i pokrytym białymi falami gnany przez północne wiatry. Nagle pragnienie, by się tam znaleźć, było tak dotkliwe, że przerodziło się w fizyczny ból.

Czułam jednak złość do ojca. Wcale nie chciałam go opuszczać, ale mógł przecież porozmawiać ze mną o tej sprawie. Miałam dwadzieścia jeden lat, nie byłam już dzieckiem i czułam się dotknięta tym samolubnym i staroświeckim traktowaniem mnie.

Poczekam, aż wróci! - obiecywałam sobie. Stanę przed nim z tymi listami. Powiem mu, że... powiem mu...

Ta złość miała krótki żywot. Mój gniew nigdy nie trwał długo. Zakipiał, ale ostudzony chłodnym nocnym powietrzem opadł, zostawiając mnie z uczuciem dziwnej pustki. Nic się przecież nie zmieniło. I tak bym z nim została, bo go kochałam, bo chciał, żebym tu była, bo mnie po-

trzebował. Nie ma zresztą innego wyjścia. Nie wspomnę mu o listach, bo odkrycie tej tajemnicy zakłopotałoby go i poniżyło, a gdybyśmy i w przyszłości mieli żyć pod jednym dachem - on musiał być zawsze i silniejszy, i mądrzejsza niż ja.

Następnego ranka, szorując kuchenną podłogę, usłyszałam charakterystyczne odgłosy starego dodge'a zjeżdżającego ze wzgórza na drogę wiodącą do Reef Point. Szybko umyłam ostatni kawałek popękanego brązowego linoleum, podniosłam się z klęczek, wykręciłam ścierkę, wylałam brudną wodę i pobiegłam przywitać się z ojcem, wycierając po drodze ręce w stary, podarty fartuch.

To był wspaniały dzień: gorące słońce, błękitne niebo z pędzącymi po nim szerokimi białymi chmurami. Iskrzący się poranek, wietrzny i szumiący przyrywem fal obmywających plażę. Już wcześniej rozwiesiłam wypraną bieliznę, która teraz falowała i trzepotała na sznurku. Schylając pod nią głowę, dobiegłam do drogi akurat wtedy, gdy samochód, turkocząc i kołyszając się w koleinach, zahamował przede mną.

Natychmiast spostrzegłam, że ojciec nie jest sam. Korzystając z pięknej pogody opuścił dach, więc w jednej chwili - po rozwianych wiatrem, charakterystycznych, rudych włosach - poznałam siedzącą obok niego Lindę Lansing.

Ujrzawszy mnie, wychyliła się z samochodu, by mi pomachać na powitanie, a biały pudel, który siedział na jej kolanach, zaczął tak ujadać, jakbym to ja była tutaj obca.

Rusty, który doskonale bawił się na plaży kawałkiem starego kalosza, usłyszał pudła i natychmiast rzucił się, by mnie ratować. Galopował, demonstrując jednocześnie pełną skalę swego głosu: szczekał i warczał, i rzucał się na dodge'a z wyszczerzonymi zębami, najwyraźniej nie mogąc się doczekać tej szczęśliwej chwili, kiedy będzie mógł je wbić w kark białego pudła. Ojciec kłął, Linda piszczała i tuliła do siebie ulubieńca, pudel jazgotał, a ja musiałam złapać Rusty'ego za obrożę, zaciągnąć go do domu i kazać mu siedzieć cicho, by pojawiła się choćby najmniejsza szansa na jakąkolwiek rozmowę.

Rusty wpadł w posępny nastrój, a ja wróciłam na pod-jazd. Ojciec zdażył już wsiąść z samochodu.

- Cześć, kotku! - Objął mnie, uściskał i ucałował. Objęcia ojca przypominały uścisk goryla, a jego broda podrapała mi policzek. - Wszystko w porządku?

- Tak. - Wymknęłam się z jego ramion. - Cześć, Linda!

- Witaj, kochanie.

- Przepraszam za psa. - Poszłam przodem, by otworzyć przed nią drzwi. Miała pełny makijaż i sztuczne rzęsy. Nosiła bladoniebieski sportowy kostium i złote baletowe pantofelki. Szyję pudła zdobiła różowa obroża wysadzana sztucznymi diamentami.

- Ależ nic się nie stało. Mitzi jest taka pobudliwa. Cóż zrobić, gdy jest się tak dobrze urodzoną damą. - Mówiąc to, nadstawiła mi policzek do pocałowania. Cmoknęłam ją, a wtedy ten pudel znów zaczął jazgotać.

- Na miłość boską, uspokój tego cholernego psa - powiedział ojciec, na co Linda bezceremonialnie wyrzuciła pudła z samochodu i szybko wyskoczyła za nim.

Linda Lansing była aktorką. Dwadzieścia lat temu pojawiła się w Hollywood jako gwiazdka, za czym kryła się olbrzymia kampania reklamowa zakończona serią niczym nie wyróżniających się filmów. Grała w nich zazwyczaj ponętne Cyganki lub wiejskie dziewczęta o kuszących, czerwonych ustach i bluzkach opadających z ramion. Ale ten gatunek filmu i styl jej aktorstwa bezpowrotnie wyszły z mody a Linda - wraz z nimi. Przewidując to - nigdy nie była głupia - szybko wyszła za męża. „Mąż znaczy dla mnie więcej niż kariera” - wołały nagłówki nad ich ślubnymi fotografiami. Od tamtego czasu oboje zniknęli z hollywoodzkiej sceny. Ostatnio jednak, rozwiódłszy się z trzecim mężem a jeszcze nie upolowawszy czwartego, zaczęła pojawiać się znowu w małych rolach filmowych i w telewizji. Dla młodego pokolenia była nową twarzą, a pracując z pomysłowymi reżyserami, ujawniła całkiem nieoczekiwany talent komediowy.

Poznaliśmy ją na jednym z tych okropnych, nieokreślonych przyjęć, które były istotną częścią życia Los Angeles. Mój ojciec przykleił się do niej od razu, bo była tam jedyną kobietą wartą rozmowy. Ja też ją lubię. Posiada pospolite poczucie humoru, głęboki gardłowy głos i zaskakującą zdolność śmiania się z samej siebie.

Ojciec ma powodzenie u kobiet, ale swoje miłostki zawsze otacza pozdewu godną dyskrecją. Wiedziałam, że wdał się w romans z Lindą, ale nie przypuszczałam, że przywiezie ją do Reef Point. Postanowiłam rozegrać to spokojnie.

- Cóż za niespodzianka!

- Och, wiesz przecież, jak to jest, kochanie, gdy twój ojciec zaczyna człowieka przekonywać! I ten zapach morskiego powietrza...

Wzięła głęboki oddech, zakaszła lekko i wróciła do samochodu, by wyciągnąć swoją torebkę. I dopiero wtedy zobaczyłam olbrzymi bagaż, którym zawałone było tylne siedzenie. Trzy walizki, kufer, neseser z kosmetykami, futro z norek w plastikowej torbie, kosz dla Mitzi łącznie z różową gumową kością. Gapiłam się na to wszystko, zanim jednak zdążyłam powiedzieć cokolwiek, ojciec odsunął mnie z drogi, wnosząc dwie walizki.

- Nie stój tak z otwartymi ustami - powiedział - wnieś coś do środka.

Mówiąc to, skierował się do wnętrza domu. Linda, widząc moją minę, taktownie stwierdziła, że pies powinien pobiegać po plaży i zniknęła. Ruszyłam za ojcem, ale uspokoiwszy się nieco, wróciłam po kosz dla psa i dopiero wtedy weszłam do domu.

Znalazłam go w salonie. Ustawił na samym środku dwie walizki, rzucił swoją czapkę z daszkiem na krzesło, a wyjęte z kieszeni pliki starych listów i gazet na stół.

W dopiero co posprzątanym i uporządkowanym przeze mnie pokoju panował już bałagan, rozgardiasz i nieład. Mój ojciec potrafił doprowadzić do takiego stanu każde pomieszczenie, przez które choćby przechodził. Teraz pod-szedł do okna, wychylił się przez nie i patrząc przed siebie, głęboko wdychał morskie powietrze. Zza jego potężnego ramienia

widać było daleką postać Lindy biegnącej z pudłem wzdłuż brzegu morza. Rusty, siedząc na parapecie w ponurym nastroju, nawet nie kiwnął ogonem.

Ojciec odwrócił się i sięgnął po papierosa. Wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie.

- No cóż - powiedział. - Nie zapytasz, jak mi poszło? Zapalił papierosa, potem podniósł wzrok i z wyrazem

niezadowolenia na twarzy wyrzucił zapalną przez okno.

- Czemu stoisz z tym koszem? Odstaw wreszcie to paskudztwo.

Nie poruszyłam się.

- O co tu chodzi? - zapytałam.

- Co masz na myśli?

Zrozumiałam, że robi dobrą minę do złej gry.

- Dobrze wiesz, co mam na myśli. Lindę.

- Lindę? Przecież ją lubisz, prawda?

- Oczywiście, że ją lubię, ale to nie ma nic do rzeczy. Co ona tu robi?

- Poprosiłem, by się u nas zatrzymała.

- Z całym tym bagażem? Jak długo tu zostanie, na miłość boską?

- Cóż... - uczynił ręką nieokreślony gest - jak długo zechce.

- Czy ona nie pracuje?

- Och, rzuciła to wszystko - rzekł, wychodząc zwinnie do kuchni, by poszukać tam puszek piwa. Usłyszałam odgłos otwieranych a potem zamykanych drzwi lodówki. - Ma dokładnie tak samo dość Los Angeles jak my. Pomyślałem. więc: dlaczego nie?

Po chwili znów zjawił się z otwartą puszką piwa w dłoni.

- Ledwie to zaproponowałem, znalazła kogoś, kto wynajął jej mieszkanie razem z pomocą domową, więc spakowała się i była gotowa. -

Znów zrobił niezadowoloną minę. Jane, czy zapalałaś jakimś szczególnym uczuciem do tej psiej budy?

Zignorowałam pytanie i ciągnęłam dalej.

- Jak długo tu zostanie?

- No cóż, tak długo, jak my tu będziemy. Nie wiem, może przez całą zimę.

- Tu nie ma pokoju - odparłam.

- Oczywiście, że jest tu pokój. A poza tym: czyj to dom Ojciec opróżnił puszkę piwa i cisnął ją celnie przez całą kuchnię wprost do pojemnika na śmieci, a potem wyszedł po następną sztukę bagażu. Wnosił torby do swojej sypialni. Odstawiwszy koszyk Mitzi, udałam się za nim. Co z łóżkiem, z walizkami, z nami? Nie było dodatkowego pokoju.

- Gdzie ona będzie spać?

- A jak myślisz? - Usiadł na ogromnym łóżku, aż sprężyny zajęczały.

- Właśnie tutaj.

Nie mogłam wydusić z siebie ani słowa. Po prostu gapiłam się na niego. Nigdy przedtem nic takiego się nie zdarzyło. Zastanawiałam się, czy nie postradał zmysłów.

Musiało uderzyć go coś w wyrazie mojej twarzy, bo spojrzął ze skruchością i chwycił mnie za rękę.

- Jane, nie patrz tak na mnie. Nie jesteś już dzieckiem nie muszę przed tobą udawać. Przecież lubisz Lindę. Nie przywiózłbym jej tutaj, gdybym tego nie wiedział. Zapewnię ci towarzystwo, nie będziesz musiała zostawać sama. Dajże spokój. Nie rób już takiej ponurej miny. Idź do kuchni i przygotuj kawę.

Uwolniłam dłonie z jego rąk.

- Nie mam czasu - odpowiedziałam.

- Nie rozumiem.

- Ja... muszę się spakować.

Wyszłam z jego pokoju i udałam się do siebie. Postawiłam na łóżku wyciągniętą spod niego walizkę, otworzyłam ją i zaczęłam się pakować, tak jak robią to bohaterki filmów: otwierałam szuflady jedną po drugiej i wrzucałam ich zawartość wprost do walizki.

- Co masz zamiar zrobić? - zapytał ojciec, stając za mną w otwartych drzwiach.

Odwróciłam się, spjrzałam na niego z rękami pełnymi koszul, pa-sków, szalików i chusteczek do nosa.

- Wyjeżdżam.

- Dokąd?

- Wracam do Szkocji.

Jednym krokiem wszedł do pokoju i szarpnął mnie, bym spojrzała mu w oczy. Odwróciłam się, ale nie pozwoliłam powiedzieć ojcu ani sło-wa.

- Otrzymałeś cztery listy - oznajmiłam. - Trzy od babci i jeden z firmy adwokackiej. Otworzyłeś je i przeczytałeś, ale nigdy nie powiedziałeś mi o tym, bo nie chciałeś, żebym tam wróciła. Nie chciałeś nawet porozma-wiać ze mną.

Uścisk jego ręki na moim ramieniu nie zelżał, ale zauważyłam, że twarz ojca nieco pobladła.

- Jak się dowiedziałeś o tych listach? Opowiedziałam mu o wizycie Davida Stewarta.

- Wszystko mi powiedział - zakończyłam. - Choć nie musiałam być informowana w ten sposób, bo i tak o wszystkim wiedziałam - dodałam lekkomyślnie.

- A dokładniej, o czym wiedziałaś?

- Że nigdy nie chciałeś, bym po śmierci mamy została w Elvie, że nigdy nie chciałeś, bym tam wróciła.

Patrzył na mnie z zakłopotaniem.

- Słyszałam wszystko. - Był tak zaskoczony, jakby go nagle ogłuszono. - Siedziałam wtedy w holu i usłyszałam wszystko, o czym rozmawia-liście z babcią.

- I nigdy nie wspomniałaś o tym ani słowem.

- A cóż by to dało?

Usiadł na brzegu łóżka tak ostrożnie, jakby nie chciał przeszkadzać mi w pakowaniu.

- Chciałaś, by cię tam zostawić?

Jego tępota mnie rozwścieczyła.

- Nie, oczywiście, że nie chciałam. Bardzo lubiłam być z tobą, a nie istniał żaden inny sposób. Ale to wszystko działo się siedem lat temu. Teraz jestem już dorosła, a ty nie miałeś prawa ukrywać tych listów przede mną.

- Chcesz tam wracać tak nagle?

- Tak. Lubię Elvie. Wiesz, ile dla mnie znaczy to miejsce. - Pakowałam szczotkę do włosów i fotografie, które ułożyłam na dnie walizki. - Ja... ja nie miałam zamiaru wspominać o tych listach. Sądziłam, że mogłoby ci to zrobić przykrość i nie wyjechałabym, bo nie miałeś nikogo, kto by się o ciebie troszczył. Ale teraz jest inaczej.

- W porządku, więc jest inaczej i ty wyjeżdżasz. Nie będę cię zatrzymywał. Ale jak masz zamiar się tam dostać?

- David Stewart wyjeżdża z La Cannelli o jedenastej. Jeśli się pośpieszę, to jeszcze go złapię. Zarezerwował dla mnie miejsce w samolocie odlatującym do Nowego Jorku jutro rano.

- A kiedy wrócisz?

- Och, nie wiem... kiedyś wrócę... jak sądzę... Wcisnęłam do walizki „Podarunek morza” Anny Morrow Lindbergh, książkę, bez której nigdzie się nie ruszam, oraz longplay Simona i Garfunkela. Przycisnęłam wieko walizki, ale wszystko kipiało i nie mogłam jej domknąć. Więc otworzywszy ją ponownie, upychałam wszystko ze złością; mimo to ciągle się nie udawało i w końcu pomógł mi ojciec, siłą przyciskając wieko i zmuszając zamek do zatrzaśnięcia.

Uchwyciłam jego spojrzenie znad zamkniętej walizki.

- Nie wyjeżdżałabym, gdyby nie pojawiła się tu Linda. - Mój głos odpyływał gdzieś daleko. Zdjęłam z wieszaka płaszcz przeciwdeszczowy i zarzuciłam go na siebie.

- Jeszcze masz na sobie fartuch - powiedział ojciec. W ten sposób potrafiliśmy się w każdej chwili rozśmieszyć. Dziś,

w śmiertelnej ciszy rozwiązałam fartuch, ściągnęłam go z siebie i cisnęłam na łóżko.

- Jeśli wezmę samochód i zostawię go przed motelem, czy moglibyście, ty albo Linda, zabrać go stamtąd?

- Oczywiście - powiedział ojciec. Poczekaj... - dodał po chwili i na moment zniknął w swoim pokoju, by zaraz wrócić z garścią pełną pieniędzy: pięcio-, dziesięcio- i jednodolarowych banknotów, brudnych i wymiętych tak, jak zgniatą się kulki ze starych gazet.

- Wkładam je tutaj - powiedział, wsuwając pieniądze do kieszeni owego przeciwdeszczowego płaszcza. - Lepiej je weź, mogą ci być potrzebne.

-Ale ty... - Chciałam coś powiedzieć, lecz w tym momencie Linda i Mitzi wróciły z plaży. Mitzi otrzepywała z siebie piasek na podłogę, Linda zaś zachwycała się swoim krótkim kontaktem z przyrodą.

- Ach, co za fale! Nigdy nie widziałam czegoś takiego! Miały chyba dziesięć stóp wysokości!

Zauważyła moją walizkę, przeciwdeszczowy płaszcz i prawdopodobnie niezbyt szczęśliwą minę.

- Co robisz, Jane?

- Wyjeżdżam.

- Na miłość boską, dokąd?

- Do Szkocji.

- Mam nadzieję, że nie przeze mnie.

- Częściowo. I tylko dlatego, że jest ktoś, kto zaopiekuje się ojcem.

Spojrzała na mnie nieco zdezorientowana, jakby opiekowanie się ojcem było ostatnią rzeczą, jaką zamierzała robić, ale dzielnie to ukryła.

- Więc to cię ucieszyło? Kiedy wyjeżdżasz?

- Dzisiaj. Teraz. Zabieram samochód do La Carmelli... -Zbierałam się do wyjścia, bo sytuacja stawała się trudna do zniesienia. Ojciec uniósł moją walizkę i poszedł za mną.

- ...mam nadzieję, że zima będzie łagodna i z niewielką ilością sztormów. W lodówce są jajka i puszki z tuńczykiem...

Zesłam tyłem po schodach werandy, a potem, odwrócona plecami do ojca, przeszłam pod sznurkami rozwieszanej bielizny - czy Linda

wpadnie na to, by wnieść ją do środka? - dotarłam do samochodu i usiadłam za kierownicą a ojciec postawił moją walizkę na tylnym siedzeniu.

-Jane...

Nie byłam w stanie powiedzieć do widzenia. Ruszając w drogę, przypomniałam sobie o Rustym, ale wtedy było już za późno. Usłyszał, jak zamykają się drzwiczki samo chodu i dźwięk zapuszczanego silnika. Wybiegł z domu i pędził jak strzała, z płasko ułożonymi uszami, szciekając i próbując ścigać się ze mną, nie bacząc na niebezpieczeństwo niemal pewnej śmierci.

To była ta ostatnia kropla. Zatrzymałam samochód z głośnym krzykiem: - Rusty! - ojciec pobiegł za psem. Ru sty stanął na tylnych łapach, a pazurami przednich drapał w drzwi samochodu. Wychylając się z auta, próbowałam go odepchnąć.

- Rusty, odejdz! Idź do domu. Wracaj. Nie mogę cię za brać. Nie zabieram cię ze sobą.

Ojciec, pędząc, dogonił nas oboje. Chwytał Rusty'ego i stał patrząc na mnie. Pies przyglądał mi się z wyrzutem oczami pełnymi bólu. Na twarzy ojca malował się wyraz którego nigdy przedtem nie widziałam i nigdy w pełni nie zrozumiałam. Wiedziałałam jednak, że w tym momencie żadnemu z nich nie chcę powiedzieć „do zobaczenia” i wybuchnęłam płaczem.

- Będziesz się opiekować Rustym, prawda? - szlochałam. - Zamknij go, żeby nie biegł za samochodem i uważaj by go ktoś nie przejechał. On lubi tylko pokarm „Red Heart”, żadnego innego. I nie zostawiaj go samego na plaży bo ktoś mógłby go ukraść. Sięgnęłam po chusteczkę. Jak zwykle nie miałam żadnej pod ręką, więc ojciec wyciągnął z kieszeni swoją i podał mi ją bez słowa. Wytarłam nos, a potem przyciągnęłam ojca do siebie, by go pocałować, Rusty'ego także pocałowałam.

- Do widzenia, mój Puszek - powiedział ojciec, żegnając się ze mną imieniem, którym nie nazywał mnie, odkąd skończyłam sześć lat.

Ruszyłam, szlochając głośniejsz niż przedtem, i prawie nic nie widząc przez łzy. Nie oglądałam się, ale wiedziałam, że stał tam i patrzył na mnie, póki nie zniknęłam w oddali.

Do jedenastej brakowało jeszcze piętnastu minut, gdy weszłam do recepcji motelu. Mężczyzna stojący za kontuarem, spojrział na moją rozmazaną i zapłakaną twarz bez specjalnego zainteresowania, jakby szlochające kobiety wchodziły tam i wychodziły przez cały dzień.

- Czy pan David Stewart już wyjechał?

- Nie, jest u siebie. Ma jeszcze do uregulowania rachunek telefoniczny.

- Jaki jest numer jego pokoju?

- Trzydzieści dwa. - Jednak spojrział na mnie. Rzucił okiem na przeciwdeszczowy płaszcz, dżinsy, poplamione tenisówki i sięgnął ręką po telefon. - Chce się pani z nim zobaczyć?

- Tak, bardzo proszę.

- Zatelefonuję do niego... Powiem mu, że pani przyjechała.

Pani nazwisko?

- Jane Marsh.

Pochylił głowę w kierunku drzwi, wskazując mi drogę, i powiedział:

- Pokój numer trzydzieści dwa.

Szłam wzdłuż dużego, bardzo błękitnego basenu. Dwie kobiety leżały na plażowych łózkach, a ich dzieci pływały, z wrzaskiem wyrwijąc sobie nadmuchiwaną kółko. Byłam zaledwie w pół drogi, gdy David Stewart wyszedł mi na spotkanie. Zobaczywszy go, zaczęłam biec. Wywołało to zainteresowanie obydwu kobiet i dla mnie samej stanowiło niespodziankę. Biegłam prosto w jego ramiona. Chwytał mnie i trzymał w jakimś uspokajającym uścisku, a potem puścił i zapytał:

- Co się stało?

- Nic złego - znów zaczęłam płakać - jadę z panem do Szkocji.

- Dlaczego?

- Zmieniłam zdanie i tyle.

- Dlaczego?

Nie miałam ochoty opowiadać mu o wszystkim, ale sło wa wypływały ze mnie wraz ze łzami.

- Ojciec ma przyjaciółkę i ona przyjechała z Los Angeles... Ona... ona powiedziała...

Rzucił okiem na dwie chichoczące kobiety.

- Chodźmy stąd.

Poprowadził mnie w zacisze swojego pokoju, zaprosił do środka i zamknął za sobą drzwi.

- Proszę mi teraz wszystko opowiedzieć.

Wytarłam nos i z największym wysiłkiem wzięłam się w garść.

- Chodzi o to, że ma już kogoś, kto będzie się o niego troszczył, więc mogę z panem jechać.

- Powiedziała mu pani o listach? -Tak.

- Nie miał nic przeciwko pani wyjazdowi?

- Nie, powiedział: „Okay”.

David był spokojny. Spojrzałam na niego i zobaczyłam że odwróciwszy głowę, przygląda mi się uważnie kącikiem prawego oka. Dowiedziałam się później, że był to wieloletni nawyk spowodowany wadą wzroku. Ale wtedy jego spojrzenie mnie rozpraszało i krępowało; czułam się, jakby mnie przygwożdżono do ściany.

- Czy pan nie chce, abym z panem jechała? - zapytałam przygnębiona.

- Nie w tym rzecz. Chodzi o to, że nie znam pani wystarczająco dobrze, by mieć pewność, iż mówi pani prawdę.

Byłam zbyt nieszczęśliwa, by poczuć się obrażona.

- Nigdy nie kłamie - powiedziałam, a po chwili dodałam: - A kiedy coś robię, nie uciekam się do oszustwa. Ojciec powiedział, że wszystko w porządku.

Aby to udowodnić, włożyłam rękę do kieszeni płaszcza i wyciągnęłam stamtąd te brudne zwitki dolarów. Kilka banknotów upadło na dywan, niczym zwiędłe liście.

- Dał mi trochę pieniędzy na wydatki.

David pochylił się i pozbierawszy z podłogi banknoty, podał mi je.

- Ciągłe myślę, czy nie powinna pani zobaczyć się z nim, zanim wyjeździemy. Moglibyśmy...

- Nie mogłabym znów się z nim żegnać.

Twarz Dawida straciła surowy wyraz. Dotknął mego ramienia.

- Proszę tu zostać. Wróć najpóźniej za piętnaście minut.

- Obiecuje pan?

- Obiecuje.

Wyszedł, a ja pokręciłam się po jego pokoju, rzuciłam okiem na gazetę, wyjrzałam na zewnątrz przez otwarte drzwi, a potem poszłam do łazienki, umyłam twarz i ręce, a także uporządkowałam włosy, ściągając je elastyczną opaską. Wyszłam z pokoju i czekając na niego, usiadłam nieopodal basenu. David wrócił, umieścił nasze bagaże w samochodzie. Usiadłam obok niego i wyjechaliśmy na autostradę, kierując się na południe, ku Los Angeles. Zatrzymaliśmy się na noc w motelu niedaleko lotniska; następnego dnia poleciliśmy do Nowego Jorku, a następnej nocy do Londynu. Dopiero w połowie drogi, lecąc nad Atlantykiem, przypomniałam sobie tego chłopaka, który w niedzielę miał zabrać mnie na surfing.

Rozdział 4

Mieszkałam w Londynie przez większą część swojego ży cia, ale teraz czułam się, jakbym przyjechała do miasta którego nigdy przedtem nie

widziałam, tak się zmieniło Budynki lotniska, podjazdy, widok ogólny, wspaniałe, wyniosłe bloki mieszkalne, wzmożony ruch na ulicach... to wszystko stało się w ciągu ostatnich siedmiu lat.

Trzymając na kolanach torbę, siedziałam wciśnięte w kątek taksówki. Mgła była tak gęsta, że wciąż paliły się uliczne latarnie. Wokół panował ten wilgotny chłód, o którym dawno już zapomniałam.

Nie spałam w samolocie i ze zmęczenia kręciło mi się w głowie. Czulałam jeszcze mdłości spowodowane posiłkiem serwowanym o godzinie - jak to wskazywał mój zegarek wciąż nastawiony na czas kalifornijski - drugiej nad ranem. Bolała mnie głowa, oczy i całe ciało. Zęby wydawała się pokryte piaskiem, a ubranie sprawiało takie wrażenie jakbym miała je na sobie od niepamiętnych czasów.

Londyn otoczył nas reklamami, wielkimi plakatami i szeregami domów. Taksówka skręciła na jakichś światłach i szukała dla siebie miejsca. Spokojnym, łagodnym łukiem ominęła zaparkowane samochody i zatrzymała się przed rzędem wysokich, wczesnowiktoriańskich domów. Patrząc na nie otepiałym wzrokiem, zastanawiałam się, co mam teraz zrobić.

David pochylił się ku mnie, następnie otworzył drzwi i powiedział:

- Jesteśmy na miejscu.

-Tu?

Patrzyłam na niego dziwiąc się, jak człowiek, który tak jak ja miał za sobą niezbyt przyjemny lot z drugiego końca Świata, mógł być wciąż czysty i zrelaksowany oraz panować nad sytuacją. Wsiadłam posłusznie z taksówki i stanęłam na chodniku, mrużąc oczy i ziewając. David zapłacił za kurs, wyjął nasze walizki i wskazując mi drogę, skierował się w stronę schodów wiodących na jeden z ganków. Poręcze połyskiwały czernią. Drewniana donica pełna była geranium, nieco zakurzonego, ale wciąż bujnego i barwnego. David wyjął klucz, drzwi otworzyły się do środka, a ja ślepo podażyłam za nim do mieszkania.

Ściany pomalowano tu na biało w stylu wiejskich domów, ale na podłodze leżały perskie dywany. Kretonowe pokrowce okrywały sofę i

fotele. Było tu także kilka mniejszych, stylowych mebli, zaś nad kominem wisiało weneckie lustro. Dostrzegłam książki i stertę czasopism, oszkloną etażerkę pełną drezdzeńskiej porcelany, kilka małych, ręcznie tkanych gobelinów, a za oknem... miniaturowe słoneczne patio z rosnącym w nim platanem - okolonym drewnianą ławeczką -i z małą rzeźbą w niszy spłowiełego, ceglanego muru.

Stałam ziewając, a kiedy David otworzył okno, zapytałam:

- Czy to pańskie mieszkanie?

- Nie, to mieszkanie mojej matki, ale korzystam z niego, gdy przyjeżdżam do Londynu.

Rozejrzałam się wokół uważnie.

- A gdzie jest teraz pańska matka?

Zabrzmiało to tak, jakbym sądziła, że ukrywa się pod kanapą. Ale on się nie roześmiał.

- Jest na południu Francji, wyjechała na wakacje. Proszę zdjąć płaszcz i się rozgościć. Przygotuję filiżankę herbaty.

Zniknął za jakimiś drzwiami. Usłyszałam odgłos odkręcanego kranu i wody lejącej się do czajnika. „Filiżanka herbaty”. Te słowa brzmiały przytulnie i swojsko. „Filiżanka herbaty”...

Przypomniałam sobie lekcje dykcji: „Czy Ma Pani Ochotę Na Filiżankę Herbaty?” Niezdarnie rozpinałam guzik płaszcza, w końcu zdjęłam go i przewiesiłam przez coś, a wyglądało na krzesło w stylu chippendale, a sama usiadłam na sofie. Leżały na niej zielone aksamitne poduszcзки. Położyłam głowę na jednej z nich i - jak sądzę - zasnęłam, nim zdążyłam pomyśleć, by unieść stopy z podłogi. Jestem pewna, że tego nie zrobiłam.

Kiedy się obudziłam, w pokoju było już inne światło. Długi promień słońca, tańcząc z pyłkami kurzu, niczym snop światła z reflektora przecinał linię mojego wzroku. Poruszyłam się, strząsnęłam sen z powiek i rozejrzałam wokół. Okrywał mnie pled, ciepły i lekki.

W kominku migotał jeden płomyk. Przyglądałam mu się przez chwilę, nim uświadomiłam sobie, że to kominek elektryczny, z imitacją drewna,

węgla i płomieni. W tym momencie wydawał się bardzo przyjemny. Obróciłam głowę i zobaczyłam Davida. Zagłębiony w fotelu, przeglądał papiery i teczki z dokumentami. Był już inaczej ubrany. Mia teraz na sobie niebieską koszulę i kremowy sweter. Zastanawiałam się, czy należał do ludzi, którzy nie potrzebowali snu. Usłyszał, że się poruszyłam i popatrzył na mnie.

- Jaki mamy dzisiaj dzień? - zapytałam.

- Środę - odpowiedział z rozbawieniem.

- Gdzie jesteśmy?

- W Londynie.

- To wiem, ale dokładnie, gdzie?

- W Kensington.

- Mieszkałiśmy kiedyś przy Melbury Road. Czy to da leko?

- Nie, całkiem blisko.

- Która godzina?

- Dochodzi piąta.

- Kiedy jedziemy do Szkocji?

-Wieczorem. Mamy zarezerwowane miejsca w sleepingu „Royal Highlander”.

Z największym wysiłkiem usiadłam i starałam się otrząsnąć ze snu.

- Przypuszczam, że nie mogę się tu wykapać?

- Oczywiście, że może się pani wykapać.

Wykapałam się w gorącej wodzie z garściami soli kąpielowych jego matki, których uprzejmie pozwolił mi użyć. Po kąpieli wyciągnęłam z walizki jakieś czyste rzeczy, przebrałam się, a brudne upchnęłam tak, że jakoś udało mi się ją zamknąć. Wróciwszy do pokoju stwierdziłam, że David zrobił herbatę i kilka grzanek z masłem. Na stole stał też talerz czekoladowych biszkoptów - owych prawdziwych biszkoptów, nie zaś tych aromatyzowanych ciasteczek, które podają w Ameryce - biszkoptów oblewanych prawdziwą czekoladą.

- Czy upiekła je pańska mama? - zapytałam.

- Nie. Wyszedłem i kupiłem je, gdy pani spała. Jest tu niewielki sklepik za rogiem. Bardzo wygodny, gdy trzeba po coś wyskoczyć.

- Czy matka zawsze tu mieszkała?

- Wcale nie, mieszka tu zaledwie od roku. Miała kiedyś dom w Hampshire, ale stał się dla niej za duży, był też kłopot z ogrodem... niełatwo teraz o pomoc. Sprzedała go więc, zatrzymała kilka ulubionych rzeczy i sprowadziła się tutaj.

To tłumaczyło atmosferę wiejskiego domu. Spojrzałam na małe patio.

- Tutaj także ma ogród - powiedziałam.

- Tak, bardzo mały. Ale z nim radzi sobie sama. Siegnęłam po następną grzanekę i starałam się wyobrazić sobie babcię w takiej sytuacji. Nie było to możliwe. Babci nigdy nie pokonałyby ani wielkość domu, ani ilość obowiązków. Nie załamałyby jej trudności w znalezieniu czy zatrzymaniu kucharzy albo ogrodników. Zawsze miała przy sobie panią Lumley, która, od kiedy tylko pamiętam, stojąc na swych opuchniętych nogach przy kuchennym stole, wałkowała ciasto. I Willa, ogrodnika, mającego niewielki domek i działkę przekazaną mu na własność, gdzie hodował pomidory, marchew i ogromne pierzaste chryzantemy.

- Więc pan nigdy tu nie mieszkał?

- Nie, ale zatrzymuję się u niej, kiedy przyjeżdżam do Londynu.

- Często?

- Dość często.

- Widział pan kiedyś Sinclaira? -Tak

- Co on robi?

- Pracuje w jakiejś agencji reklamowej. Myślałem, że wie pani o tym.

Przyszło mi na myśl, że mogłabym do niego zadzwonić. Mieszkał w Londynie i znalezienie jego numeru zajęłoby mi tylko chwilę. Zastanowiwszy się przez moment, zdecydowałam, że tego nie zrobię. Nie byłam pewna reakcji Sinclaira i nie chciałam, by David Stewart stał się świadkiem mojego ewentualnego zmieszania.

- Czy ma dziewczynę?

- Mnóstwo, jak sędzę.

- Nie wie pan przecież, co mam na myśli. Jakaś jedną ..

- Jane, naprawdę nie wiem.

W zamyśleniu zlizywałam masło z koniuszków palców.

- Sądzi pan, że Sinclair przyjedzie do Elvie, kiedy tam będę?

- Z pewnością.

- A jego ojciec? Czy wujek Aylwyn ciągle jest w Kanadzie?

David Stewart poprawił okulary na nosie, przysuwając je do oczu długim, brunatnym palcem.

- Aylwyn Bailey zmarł mniej więcej trzy miesiące temu. Spojrzałam na niego, wytrzeszczając oczy.

- Naprawdę nie wiedziałam. Och, biedna babcia! Czy ona bardzo to przeżyła?

- Tak, ona ...

- A pogrzeb i wszystko ...

- W Kanadzie. Chorował od jakiegoś czasu. Nigdy nie udało mu się przyjechać do domu.

- Więc Sinclair nie widział się z nim od czasów dzieciństwa?

- Nie.

Przemyślałam to i poczułam ból. Myślałam o moim własnym ojcu. Klócił się nieraz, ale wiedziałam, że będę tęsknić do każdej chwili, którą wspólnie spędziliśmy, i czułam się znacznie smutniejsza niż kiedykolwiek, przez Sinclaira. A potem przypominałam sobie, że w tamtych dawnych czasach ja mu zazdrościłam, bo w Elvie spędzałam tylko wakacje, a to był jego dom. Jeśli zaś chodzi o utratę towarzystwa ojca... To miejsce zawsze roiło się od mężczyzn: był tam ogrodnik Will, którego lubiliśmy, był dozorca Gibson - zgorzkniały, ale mądry człowiek, byli dwaj jego synowie - Hamish i George, rówieśnicy Sinclaira, którzy wtajemniczali go w różne swoje dozwolone i niedozwolone przedsięwzięcia. To jego uczone strzelania i zarzucania muchy, grania w krykieta i wspinięcia się na drzewa; tak czy inaczej poświęcano mu znacznie więcej czasu i uwagi niż większości chłopców w jego wieku. Rozważywszy to wszystko, Sinclairowi brakowało bardzo mało do szczęścia.

* * *

Wsiadliśmy do pociągu „Royal Highlander” na dworcu Euston i okazało się, że spędziłam pół nocy wstając z łóżka, by spoglądać przez okno i rozkoszować się faktem, iż pociąg pędził na północ i nic, dzięki Bogu, nie mogło go zatrzymać. W Edynburgu obudził mnie miło brzmiący kobiety głos: „Tu stacja Edynburg Waverley. Tu stacja Edynburg Waverley”. Słyszając akcent tej kobiety, wiedziałam już, że jestem w Szkocji. Wstałam, włożyłam płaszcz na nocną koszulę, usiadłam na pokrywie umywalki i patrzyłam na migające w dali światła Edynburga. Czekałam na przejazd przez most, gdzie pociąg wydaje nagle zupełnie inne dźwięki, na błysk ciemnej wody, w której odbijają się światła.

Wróciłam do łóżka i spałam, dopóki nie dotarliśmy do Relkirk. Dopiero wtedy wstałam znowu i otworzyłam okno przez które wpłynęło chłodne powietrze przesycone zapachem torfu i sosen. Byliśmy u podnóża gór. Minęła dopiero piąta, ale ubrałam się i ostatni etap tej podróży spędziłam przyciskając policzek do chłodnej, ciemnej, obmywanej przez deszcz szyby. Początkowo widziałam niewiele, ale gdy przejechaliśmy przełęcz i rozpoczęliśmy długi zjazd w dół łagodnym stokiem, który wiedzie do Thrumbo, dzień zaczął się rozjaśniać. Nie rozświetliło go słońce, po prostu niedostrzegalnie zniknęła ciemność. Grube, szare, miękkie chmury otulały szczyty wzgórz, ale kiedy zjechaliśmy w kotlinę, postrzępiły się i zniknęły, a potem ukazała się przed nami wspaniała, rozległa dolina w złocistym świetle po ranka.

Ktoś zapukał do moich drzwi i lekko je uchylił.

- Dżentelmen z sąsiedniego przedziału chciałby wiedzieć, czy już się pani obudziła - powiedział konduktor. Za dziesięć minut będziemy w Thrumbo. Czy mam wziąć pani walizkę?

Wyniósł mój bagaż, zamknął za sobą drzwi, a ja wróciłam do okna, bo wjeżdżaliśmy w coraz bliższą mi okolicę i niczego nie chciałam przepuścić. Po tym odcinku drogi kiedyś spacerowałam, a przez tamto pole jeździłam na kucyku, do widocznego nieopodal białego domu zabierano

mnie czasem na herbatę. Dalej był most, który oznaczał granice doliny, stacja benzynowa i pełen podstarzałych gości wytworny hotel, w którym nie można było wypić choćby jednego drinka.

Drzwi otworzyły się ponownie. Stał w nich David Stewart.

- Dzień dobry.

- Cześć.

- Jak się spało?

- Okay.

Pociąg zwalniał i hamował. Minęliśmy zawieszony nad torami sygnalizator. Zsunęłam się ze służącej mi za krzesło pokrywy umywalki i podążyłam za nim na korytarz. W oknie, ponad ramieniem Davida Stewarta, mignął mi napis: Thrumbo. Pociąg zatrzymał się. Byliśmy na miejscu.

Jego samochód został w garażu. Dawid poprosił mnie, bym poczekała na podjeździe i poszedł po auto. Usiadłam na walizce. W pustym, powoli budzącym się miasteczku przyglądałam się kolejno: zapalonym światłom, dymom zaczynającym się unosić z kominów i jakiemuś mężczyźnie jadącemu ulicą na chybliwym rowerze. A potem, gdzieś wysoko nade mną, usłyszałam szczebiot i szum skrzydeł, który stawał się coraz głośniejszy. Nie mogłam jednak zobaczyć owego klucza dzikich gęsi, bo leciały ponad chmurami.

* * *

Jeziro Elvie, położone w odległości dwóch mil za Thrumbo, to naturalny zbiornik wodny okolony od północy drogą wiodącą do Invernes, a od południa wyniosłym bastionem Gór Kaledońskich. Sama zaś posiadłość Elvie wydaje się niemal wyspą, kształtem przypominającą grzyb połączony z lądem nogą grobli równie wąskiej, jak droga między zarośniętymi trzciną moczarami, w których budują swe gniazda setki ptaków.

Przez wiele lat ziemia ta należała do kościoła i wciąż stały tam ruiny małej, teraz już opustoszałej i pozbawionej dachu, kaplicy. Otaczający tę

kaplicę niewielki cmentarz był jednak schludny i czysty, cisy starannie przycięte, a skoszona trawa - gładka jak aksamit - wiosną zakwitała kołyszącymi się pąkami polnych żonkili.

Dom, w którym mieszkała moja babcia, był kiedyś plebanią tego małego kościoła. Przez lata zmienił jednak swe pierwotne, skromne rozmiary, bo dobudowano mu skrzydła i dodatkowe pokoje, by zapewnić gościnę dużym wiktoriańskim rodzinom. Z tyłu wydawał się wysoki i posępny.

Nieliczne okna wychodzące na północ były małe, co miało sprzyjać utrzymaniu wewnątrz ciepła w czasie surowych zim. Wejście było zazwyczaj szczelnie zamknięte. Wrażenie fortecy potęgowały dwie ściany zielonych drzew, które niczym ramiona wyciągały się z domu na wschód i zachód.

Z drugiej strony Elvie miała całkiem inne oblicze. Stary biały dom, frontem zwrócony na południe, zdawał się zażywać drzemki w promieniach słońca. Otwarte okna i drzwi oddychały świeżym powietrzem, ogród zaś łagodnie opadał ku niskiemu parkanowi oddzielającemu go od wąskiej łąki. Na której mieszkający w sąsiedztwie farmer wypasał swoje bydło. Łąka rozciągała się aż do brzegu jeziora, a plusk niewielkich fal obmywających kamienie i łagodne porykiwanie bydła, były tak nieodłączną częścią Elvie, że po chwili przestawało się je słyszeć. Tylko wyjeżdżając stąd i wracając, można było uświadomić sobie to wszystko ponownie.

Samochód Davida Stewarta okazał się niespodzianką. Granatowy T.R.4 był czymś niemal szalonym u tak solidnie wyglądającego obywatela. Umieściliśmy w nim nasze walizki i ruszyliśmy przez Thrumbo. Siedziałam na przednim siedzeniu, wierząc się z emocji. Znane miejsca pojawiały się i znikwały za nami. Garaż, cukiernia, farma McGregorsów, a potem otwarta przestrzeń. Droga wiodła przez pola zżętych już zbóż,

między parkanami spryskanymi szkarłatem owoców głogu ściętych już nocnymi przymrozkami, a także wśród drzew muśniętych złotem i czerwienią - pierwszymi kolorami jesieni. Za ostatnim zakretem zobaczyliśmy po naszej prawej stronie jezioro, szare w świetle szarego poranka, po lewej zaś - góry otulone chmurami, zaś po kilkuset kolejnych metrach samą Elvie: dom skryty za drzewami oraz opustoszały, pozbawiony dachu, romantycz nie wyglądający kościół. Wzruszenie odebrało mi mowę, a David Stewart, z niezwykłym zrozumieniem, niczego nie komentował. Oboje mieliśmy za sobą niewyobrażalnie długą drogę i jej ostatni odcinek przejechaliśmy w ciszy, mijając przydrożny dom, potem wysokie żywopłoty, groble między mokradłami i gęstą buczynę. Samochód zatrzymał się na podjeździe. Wsiadłam z niego natychmiast i biegłam przez żwir, ale babcia była szybsza i stała już w otwartych drzwiach. Gdy dobiegłam, padłyśmy sobie w ramiona, a ona wciąż powtarzała moje imię. Pachniała perfumowanymi saszetkami, które zawsze miała przy sobie, powiedziałam więc sama do siebie: nic się nie zmieniło...

Rozdział 5

Spotkanie po latach zawsze wywołuje zamieszanie. Z naszych ust padały słowa: „Już myślałam, że nigdy...”, „Więc naprawdę znów cię widzę...”, „Nic się nie zmieniło...!” „Czy miałaś dobrą podróż...?”. Obejmowałyśmy się, śmiałyśmy z tych głupstw i ścisnęłyśmy się znowu.

Już po chwili do ogólnego zamieszania włączyły się psy, które wybiegły z domu i skacząc wokół naszych nóg domagały się, by zwrócić na nie uwagę. Białozłote spaniele, których przedtem nie znałam, w jednej chwili stały mi się bliskie, bo w Elvie zawsze chowano białozłote spaniele, a te były bez wątpienia potomkami znanych mi kiedyś psów. Nim jednak zaczęłam witać się z nimi, dołączyła do nas pani Lumley, która usłyszawszy ten harmider, nie mogła oprzeć się pokusie uczestnictwa w owym pierwszym powitaniu. Wydawała się tęższa niż kiedyś. Wybiegła przed dom i śmiejąc się od ucha do ucha, nadstawiła mi policzki do ucałowania. Powiedziała, że okropnie wyrosłam, że piegów mam więcej niż niegdyś i że właśnie przygotowuje prawdziwe domowe śniadanie.

Babcia witała stojącego za mną Davida, który spokojnie wyjmował z samochodu moją walizkę.

- Davidzie, jest pan pewnie bardzo zmęczony. - Mówiąc to, ku memu zaskoczeniu pocałowała go w policzek. - Dziękuję, że dowiózł pan moją wnuczkę bezpiecznie do domu.

- Zapewne dostała pani moją depeszę?

- Oczywiście, dostałam. Czekam już od siódmej. Zje pan z nami śniadanie, prawda?

Nie skorzystał z zaproszenia, mówiąc, że jego gospodyni będzie się niepokoić i że musi pojechać do domu, przebrać się i szybko pójść do biura.

- Dobrze, proszę zatem wrócić do nas dziś wieczorem na kolację. Na legam. Powiedzmy o wpół do ósmej. Chcemy usłyszeć wszystko o wszystkim.

Pozwolił się przekonać. Uśmiechając się wymieniliśmy uprzejme spojrzenia. Przyszła mi do głowy zaskakująca myśl, że choć poznałam tego człowieka zaledwie cztery dni temu, gdy teraz przychodziło mi się z nim pożegnać, czułam, że opuszczam starego przyjaciela; kogoś, kogo znałam przez całe swoje życie. Otrzymaawszy trudne zadanie, wywiązałam się z niego taktownie i miło, o ile wiem - nikogo przy tym nie uraziłam.

- Davidzie...

Pospiesznie ubiegł moje niezręczne podziękowania.

- Zobaczmy się wieczorem, Jane - powiedział, a potem odwrócił się, wsiadł do samochodu i zatrzasnął drzwi. A my przyglądałyśmy się, jak zawraca na podjeździe i kieruje w stronę drogi, jadąc pod bukami aż do zakrętu, za którym zniknął nam z oczu.

- Jakiż to miły człowiek, nie sądzisz? - powiedziała babcia w zamyśleniu.

- Tak, przyjemny - odpowiedziałam i rzuciłam się, by powstrzymać panią Lumley przed dźwiganiem mojej walizki i sama wnieść ją do domu. Babcia wraz z psami podążyła za mną. Drzwi zostały zamknięte, a David Stewart - przez chwilę - zapomniany.

Oszło mił unoszący się z kominka w holu zapach torfowego dymu i woń róż wypełniających wielki wazon, który stał na komodzie obok zegara. Jeden z psów tak bardzo pragnął zwrócenia na siebie uwagi, tak radośnie machał ogonem i tak usilnie domagał się pieczyoty, że zatrzymałam się na chwilę, by podrapać go za uszami. Właśnie miałam zamiar opowiedzieć mu o Rustym, gdy babcia oznajmiła:

- Mam dla ciebie niespodziankę, Jane.

Zaciekawiona podniosłam wzrok i zobaczyłam mężczyznę schodzącego ze schodów wprost ku mnie, ale światło wpadające przez okno za jego plecami pozwoliło mi widzieć tylko sylwetkę. Przez chwilę byłam tym światłem! oślepią . .

- Cześć, Jane - powiedział ten mężczyzna i wtedy uświadomiłam sobie, że to mój kuzyn Sinclair.

Wpatrywałam się w niego, a babcia i pani Lumley stały obok, uradowane, że udało im się wspólnie zaplanowana niespodzianka. Sinclair podszedł, objął mnie i zaczął całować, nim udało mi się złapać oddech.

- Sądziłam, że jesteś w Londynie - wydusiłam z siebie słabym głosem.

- No cóż, nie jestem... Jestem tutaj.

- Ale jak...? Dlaczego...?

- Dostałem kilkudniowy urlop.

Dla mnie?! Poprosił o urlop, by móc tu być, gdy wrócę do Elvie? Było to ekscytujące i - przyznaję - schlebiali mi nieco, ale zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, babcia wydała nam dyspozycje:

- Nie stójmy tu wszyscy... Sinclair, może zaniósłbyś walizkę Jane do jej pokoju. A ty, kochanie, gdy już umyjesz ręce, zjedź na dół. Zjemy śniadanie. Na pewno będziesz odczuwać zmęczenie po takiej podróży.

- Nie jestem zmęczona - odpowiedziałam, bo naprawdę nie czułam zmęczenia. Byłam ożywiona, czujna i pełna energii.

Sinclair chwycił moją walizkę i biorąc po dwa stopnie naraz wbiegł z nią na piętro, a ja podążałam za nim tak lekko, jakbym miała skrzydła u nóg.

Moja sypialnia, której okna wychodziły na ogród i jezioro, była nie-ludzko czysta i wypolerowana, ale nic się w niej nie zmieniło. Wciąż stało tu białe łóżko przysunięte do okiennego wykusza, gdzie zawsze lubiłam sypiać. Na toalecie leżała poduszczyk na szpilki, a w szafie wisały woreczki lawendy. Ten sam niebieski dywan okrywał podni-szczony fragment podłogi.

Gdy zdjęłam już z siebie płaszcz i umyłam ręce, wszedł Sinclair i rzu-cił się na moje łóżko, okropnie przy tym gniotąc okrywającą je białą narzutę. Przyglądał mi się. Oczywiście zmienił się przez te siedem lat, ale różnice, jakie w nim zauważyłam, wydawały się zbyt subtelne, by można je było precyzyjnie określić. Z pewnością zeszcupiał i kilka zmarszczek pojawiło się wokół jego ust i kącików oczu, to wszystko. Był bardzo przystojny; ciemne brwi i rzęsy okalały ciemnoniebieskie oczy spoglądające spod lekko przymrużonych powiek. Miał prosty nos i ładnie zarysowane pełne usta, których dolna warga przed laty, gdy był dzieckiem, nadawała mu wyraz nadaśania. Jego gęste i proste włosy opadały na kołnierzyk koszuli, a zaczesywał je tak, by fryzura miała spiczaste zakończenie. Było to więc uczesanie pośrednie między królują-cymi w Reef Point modelami: „krótki surfer” i „długi hippis”, i bardzo mi się podobało. Tego ranka miał na sobie niebieską koszulę z bawełnianą

apaszka zawiązana wokół szyi i sprane lniane spodnie ścignięte w tali plecionym wełnianym paskiem.

- Czy naprawdę jesteś na urlopie? - zapytałam czekając, że potwierdzi słuszność moich nadziei.

- Oczywiście - odpowiedział krótko, nie potwierdzając niczego.

Poddałam się.

- Słyszałam, że pracujesz w jakiejś agencji reklamowej?

- Tak, w firmie „Strutt i Seward”. Jestem asystentem dyrektora.

- To dobra praca?

- Pokrywają koszty wydatków reprezentacyjnych.

- Masz na myśli obiady z ważnymi klientami?

-To nie muszą być obiady. Jeśli ważny klient jest... śliczną kobietą, będzie to raczej intymna kolacja przy świecach.

Drobne ukłucie zazdrości okazało się głębokie. Siedząc przed lustrem toaletki, rozczesywałam długie pasmo włosów.

- Zapomniałem, że masz tak długie włosy, zwykle nosiłaś warkocze. Są jak jedwab - powiedział, nie zmieniając wyrazu twarzy.

- Codziennie przyrzekam sobie, że je obetnę, ale jakoś nie mogę się zdecydować.

Skończyłam się czesać i przyklekając obok niego na łóżku, otworzyłam okno i głęboko wdychałam świeże powietrze.

- Wspaniały zapach - powiedziałam - to aromat wilgotnej jesieni.

- Czy Kalifornia nie pachnie wilgotną jesienią?

- Przez większą część roku pachnie ropą naftową - odparłam, mając na myśli Reef Point.

- A jak się żyje wśród czerwonoskórych?

Rzuciłam mu krótkie spojrzenie, które jednak najwyraźniej sprawiło, że stał się jeszcze bardziej zaczepny.

- Mówiąc szczerze, Jane, bałem się, że zobaczę cię żującą gumę, obwieszoną aparatami fotograficznymi i zwracającą się do mnie: „Okay, Sin...”

- Jesteś niemodny, braciszku - odparłam.

- ...kontestująca, z transparentem: „Uprawiajcie miłość, a nie wojnę!”

Powiedział to z owym starszym amerykańskim akcentem, co wydawało się tak samo nudne, jak kalifornijskie przedrzeźnianie mego „okropnie brytyjskiego” sposobu mówienia.

- Obiecuję, że gdy zacznę kontestować, będziesz pierwszy, który się o tym dowie - odparłam.

Przyjmując moje słowa ze złośliwym błyskiem w oczach zapytał:

- Jak się miewa twój ojciec?

- Zapuścił brodę i wygląda jak Hemingway.

- Wyobrażam sobie...

Dwie dzikie kaczki wylądowały na jeziorze i płynęły do brzegu z niewielkim prądem białej fali, której zdawały się lekko dotykać. Obserwaliśmy je, a po chwili Sinclair ziewnął, przeciągnął się i wymierzwszy mi lekkiego braterskiego klapsa powiedział, że czas na śniadanie. Więc wstaliśmy z łóżka, zamknęliśmy okno i zeszliśmy na dół.

Stwierdziłam, że jestem bardzo głodna. Jajka na bekonie, dżem i gorące rogaliki... Gdy ja zajęta byłam jedzeniem, Sinclair i babcia toczyli chaotyczną rozmowę; śniadaniową pogawędkę o wiadomościach w lokalnej prasie i o wystawie kwiatów, a także o liście, jaki babcia otrzymała od leciwego kuzyna, który pisał, że ma zamiar przeprowadzić się do miejscowości o nazwie Mortar.

- Dlaczego, u licha, chce tam zamieszkać?

- No cóż, w Mortar jest tanio i ciepło. Biedny staruszek zawsze cierpiał na reumatyzm.

- A jak zamierza spędzić tam resztę swoich dni? Obwożąc turystów kajakiem po wodach Grand Harbour?

Dopiero teraz zrozumiałam, że rozmawiali o Malcie. Mortar, Malta... Byłam bardziej zamerykanizowana, niż mi się to przedtem wydawało.

Babcia nalewała kawę. Przyglądając się jej obliczyłam, że musi mieć już ponad siedemdziesiąt lat, wciąż jednak wyglądała dokładnie tak, jak ją zapamiętałam: wysoka, pełna dostojeństwa i bardzo przystojna. Jej

białe włosy uczesane były nienagannie, a oczy, osadzone głęboko pod wspaniale zarysowanymi łukami brwi, jaśniały błękitem i wydawały się bardzo przenikliwe. W tej chwili jej spojrzenie było czarująco młodzieńcze, ale ja wiedziałam, że potrafiła wyrazić wielką dezaprobatę lekkim uniesieniem brwi i zimnym niebieskim blaskiem oczu. Jej stroje, stosowne do każdego wieku, były nieodparcie twarzowe. Wrzosowe spódnice z miękkiego tweedu i kaszmirowe swetry lub cardigany. W dzień nosiła swoje perły i koralowe kolczyki w kształcie łez. Wieczorem zawsze skromny diament lub dwa iskrzyły się na jej ciemnych aksamitach, ponieważ nie odstępowała od staroświeckiego zwyczaju codziennego przebierania się do kolacji, nawet wtedy, gdy we własnym gronie jedliśmy jajecznicę.

I gdy tak siedziała u szczytu stołu, zastanawiałam się, jak wiele spadło na nią tragedii. Najpierw zmarł jej mąż, potem straciła córkę, a teraz syna, owego nieokielznanego Aylwyna, który wybrał życie i śmierć w Kanadzie. Sinclair i ja byliśmy wszystkim, co jej pozostało. No i Elvie. Jednak żadne z tych nieszczęść nie załamało babci, a jej sposób bycia pozostał energiczny. Z wdzięcznością myślałam o tym, że nigdy nie stanie się jedną ze smutnych, starych niewiast, nieustannie wspominających minione dni. Była na to zbyt aktywna, zbyt wszystkiego ciekawa, zbyt inteligentna. Niezniszczalna, pomyślałam z zadowoleniem. Taka właśnie jest. Niezniszczalna.

Po śniadaniu odbyliśmy z Sinclairem rytualny spacer wokół wyspy, niczego po drodze nie omijając. Wyszliśmy przez bramę prowadzącą w stronę cmentarza, obeszlśmy wszystkie nagrobki i zajrzeliśmy w oczodoły okien do wnętrza starego kościoła. Potem przeskoczyliśmy przez mur i odprowadzani wzrokiem zdziwionych krów, udaliśmy się nad jezioro. Zakłócając spokój ptasiej pary, urządziliśmy sobie konkurs „puszczania kaczek”, rzucając do wody płaskie kamyczki i bacznie obserwując, które z nas robi to lepiej. Wygrał Sinclair. Potem poszliśmy na koniec pomostu, by zobaczyć starą, dziurawą łódź, która kiedyś była pira-

tem tych wód. Rozluźnione deski starego mola podwajały odgłos naszych kroków.

- Pewnego dnia ten pomost się zapadnie - powiedziałam.

- Nie ma sensu go naprawiać, jeśli nie jest używany. Poszliśmy dalej wokół jeziora, a potem spacerowaliśmy

pod rozłożystymi bukami, gdzie kiedyś budowaliśmy nasze szałas. Następnie minęliśmy brzozy lasek, szumiący spokojnie opadającymi liśćmi. Wracaliśmy do domu drogą wiodącą obok rozmaitych przybudówek - opuszczonych tuczarni i stajen - mijając też starą wozownię, która od dawna służyła za garaż.

- Chodź, obejrzyj mój samochód - powiedział Sinclair. Odsunęliśmy rygiel i wielką, staromodną bramę, która ustąpiła ze zgrzytem, by pokazać nam stojącego obok staroświeckiego, dostojnego daimlera babci, ciemnopomarańczowego lotusa elana z opuszczonym dachem; niskiego i... bezgranicznie niebezpiecznego.

Sinclair usiadł za kierownicą i wyprowadził samochód z garażu.

Silnik wydawał z siebie pomruki groźnego tygrysa, a Sinclair demonstrował swój samochód, chwając się - niczym mały chłopiec zabawką - różnymi dodatkowymi urządzeniami: elektrycznie otwieranymi oknami, łatwo opuszczającym się dachem, autoalarmem i osłonami przednich reflektorów, które otwierały się i zamykały niczym ogromne powieki.

- Jaką osiąga szybkość? - dociekałam rzeczowo.

- Sto dwadzieścia... sto czterdzieści - odparł ze wzruszeniem ramion.

- Nie ze mną.

- Poczekaj, dopóki nie zostaniesz zaproszona, moje dziewczątko z serduszkami kurczątkami.

- Powyżej sześćdziesiątki nie mógłbyś jeździć żadną z tutejszych dróg bez obawy, że z niej nie wylecisz.

Wysiadł z samochodu.

- Nie wstawisz go do garażu?

- Nie - rzucił okiem na zegarek - umówiłem się na strzelanie do gołębi.

Poczułam, że jestem w domu. W Szkocji mężczyźni zawsze chodzą strzelać, niezależnie od wszelkich planów, jakie z myślą o nich mogłyby przygotować kobiety.

- Kiedy wrócisz?

- Na popołudniową herbatę. A potem - uśmiechnął się szeroko - wpadniemy do Gibsonów. Nie mogą się doczekać, by cię zobaczyć. Obiecałem, że do nich przyjdziemy.

- Dobrze, wybierzemy się tam.

Wróciliśmy do domu; Sinclair - by się przebrać i wziąć swój sprzęt myśliwski, ja zaś - by rozpakować się w swoim pokoju.

Gdy tylko znalazłam się w domu, uderzył mnie chłód. Drżąc z zimna uświadomiłam sobie, że już tęsknię za kalifornijskim słońcem i amerykańskim centralnym ogrzewaniem. Ściany Elvie były bardzo grube. W kominkach palono nieustannie i zawsze stały tu galony ciepłej wody, ale sypialnie wydawały się zdecydowanie chłodne. Układając swoje ubrania w pustych szufladach, doszłam do wniosku, że mimo licznych zalet nie były zbyt grube i ciepłe. Wybierając się do Szkocji, powinnam była nabyć kilka nowych. Może babcia, pomyślałam uradowana, coś by mi kupiła. Z tą myślą zeszałam na dół. Babcia wychodziła właśnie z kuchni. Miała na sobie kalosze i stary płaszcz przeciwdeszczowy, w ręku zaś trzymała koszyk.

- Właśnie cię szukałam - powiedziała. - Gdzie jest Sinclair?

- Poszedł polować na gołębie.

- Ach tak, mówił, że nie będzie na obiedzie. Chodź, pomożesz mi zbierać brukselkę.

Nasze wyjście opóźniło się nieco, bo musiałam znaleźć kalosze i stary płaszcz.

Ogrodnik Will przekopywał jakąś grządkę, ale kiedy nas dostrzegł, przerwał pracę i stąpając po świeżo skopanej ziemi, zmierzał ku nam z wyciągniętą ubłoconą ręką, by mnie przywitać.

- Ech, ilez to czasu minęło od pani ostatniego pobytu w Elvie! - Nigdy nie mówił wyraźnie, bo sztucznej szczęki używał tylko w niedzielę. - Jak też się żyje w tej Ameryce?

Opowiedziałam mu trochę o życiu w Ameryce. Potem Will zapytał o mojego ojca, ja zaś o panią Will, która - jak się okazało - nieustannie niedomagała. Po tej rozmowie Will wrócił do kopania, a babcia i ja zbierałyśmy brukselkę.

Po napełnieniu koszyka powinnyśmy pójść do domu, ale dzień był tak rześki i spokojny, że babcia zmieniła plany.

Pospacerowałyśmy więc sobie po ogrodzie, a potem siedząc na białej, metalowej ławce rozkoszowałyśmy się widokiem drzew, jeziora i leżących za nim gór. Kwietniki i klomby pełne były dali, cynii i astrów, a lśniąca od rosy trawę pokrywały ciemnoczerwone liście kanadyjskiego klonu.

- Jesień to cudowna pora roku - powiedziała babcia - niektórym wydaje się smutna, ale na to jest przecież zbyt piękna.

- „Wrzesień należy do tych, którzy do życia budzą się jesienią” - odparłam.

- Kto to napisał?

- Louis MacNeice. Czy budzisz się do życia?

- Gdybym miała dwadzieścia lat mniej... Zaśmiałymy się, a babcia ścisnęła moją rękę.

- Jane, jak to wspaniale mieć cię tutaj znowu.

- Przyjechałabym wcześniej, ale... to naprawdę nie było możliwe.

- Wiem, oczywiście... Byłam egoistką nalegając na to.

- Twoje listy do ojca... Nie wiedziałam o nich, skłoniłabym go do odpowiadania.

- Zawsze był uparty. - W jej oczach pojawił się ostry, niebieski błysk.
- Nie chciał, byś tu przyjechała?

- Sama podjęłam decyzję. Musiał się z nią pogodzić. Poza tym fakt, że miał mnie tu przywieźć David Stewart, zmniejszył jego obiekcje.

- Bałam się, że nie będziesz mogła go zostawić.

- Nie. - Schyliłam się, podniosłam liść klonu i zaczęłam strzępić go palcami. - Została z nim przyjaciółka.

Znów ten krótki, uważny błysk.

- Przyjaciółka?

Spojrzałam na nią ze smutkiem. Zawsze była kobietą o twardych zasadach, ale nigdy świętoszką.

- Linda Lansing, aktorka, jego aktualna przyjaciółka.

- Rozumiem - odpowiedziała po chwili.

- Nie, to nie jest to, o czym myślisz. Lubię ją. Będzie opiekować się ojcem do chwili mego powrotu.

- Doprawdy nie wiem - powiedziała babcia - czemu nie ożenił się po-
nownie.

- Być może nigdzie nie zatrzymał się wystarczająco dłużej, żeby zdą-
żono ogłosić zapowiedzi.

- Jakież do samolubne. To cię pozbawiło szansy wyjazdu, powrotu,
spotkania z nami, a nawet robienia jakiejś własnej kariery.

- Kariera jest jedyną rzeczą, jakiej nigdy nie pragnęłam.

- W dzisiejszych czasach każda dziewczyna powinna móc utrzymy-
wać się sama.

Powiedziałam, że czuję się bardzo szczęśliwa, będąc na utrzymaniu
ojca. Babcia zaś odrzekła, że ojciec jest jak zwykle uparty, ale czy do-
prawdy nigdy nie pomyślałam o jakiejś pracy?

Myślałam intensywnie, ale przypominałam sobie tylko to, że jako
ośmioletnia dziewczynka chciałam wstąpić do cyrku i pomagać czyścić
wielbłądy. Moja babcia z pewnością by tego nie pochwaliła.

- Nie, nie myślałam o tym - odpowiedziałam więc.

- Moja biedna Jane...

Byłam gotowa bronić ojca jak lwica.

- Wcale nie biedna, ani trochę. Nie wydaje mi się, bym cokolwiek
straciła... - odpowiedziałam gwałtownie, ale po chwili, chcąc to złago-

dzić, dodałam - z wyjątkiem Elvie. Tęskniłam za Elvie. I za tobą. Za wszystkim.

Nic już nie odpowiedziała.

Wyrzuciłam strzępy porozrywanego liścia i schyliłam się po następny.

- David Stewart opowiedział mi o wujku Aylwynie. Nie rozmawiałam o tym z Sinclairem... ale... było mi przykro... Mieszkał tak daleko... to wszystko, co się stało...

- Tak. - Jej głos był pozbawiony wyrazu. - Ale już wtedy sam dokonał wyboru... mieszkać w Kanadzie i umrzeć tam. Powinnaś wiedzieć, że Elvie nigdy nie znaczyła wiele dla Aylwyna. Był przede wszystkim niepokojnym duchem.

Bardziej niż czegokolwiek innego, potrzebował towarzystwa wielu różnych ludzi. Lubił różnorodność we wszystkim, co robił. Pod tym względem Elvie nigdy nie była najlepszym miejscem...

- Jakie to dziwne... człowiek urodzony w Szkocji... tyle tu atrakcji...

- To prawda, on jednak nie lubił strzelania, nie chodził na ryby. Nudziło go to. Lubił konie i wyścigi.

Uświadomiłam sobie, nie bez zdziwienia, że po raz pierwszy rozmawiamy o wujku Aylwynie. I to nie dlatego, że przedtem unikało się tego tematu. Po prostu wcale mnie to nie interesowało. Teraz jednak zrozumiałam, że coś nienaturalnego kryło się w tym, iż tak mało o nim wiedziałam. Nie miałam nawet pojęcia, jak wyglądał, ponieważ moja babcia, w odróżnieniu od swych rówieśniczek, nie lubiła wystawiania rodzinnych fotografii. Te, które miała, były starannie umieszczane w albumach, nie zaś oprawiane w srebrne ramki i ustawiane na fortepianie.

- Jakim człowiekiem był wujek Aylwyn? Jak wyglądał?

- Jak wyglądał? Tak jak Sinclair teraz. Był czarujący. Gdy wchodził do pokoju, wszystkie kobiety ożywiały się, uśmiechały i stawały bardziej pociągające. To całkiem zabawny widok.

- Już byłam bliska zapytania o Sylvie, ale babcia ubiegła mnie, spoglądając na zegarek i znów zmieniając nastrój.

- Muszę już iść i zanieść brukselkę pani Lumley, w przeciwnym razie nie zdąży ugotować jej na obiad. Dziękuję za pomoc w zrywaniu. Bardzo się cieszę z naszej rozmowy.

Sinclair, zgodnie z obietnicą, przyjechał do domu na herbatę, potem założyliśmy płaszcze i gwizdnąwszy na psy, wyruszyliśmy na pogawędkę do Gibsonów.

Mieszkali w małym domku na stoku wzgórza, które wznosiło się na północ od Elvie, musieliśmy więc zejść z cypla i zmierzając główną drogą, dojść do ścieżki wijącej się wśród traw i wrzosów. Ominęliśmy rwący strumyk toczący swe wody do jeziora Elvie. Strumyk ten wypływał z głębi wysokich gór, potem zaś biegł doliną i wzgórzami będącym: częścią posiadłości babci.

Kiedyś urządzano tu polowania, podczas których uczniowie byli naganieczami, a górskie kucyki nosiły leciwych dżentelmenów na ich stanowiska strzeleckie. Teraz wrzosowisko wydzierżawiono stowarzyszeniu miejscowych biznesmenów, którzy przez dwie lub trzy soboty sierpnia zażywa li tu spacerów, przywozili swoje rodziny na pikniki lub wędkowali w wodach potoku.

Stanąwszy u celu naszej wyprawy, usłyszeliśmy kakofonię dźwięków dobiegających z psiarni. Po chwili w drzwiach domu pojawiła się zaniepokojona tym hałasem pani Gibson. Sinclair pomachał ręką na powitanie, ona zaś - uczyniwszy ten sam gest - szybko zniknęła we wnętrzu.

- Poszła nastawić wodę na herbatę...? - szepnęłam.
- ...albo uprzedzić Gibsona, by włożył szcękę.
- To niezbyt uprzejme.
- Nie. Ale prawdopodobne.

Pół tuzina białych kur dziobało w ziemi tuż obok stoją cego przy domu starego land-rovera. Na rozciągniętym sznurze łopotąła zeszywniała na wietrze bielizna. Gdy podeszliśmy do drzwi, pani Gibson, już bez fartucha, po jawiła się w nich ponownie. Jej bluzkę zdobiła broszka z kameą, przypięta do kołnierzyka, a twarz - promienny uśmiech od ucha do ucha.

- Och, panna Jane. Nigdy bym panienki nie poznała mówiłam to Willowi, ale on powiedział, że wcale się panienka nie zmieniła. I pan Sinclair... nie wiedziałam, że pan tu jest.

- Kilkudniowy urlop...

- Wejdźmy, Gibson właśnie pije herbatę.

- Mam nadzieję, że nie sprawiamy państwu kłopotu... Sinclair stał z boku czekając, bym weszła pierwsza

Przezornie pochyłając w drzwiach głowę, wkroczyłam do kuchni. W palenisku czerwienią płonął ogień. Gibson wstał właśnie od stołu uginającego się pod ciężarem bułek, ciasteczek, masła, dżemu, herbaty, mleka i miodu. W powietrzu unosił się także zapach smażonego dorsza.

- Och, przeszkadzamy panu...

- Ależ skąd, ani trochę...

Ściskając wyciągniętą ku mnie rękę, poczułam, że jest sucha i grzłowata jak kora starego drzewa. Bez swojego tweedowego kapelusza wydawał się nieznany, obcy i tak odsłonięty na ciosy niczym policjant bez hełmu. Jego łysinę okrywało tylko kilka kosmyków siwych włosów. I właśnie wtedy uświadomiłam sobie, że wśród wszystkich moich przyjaciół w Elvie on był jedynym, który naprawdę się zestarzał. Miał wyblakłe oczy, posiwiałe brwi i rzęsy. Schudł i przygarbił się, a jego głos stracił swą siłę.

- Słyszeliśmy, że wybiera się pani do domu. Odwrócił się, gdy Sinclair dołączył do nas, wchodząc do rozgrzanego pomieszczenia.

- Więc i pan jest tutaj, Sinclair.

- Dzień dobry, Gibson.

Pani Gibson krzątała się, wskazując nam miejsca.

- On właśnie je podwieczorek, ale proszę siadać. Gibson zaraz skończy. Panna Jane usiądzie obok, blisko kuchni jest ciepło i przyjemnie.

Usiadłam tak blisko, że obawiałam się, iż się upiekę.

- Czy napije się pani herbaty?

- Z przyjemnością.

- Zrobię coś do zjedzenia.

Ruszyła w stronę przylegającego do kuchni pomieszczenia i przechodząc koło męża, położyła mu rękę na ramieniu.

- Usiądź, kochanie, i skończ swego dorsza. Jane nie będzie miała nic przeciwko temu.

- Ależ oczywiście, proszę skończyć posiłek.

Gibson powiedział jednak, że jest już najedzony, więc pani Gibson zabrała jego talerz, jakby było na nim coś nieprzyzwoitego, i poszła napełnić czajnik. Sinclair wyciągnął krzesło zza stołu i usiadł twarzą do Gibsona, na wprost platerowanej patery z ciastem. Wyjął papierosy, poczęstował starego dozorcę, a potem pochylając się nad stołem, podał mu ogień.

- Jak się państwo miewają? - zapytałam.

- Och, nieźle ...lato było suche. Słyszałem, że chodził pan wczoraj na gołębie - rzekł, zwracając się do Sinclaira. - Jak poszło?

Rozmawiali, a ja przysłuchując się tej konwersacji i przyglądając się obydwóm - mając z jednej strony młodego i silnego, z drugiej zaś starego człowieka - z trudem przypominałam sobie, że kiedyś Gibson był jedynym mężczyzną wobec którego Sinclair czuł prawdziwy respekt.

Pani Gibson wróciła z dwiema czystymi - zapewne najlepszymi, jakie miała - filiżankami, napełniła je herbatą i częstowała nas bułeczkami i kruchymi ciasteczkami, za które jednak uprzejmie podziękowaliśmy. Potem usiadła po drugiej stronie paleniska i ucięłyśmy sobie przyjemną pogawędkę. Wypytywana o ojca odpowiadałam, co u niego słychać, potem ja z kolei pytałam o jej synów i dowiedziałam się, że Hamish jest w wojsku, a George'owi udało się dostać na uniwersytet w Aberdeen, gdzie studiuje prawo.

Byłam tym mile poruszona.

- Ależ to wspaniale! Nie wiedziałam, że jest tak zdolny!

- Zawsze był bardzo pracowitym chłopcem, a książki po prostu pożerał.

- Więc ani Hamish, ani Georg nie pójdą w ślady swego ojca

- Och, młodzi mają inne plany. Nie chcą spędzać całego życia na wzgórzach, nie bacząc na pogodę... tu jest zbyt spokojnie. Zresztą nie można ich winić. Dzisiaj nie ma tu już dla nich życia i choć udało się nam dobrze wychować synów, nie znajdują w okolicy odpowiedniej pracy. W mieście -w fabryce lub w biurze - mogą zarobić trzy razy więcej.

- Męża to nie martwi?

- Nie. - Spojrzała na niego czule, ale był zbyt zajęty roz

mową z Sinclairem, żeby to zauważyć. - Zawsze chciał, by zajmowali się tym, na co mają ochotę i wszystko robił dla nich. Zachęcał George'a i twierdził - tu pani Gibson nieświadomie zacytowała Barrie'ego - że „nie równa się porządnemu

wykształceniu”.

- Ma pani jakieś fotografie? Bardzo chciałabym zobaczyć, jak teraz wyglądają.

Była uszczęśliwiona moją prośbą.

- Fotografie wiszą nad moim łóżkiem. Zaraz je przyniosę. Wysłała pośpiesznie i po chwili usłyszałam, jak wspina się po schodach, a następnie przemierza pokój położony nad kuchnią. Siedzący obok Gibson mówił:

- Moim zdaniem te stare ambony myśliwskie są jeszcze dobre, budowano je tak, aby się długo trzymały. Teraz trochę zarosły.

- A ptaki?

- Jest ich niewiele. Wiosną widziałem za to parę lisic z młodymi.

- Ma pan jeszcze krowy?

- Trzymam je z dala od domu. Wielkie wrzosowisko wypaliło się na początku sezonu.

- Czy to wszystko nie jest już dla pana zbyt ciężkie?

- Nie, jeszcze mam dość siły.

- Babcia mówiła, że ostatniej zimy spędził pan w łóżku tydzień lub dwa.

- Lekko tylko musnęła mnie jakaś grypa. Lekarz coś mi przepisał... Nie należy słuchać tego, co mówią kobiety...

Pani Gibson usłyszała ostatnie słowa, wracając z fotografiami.

- Mówiłeś coś o kobietach?

- Jesteście jak stare kwoki... wielkie zamieszanie o niewielką grypę...

- Nie była taka niewielka i musiałam zatrzymać go w łóżku - wyjaśniła pani Gibson, zwracając się do Sinclaira. Zapominała o fotografiach, zainteresowana nowym tematem - ...i wcale nie jestem taka pewna, czy to była tylko grypa ...Prosiłam, by zrobił sobie prześwietlenie, ale nie chciał o nim słyszeć.

- Powinien pan...

- Nie mam czasu, by jeździć do Inverness... - Jakby znudzony wątkiem dotyczącym swego zdrowia, chcąc zmienić temat rozmowy, przesunął się z krzesłem do mnie, by przez moje ramię popatrzeć na fotografie synów: Hamisha w mundurze kaprała i George'a upozowanego do oficjalnego zdjęcia.

- Czy żona mówiła już, że George studiuje na uniwersytecie? - upewniał się. - Jest już na trzecim roku. Będzie prawnikiem. Pamiętacie czasy, gdy pomagał wam budować szałas?

- Ten szałas ciągle tam stoi. Wcale się jeszcze nie zawalił!

Zamierzałyśmy dalej pogawędzić, ale wtedy Sinclair odstawił swoje krzesło mówiąc, że musimy już wracać. Gibso nowie odprowadzili nas do wyjścia, a psy ponownie słysząc ludzkie głosy zaczęły ujadać, więc podeszliśmy do bud, by je zobaczyć. Były to dwie suki; czarna i jasna. Ta druga miała miękką, kremową sierść i ujmujący wyraz ciemnych, nieco skośnych oczu.

- Wygląda jak Sophia Loren! - wykrzyknęłam.

- O tak, jest śliczna - powiedział Gibson. - Ma teraz swój czas, więc zabieram ją jutro do Braemar. Pewien człowiek ma tam odpowiedniego psa. Pomyślałem, że moglibyśmy dochować się kilku szceniąt.

Sinclair podniósł brwi.

- Jedzie pan jutro? O której?

- Wyjadę przed dziewiątą.

- A pogoda? Co mówią prognozy na temat jutrzejszego dnia?

- W nocy będzie trochę wiatru, który rozproszy te chmury. Jednym słowem; wspaniała pogoda na weekend.

Sinclair odwrócił się do mnie z uśmiechem.

- Co ty na to?

Bawiłam się z psem i nie słyszałam, o czym rozmawiali.

- A o co chodzi?

- Gibson jedzie jutro rano do Breamar. Moglibyśmy się z nim zabrać i wrócić do domu przez Lairig Ghru... - powiedział Sinclair, a następnie zwrócił się do Gibsona: - Czy mógłby pan potem przejechać przez Rothiemurchus i zabrać nas stamtąd?

- Tak, mogę, proszę tylko powiedzieć o której. Sinclair zastanowił się przez chwilę.

- Około szóstej? O tej porze powinniśmy już tam być! -Spojrzał na mnie ponownie. - Co ty na to, Jane?

Nigdy nie chodziłam przez Lairig Ghru. W dawnych czasach, każdego lata ktoś z Elvie zawsze tam wyruszał i ja także miałam na to ochotę, ale nigdy nie brano mnie na tę wycieczkę, bo... moje nogi nie były wystarczająco długie. Ale teraz...

Spojrzałam na niebo. Chmury poranka nie rozwiały się. Wracały teraz i dzień gasł otulony mgłą.

- Czy jutro naprawdę będzie dobry dzień?

- O, tak i bardzo ciepły - odpowiedział Gibson z niewzruszoną pewnością.

- Chciałabym tam pójść, bardzo...

- A więc postanowione. Zatem jutro o dziewiątej przed domem?

- Będę na pewno - obiecał Gibson

Podziękowaliśmy za herbatę i pożegnaliśmy ich. Schodząc ze wzgórza mokrą drogą, udaliśmy się do Elvie. Przejmująco wilgotne powietrze zmieniło się w gęstą mgłę i pod bukami było ciemno. Ogarnęło mnie nagle przynębienie. Nie chciałam, by cokolwiek się zmieniło... chciałam tylko, by Elvie była dokładnie taka, jaką zapamiętałam, ale widok Gibsona, który bardzo się postarzał, przyprawił mnie o wstrząs. Chorował,

sam to powiedział. Pewnego dnia umrze. Myśl o śmierci w tej zimnej szarej godzinie sprawiła, że zadrżałam.

- Zmarzłaś? - zapytał Sinclair.

- Nie, wszystko w porządku. To był długi dzień.

- Jesteś pewna, że chcesz jutro tam pójść? To piekielny kawał drogi.

- Tak, oczywiście. - Byłam już bardzo senna. - Poprosi my panią Lumley, by przygotowała nam kanapki.

Wyszliśmy spod buków wprost na ponurą północną stro nę naszego domu rysującego się na tle pociemniałego nie ba. Jedna tylko lampa paliła się, rozjaśniając żółtym świa tłem niebieski półmrok. Postanowiłam, że przed kolacją wezmę gorącą kąpiel, po której z pewnością nie będę już czuła ani chłodu, ani przygnębienia.

Rozdział 6

Miałam rację. Wypluskawszy się w jedwabistej szkockiej wodzie, zapadłam w lekki sen. Przez zasłonięte okna ciemnego pokoju dobiegały mnie odgłosy nie kończącego się gęgania dzikich gęsi.

Po godzinie wstałam ponownie i ogarnięta nieokreśloną ideą uczynienia z mojego pierwszego wieczoru w domu wydarzenia prawdziwie niezwykłego, zadałam sobie trud upięcia włosów i dokonałam wszystkich sztuczek upiększających oczy. Następnie wyjęłam mój jedyny wizy-

towy strój: czarnozłoty kaftan z ciężkiego jedwabiu, misternie haftowany złotą nitką, który mój ojciec znalazł w mrocznym chińskim sklepiku przy jakiejś bocznej ulicy San Francisco i któremu nie mógł się oprzeć.

Ten strój nadawał mi królewski wygląd. Włożyłam też kolczyki i skropiwszy się odrobiną perfum, zesłam na dół. Zjawiłam się trochę za wcześnie, ale właśnie o to mi chodziło. Leżąc w łóżku, powziłam pewien plan, który tu właśnie miał się zrealizować.

Salon mojej babci, przygotowany już na wieczór, uderzająco przypominał uroczą scenografię teatralną: zaciągnięte aksamitne zasłony, miękkie poduszki, równo ułożone kolorowe czasopisma i płonący kominek. Wnętrze oświetlone było dwiema lampami. Języki ognia płonącego w kominku odbijały się w osłaniającej go, kutej w brązie kracie, w pojemniku na węgiel, a także na powierzchniach wszystkich czule wypolerowanych mebli stojących w salonie. Było tu dużo kwiatów i puzderek wypełnionych papierosami. Mały stolik, pełniący funkcję baru, ugiął się pod ciężarem butelek, kieliszków, kubelka z lodem i niewielkiej miseczki z orzeszkami.

Po drugiej stronie salonu, obok kominka, stała bogato zdobiona, pękata etażerka; zwieńczona na górze oszkloną półką na książki, na dole zaś używająca swego wnętrza trzem głębokim i ciężkim szufladom. Odsunęłam na bok mały stolik, podeszłam do niej i przyklekłam, by otworzyć dolną szufladę. Mocując się z ciężką szufladą, której uchwyt został kiedyś złamany, usłyszałam, że otworzyły się drzwi i ktoś wszedł do środka. Wszystko na nic, pomyślałam, ale nim zdołałam się podnieść, tuż za mną rozległ się czyjś głos.

- Dobry wieczór.

To był David Stewart. Odwróciwszy się przez ramię zobaczyłam, że stoi nade mną i wygląda zaskakująco romantycznie w granatowej wizytowej marynarce.

Byłam zbyt zaskoczona, by zdobyć się na uprzejmość.

- Całkiem zapomniałam, że będziesz na kolacji.

- Obawiam się, że przyszedłem trochę za wcześnie. Nie spotkałem po drodze nikogo, więc pozwoliłem sobie tu wejść. A ty co robisz? Szukasz podsłuchu, czy bawisz się w chowanego?

- Nic z tych rzeczy. Staram się otworzyć szufladę.

- Po co?

- Kiedyś przechowywano w niej albumy ze zdjęciami. Sądząc po wadze tej szuflady, wciąż tutaj są.

- Pozwól, że ja spróbuję...

Posłusznie odsunęłam się na bok i patrzyłam, jak przykucnął, ujął obydwie uchwyty i delikatnie wysunął szufladę.

- W czymś wykonaniu - powiedziałam - wydaje się to takie łatwe.

- Jest w niej to, czego szukałaś? -Tak.

W otwartej szufladzie leżały trzy stare, pękate, ważące tonę albumy.

-Miałaś zamiar oddać się długiej nostalgicznej zadumie? - zapytał, wskazując na albumy. - To zabrałoby ci resztę wieczoru.

-Nie, oczywiście, że nie. Chcę tylko znaleźć fotografię ojca Sinclaira. Myślałam, że może jest tu ślubne zdjęcie.

Zapadło krótkie milczenie.

-Skąd wzięła się ta nagle chęć znalezienia zdjęcia Aylwyna Baileya?

-No cóż, być może wyda ci się to śmieszne, ale nigdy nie widziałam żadnej jego fotografii. To znaczy; babcia nigdy jej nigdzie nie umieściła. Sądzę, iż żadnej z nich nie ma nawet w swoim pokoju... Nie pamiętam, bym widziała tam jakieś jego zdjęcie. Zabawne, prawda?

-Niekoniecznie. W każdym razie nie wtedy, gdy się ją zna.

Zdecydowałam się mu zaufać.

-Rozmawialiśmy o nim dzisiaj. Powiedziała mi, że przypominał Sinclaira. Powiedziała też, że był bardzo czarujący. Opowiadała, że wystarczyło, by wszedł do pokoju, a wszystkie kobiety gromadziły się wokół niego. Jako mała dziewczynka, nie myślałam o nim wiele... Był po prostu mieszkającym w Kanadzie ojcem Sinclaira. Ale... doprawdy nie wiem... nagle poczułam ciekawość.

Wyciągnęłam pierwszy album i otworzyłam go, ale znajdowały się w nim zdjęcia sprzed zaledwie dziesięciu lat, więc od razu umieściłam go z powrotem w szufladzie i sięgnęłam po następny. Był elegancki, oprawny w skórę i pełen fotografii - wyblakłych już i przybierających barwę sepii - wklejonych z geometryczną precyzją i opisanych białym atramentem.

Przerzucałam kolejne strony: polowania, pikniki, zdjęcia robione na łonie natury i portrety wykonane w fotograficznym atelier, na tle malowanych pejzaży i doniczkowych palm. Jakaś elegancka kobieta i mała dziewczynka w czarnych pończoszkach - to moja mama - przebrana za Cyganke.

A potem zdjęcie z wesela. To jest to. Moja babcia wyglądająca majestatycznie w długiej sukni i czymś, co przypominało aksamitny turban. Mama, uśmiechnięta radośnie jakby postanowiła wyglądać na osobę, która dobrze się bawi. Mój ojciec, młody i szczupły, bez brody, za to z wyrazem cierpienia na twarzy. Pewnie miał zbyt ciasny kołnierzyk

Jakieś nieznane dziecko w roli druhny i wreszcie: panna młoda i oblubieniec. Silvia i Aylwyn. Młode, gładkie twarze zdumiewająco nie tknięte jakimkolwiek przeżyciem. Małe umalowane ciemnoczerwone usta Silvii, Aylwyn „prywatnie” śmiejący się w stronę obiektywu. Odrobinę skośne spojrzenie sugeruje, iż cała ta sprawa jest dla niego najzabawniejszym żartem.

- I cóż? - zapytał David.

- Babcia miała rację. Wygląda dokładnie tak jak Sinclair ... ma tylko krótsze i inaczej uczesane włosy, może nie był też tak wysoki. A Silvia - nie lubiłam Silvii - porzuciła go zaledwie po roku małżeństwa. Wiedziałeś o tym?

- Tak, wiedziałem.

- Właśnie dlatego Sinclair wychowywał się w Elvie. Co ty robisz?

Po omacku szukał czegoś w głębi szuflady.

- Są tu jeszcze jakieś fotografie - powiedział, wyciągając plik zdjęć w twardych oprawach, które wciśnięte w kąt, kryły się przed wzrokiem ciekawych.

- Co to za fotografie? - zapytałam, odkładając trzymany album.

Przekładał je z ręki do ręki.

- Jakieś inne wesele. To chyba zaślubiny twojej babci.

- Och, pozwól mi zobaczyć! - wykrzyknęłam, w jednej chwili zapominając o Aylwynie.

Znaleźliśmy się teraz w latach pierwszej wojny światowej, ciasnych, pętających nogi spódnic i ogromnych kapeluszy. Wszyscy fotografowani byli w pozach siedzących, na krzesłach, niczym rodzina panująca. Wysokie kołnierzyki, krótkie płaszcze, na twarzach zaś wyraz olbrzymiej uroczystej powagi. Moja babcia jako panna młoda: wydatny biust, suto drapowane koronki. Niewiele od niej starszy, świeżo zaślubiony mąż, z podobnie pogodnym, szczęśliwym wyrazem twarzy, którego nie mógł zmienić ani jego ponury strój, ani poważny wąs.

- Spójrz, wygląda wesoło - powiedziałam.

- Myślę, że chyba był wesoły.

- A ten starszy gość z wąsami noszący szkocką spódniczkę, kóż to taki?

David spojrział przez moje ramię.

- To prawdopodobnie ojciec pana młodego. Czyż nie jest wspaniały?

- Kim on był?

- Sądzę, że dziwakiem; sam siebie nazwał Baileyem z Cairneyhall. Legenda głosi, że zadzierał nosa i zmanierował się, mimo że nie miał ani pensa.

- A który z nich jest ojcem mojej babci?

- Myślę, że to ten imponujący mężczyzna. Jego historia jest zupełnie inna. Był maklerem w Edynburgu. Dorobił się wielkiego majątku i zmarł, będąc już bogatym człowiekiem. Twoja babcia - dodał tonem adwokata - to jego jedyne dziecko.

- Czy to znaczy, że odziedziczyła jego majątek?

- Tak właśnie można by powiedzieć.

Oglądałam te zdjęcia. Poważne, nieznane mi twarze ludzi, którzy byli moimi przodkami, dzięki którym przyszłam na świat, którym zawdzię-

czam swoje wady i niewielkie zdolności, rysy twarzy i piegi, a nawet moje jasne, nordyckie włosy.

- Nigdy nie słyszałam o Cairneyhall.

- I nie usłyszałabyś. Ten dom był tak opuszczony i zrujnowany, że w końcu został rozebrany.

- Więc babcia nigdy tam nie mieszkała?

- Myślę, że mieszkali tam rok lub dwa z uczuciem najwyższej przykrości. Ale po śmierci męża sprowadziła się tu taj, kupiła Elvie i tu właśnie wychowała swoje dzieci.

- A więc... - zamyśliłam się. Uświadomiłam sobie, że zawsze, mimo iż nie zastanawiałam się nad tym zbyt głęboko przyjmowałam za rzecz naturalną, że moja babcia była, je śli nawet nie bardzo bogata, to z pewnością dobrze zabezpieczona. Teraz jednak zrozumiałam, iż sprawy miały się tak: Elvie i wszystko co w niej było, pochodziło z jej własnego dziedzictwa. Ta posiadłość nie miała nic wspólnego z małżeństwem babci.

- A więc...? - przywołał mnie delikatnie David.

- Nic już.

Byłam zakłopotana. Kwestia pieniędzy zawsze budzi w mnie uczucie skrepowania - odziedziczyłam to po swoim ojcu. Szybko zmieniałam więc temat rozmowy.

- W jaki sposób dowiedziałeś się tylu rzeczy o tych ludziach?

- Prowadząc sprawę tej rodziny.

- Rozumiem.

Zamknął album z fotografiami

- Chyba będzie lepiej, jeśli odłożymy go na miejsce.

- Tak, oczywiście. I... Davidzie, nie chcę, by moja babcia dowiedziała się, że pytałam o wszystkie te sprawy.

- Nie powiem ani słowa.

Umieściliśmy albumy i fotografie tam, gdzie były i za mknęliśmy szufladę. Przesunęłam mały stół na jego po przednie miejsce. Stanęliśmy przy kominku i sięgnawszy po papierosy, zapaliliśmy je długim fidybu-

sem służącym do zapalania świec. Gdy się wyprostowałam, David spoj-
rzył na mnie i ni stąd, ni zowąd powiedział:

- Bardzo ładnie wyglądasz. Szkocja najwyraźniej dobrze ci służy.

- Dziękuję - odpowiedziałam niczym amerykańskie dziewczęta, które tak właśnie uczone są przyjmować komplementy, w odróżnieniu od dziewcząt angielskich, mówiących w podobnych sytuacjach: „Ależ nie, wyglądam okropnie” lub „Jak możesz mówić, że podoba ci się ta sukienka, jest przecież ohydna”. Jednak już po chwili, zawstydzona, chcąc odwrócić jego uwagę, zaproponowałam, że zrobię drinka, na co David odrzekł, że w Szkocji drinków się nie „robi”, tylko je „nalewa”.

- Ale to nie dotyczy martini - upierałam się. - nie można „naleć” martini, zanim się go nie „zrobi”. To przecież oczywiste.

- Punkt dla ciebie. Masz ochotę na martini?

- Czy wiesz, jak je zrobić? - zapytałam z wątpliwością w głosie.

- Wierzę, że tak.

- Mój ojciec twierdzi, że w Anglii tylko dwóch mężczyzn potrafi robić martini, i że jednym z nich jest on sam.

- Więc ja muszę być tym drugim. - Mówiąc to, Dawid podszedł do stolika i zajął się butelkami, lodem i plasterkami cytryny. Następnie zaś zapytał: - Jak spędziłaś dzisiejszy dzień?

Opowiedziałam mu wszystko, aż do gorącej kąpieli i krótkiej drzemki. Zakończyłam swą relację pytaniem:

- Nie zgadniesz, co zaplanowaliśmy na jutro.

- Istotnie, nie zgadnę, więc powiedz.

- Sinclair i ja mamy zamiar pójść jutro do Lairig Ghru. Zrobiło to na nim przyjemne wrażenie.

- Naprawdę?!

- Tak, naprawdę! Gibson podwiezie nas do Braemar, a wieczorem zabierze z Rothiemurchus.

- Ciekawe, jaka będzie pogoda?

- Gibson twierdzi, że wspaniała. Jest przekonany, że zachmurzenie minie i będzie bardzo gorąco.

Przyglądałam się jego opalonym rękom, ciemnym, schludnym włosom i szerokim ramionom rysującym się pod granatowym aksamitem.

- Powinieneś się do nas przyłączyć ... - powiedziałam odruchowo.

- Bardzo bym chciał, ale przez cały jutrzejszy dzień jestem zajęty - odpowiedział, zmierzając w moją stronę z dwiema szklaneczkami wypełnionymi jasnozłotym płynem i lodem.

- Więc może innym razem - powiedziałam, biorąc od niego jedną z owych szklaneczek.

- Może.

Uśmiechnawszy się do siebie, podnieśliśmy szklaneczki i wypiliśmy. Martini było doskonale, chłodne i mocne jak ogień.

- Pisząc do ojca, poinformuję go, że spotkałam tego druciego mężczyznę, który potrafi przyrządzać martini. - Mówi więc to przypominałam sobie o czymś jeszcze. - Davidzie muszę kupić trochę ubrań ...

Z łatwością poradził sobie z tą nagłą zmianą tematu.

- Jakich ubrań?

- Szkockich. Jakiś sweter, parę innych rzeczy. Mam te pieniądze, które dał mi ojciec, ale to są dolary. Czy sądzisz że mógłbyś je dla mnie wymienić?

- Oczywiście. Powiedz jednak, kiedy masz zamiar robić te sprawunki? Cagle Bridge nie jest północnym centrum mody.

- Nie chcę niczego modnego. Potrzebuję trochę ciepłych rzeczy.

- Znajdziesz tam z pewnością coś takiego. Kiedy chcesz pójść na zakupy?

- Może w sobotę?

- Czy potrafisz prowadzić samochód swojej babci?

- Potrafię, ale nie mogę tego robić, bo nie mam brytyjskiego prawa jazdy. To zresztą bez znaczenia. Złapię aut bus.

- W porządku. Zatem przyjeżdż do mnie do biura; po wiem ci, jak tam trafić, dam ci twoje pieniądze i kiedy już wszystko załatwisz, a nie będziesz miała nic lepszego do roboty, zabiorę cię na lunch.

- Naprawdę? - Nie oczekiwałam tego i byłam zachwycona. - Dokąd?

Myśląc podrapał się po karku.

- Nie ma tu wielkiego wyboru. Możemy pójść albo do „Crimond Arms”, albo do mnie do domu, choć w soboty moja gospodyni ma wolne.

- Umieję gotować - powiedziałam. - Kup coś, a ja przygotuję lunch. Poza tym chciałabym zobaczyć twoje mieszkanie.

- Nie jest specjalnie interesujące.

Stwierdziłam, że naprawdę mnie to ciekawi. Myślę, że nie pozna się człowieka, dopóki nie zobaczy się jego domu, książek, obrazów, sposobu, w jaki ustawia meble. David, zarówno tam, w Kalifornii, jak i w czasie naszej wspólnej podróży, był miły i uprzejmy, ale pokazał mi tylko poprawną, służbową stronę swojego charakteru. Teraz pomógł mi znaleźć fotografie, które chciałam obejrzeć, i z wielką cierpliwością odpowiadał na wszystkie pytania. W końcu zaś zaprosił mnie na lunch. Uświadomiłam sobie, że jest w nim coś więcej, niż mi się początkowo wydawało, i z przyjemnością wyobraziłam sobie, że może i on poczuł to samo wobec mnie.

* * *

Jeszcze przed końcem kolacji zmęczenie tak mnie pokonało, że usprawiedliwiając się koniecznością wypoczynku przed wymagającym dobrej kondycji następnym dniem, powiedziałam wszystkim „dobranoc” i poszłam do łóżka, gdzie natychmiast zasnęłam.

Obudzwszy się za jakiś czas, usłyszałam odgłos obiecanego nam przez Gibsona wiatru, uderzającego w ściany domu, świszczącego pod moimi drzwiami i marszczącego wody jeziora małymi falami, które opadały i rozpryskiwały się na kamieniach. Prócz naturalnych dźwięków tej nocy, dobiegły też do mnie czyjeś głosy.

Sięgnąwszy po zegarek zobaczyłam, że nie minęła jeszcze dwunasta. Nasłuchiwałam. Głosy stawały się coraz wyraźniejsze i po chwili wiedziałam już, że jeden należy do mojej babci, drugi zaś jest głosem Sinclaira. Byli tuż pod moim oknem. Zapewne odbywali ostatni przed zamknięciem domu na noc, spacer z psami wokół ogrodu.

- ...pomyślałam, że bardzo się zestarzał - zabrzmiał głos Sinclaira.

- Tak, lecz cóż można zrobić?

- Posłać go na emeryturę i postarać się o kogoś innego.'

- A gdzież oni pójda? Co innego, gdyby chłopcy byli żo naci i mogli przyjąć ich pod swój dach. Poza tym przeżyli tu prawie pięćdziesiąt lat ... tyle, ile ja. Nie mogłabym go

zwolnić go tylko dlatego, że się starzeje. Umarłby w ciągu dwóch miesięcy, nie mając nic do roboty.

Zrozumiałam, że mówią o Gibsonie i zrobiło mi się przykro.

- Ależ on nie jest już zdolny do wykonywania swoich obowiązków.

- Na jakiej podstawie tak twierdzisz?

- To oczywiste. Już się do tego nie nadaje.

- Jeśli o mnie chodzi, Gibson jest wciąż odpowiednim człowiekiem. Nie można przecież oczekiwać od niego wielkiego wysiłku na polowaniach. Stowarzyszenie...

- To następna sprawa. - Sinclair przerwał jej w pół słowa - To skrajnie nierozważne; wydzierzawiać tak doskonale wrzosowisko to jednemu, to drugiemu miejscowemu biznesmenowi z Caple Bridge. Pieniądzy, jakie płaca, nie wystarczy ci nawet na utrzymanie Gibsona.

- Tak się składa, Sinclair, że ów jeden czy drugi miejscowy biznesmen, to moi przyjaciele.

- To nie ma nic do rzeczy. Na tyle, na ile mogę to ocenić wydajemy się zmierzać w stronę swego rodzaju instytucji charytatywnej.

Zapadła cisza. Po długiej przerwie babcia stwierdziła zimno brzmiącym głosem:

- To ja wydaję się zmierzać w stronę swego rodzaju instytucji charytatywnej.

Lodowaty ton jej głosu mnie ostudziłby zupełnie. Sinclair jednak okazał się na ten ton najwyraźniej nieczuły. Zastanawiałam się, ile było w jego odwadze niemądrej dezynwoltury, spotęgowanej wypitym po kolacji alkoholem.

- W takim razie - powiedział - proponuję ci, byś się zatrzymała. Już. Teraz. Poślij Gibsona na emeryturę, sprzedaj wrzosowisko albo przy-

najmniej oddaj je w dzierżawę takiemu stowarzyszeniu, które może pozwolić sobie na płacenie odpowiedniej ceny...

- Powiedziałam ci już...

Głosy się oddaliły. Pograżeni w gorącej dyskusji, zniknęli za rogami domu i już ich nie słyszałam. Stwierdziłam, że leżę sztywno, nieszczeniwa - bo zmuszona do słuchania tego, co z pewnością nie zostało przeznaczone dla moich uszu. Myśl o kłótni sprawiła mi przykrość, ale jeszcze gorsze było to, co ich tak poróżniło.

Gibson. Myśląc o nim, widziałam go takim, jakim był kiedyś; silnym i niezmordowanym mężczyzną, skarbnicą ludowej wiedzy i mądrości. Pamiętam, jak z bezgraniczną cierpliwością uczył Sinclaira strzelania i wędkowania. Zapamiętałam go odpowiadającego na niezliczone pytania. Pozwalał nam - niczym parze nieodłącznych cieni - wszędzie za sobą chodzić. Pani Gibson psuła nas i rozpieszczała, kupując słodczyce i karmiąc wypiekany przez siebie bułeczkami, które grubo smarowała złotym masłem własnego wyrobu.

Nie udawało się pogodzić przeszłości z teraźniejszością; tego Gibsona, którego zapamiętałam, i owego starego człowieka, którego zobaczyłam dzisiaj. Ale jeszcze trudniej było mi uświadomić sobie, że to mój kuzyn Sinclair mówił o zwolnieniu Gibsona z taką łatwością, jakby towarzysz naszego dzieciństwa był starym, cuchnącym psem i właśnie nadszedł czas, by go bezboleśnie usunąć.

Rozdział 7

Obudziłam się ponownie, wyrwana ze snu jakimś podświadomym alarmem. Był dzień. Przetarłam i otworzyłam oczy. W nogach łóżka, wpatrując się we mnie chłodnym wzrokiem, stał jakiś mężczyzna. Przesraszona, z bijącym sercem, z trudem chwytając oddech, podniosłam się, ale to był tylko Sinclair, który przyszedł mnie obudzić.

- Już ósma - powiedział - musimy wyjść o dziewiątej. Otrząsnawszy się ze snu wstałam, czekając chwilę, aż opadnie ze mnie to paniczne przerażenie.

- Napędziłeś mi okropnego strachu.

-Przepraszam, naprawdę nie chciałem... Przeszedłem by cię obudzić...

Ponownie podnosząc wzrok, nie zobaczyłam już żadnego niebezpieczeństwa, lecz jedynie dobrze mi znaną postać kuzyna, który skrzyżował ręce na oparciu mojego łóżka, wpatrywał się we mnie oczami pełnymi rozbawienia. Miał na sobie spłowiała szkocką spódniczkę obszerny, robiony na drutach pulower i fular zawiązany wokół szyi. Wyglądał czysto i schludnie, pachnąc przy tym wybornym płynem po golaniu, którym skropił sobie twarz.

Nie wychodząc z łóżka, na kolanach przesunęłam się do okna i otworzyłam je, by zobaczyć dzień. Był wspaniały: ja sny, rzeński, bezchmurny.

- Gibson miał rację - powiedziałam ze zdumieniem.

- Oczywiście, że miał rację. Zawsze ją ma. Słyszałaś ten wiatr w nocy? Był też przymrozek. Wkrótce wszystkie drzewa stracą liście.

Odbijające błękit nieba jezioro, wydawało się skropione małymi chmurkami białej piany. Gór nie zasłaniał już welon mgły. Rysowały się wyraźnie, sino lśniąc wielkimi połaciami purpurowego wrzosu. W kryształicznym powietrzu poranka mogłam dostrzec każdy głaz, wszystkie szczeliny i załomy, które wiodły ku ich wyniosłym szczytom.

W taki dzień wprost nie sposób oprzeć się radosnemu uniesieniu. Rozterki minionej nocy pierzchły wraz z ciemnością. Usłyszałam coś, co nie było przeznaczone dla moich uszu. W jasnym świetle poranka wydawało się najzupełniej możliwe, że byłam w błędzie, że źle to zrozumiałam. Przede wszystkim nie słyszałam ani początku tej dyskusji, ani jej zakończenia i nie należało dokonywać jakichkolwiek osądów, skoro znałam jedynie część faktów.

Ulga, jakiej zaznałam, tak łatwo pozbywając się swoich osobistych niepokojów, uczyniła nagle ze mnie osobę ogromnie szczęśliwą. Wyskoczyłam z łóżka i w nocnej koszuli poszłam znaleźć jakieś ubranie, Sinclair zaś - z powodzeniem wypełniwszy swoją misję - zszedł na dół.

* * *

Do śniadania usiedliśmy w ciepłej i przytulnej kuchni. Pani Lumley usmażyła kielbaski, zjadłam ich aż cztery, popijając dwoma olbrzymimi kubkami kawy. Później znalazłam stary plecak, do którego zapakowaliśmy nasz obiad: kanapki, czekoladę, jabłka i ser.

- Czy weźmiecie ze sobą termos? - zapytała nas pani Lumley.

- Nie - odpowiedział Sinclair, opychając się jeszcze grzanką z marmoladą, po czym dodał: - Proszę włożyć do plecaka parę plastikowych kubków, żebyśmy mogli się napić wody z potoku.

Usłyszeliśmy klakson samochodu i po chwili w drzwiach pojawił się Gibson. Nosił obwisłe zielonkawe tweedowe ubranie z obszernymi pumphami, spiętymi wokół chudych łydek. Na głowie miał stary tweedowy kapelusz.

- Jesteście gotowi? - zapytał, z pewnością nie spodziewając się twierdzącej odpowiedzi.

My jednak byliśmy gotowi. Zabraliśmy nieprzemakalne kurtki i plecak z jedzeniem, pożegnaliśmy panią Lumley i wyszliśmy na ten wspaniały poranek. W nosie czułam lodowate powietrze, które niemal kaleczyło mi płuca, wywołując uczucie, jakby zaraz miały pęknąć.

- Czyż nie dopisuje nam szczęście? - wykrzyknęłam, To najwspanialszy dzień!

- Tak, dzień jest... w porządku - powiedział Gibson, co w ustach Szkota było najbardziej entuzjastycznym komentarzem, na jaki mógł się zdobyć.

Wcisnęliśmy się do land rovera. Z przodu było miejsce dla trzech osób, ale suka Gibsona wyglądała na zdenerwowaną i najwyraźniej potrzebowała towarzystwa, więc zdecydowałam się siedzieć z tyłu wraz z nią. Początkowo była niespokojna i zdenerwowana, ale po chwili poddała się kołysaniu samochodu i zasnęła, ułożywszy na moich butach swą miękką, aksamitną głowę.

Gibson postanowił jechać do Braemar drogą wiodącą przez Tomin-toul, kierując się na południe przez góry, i dojechał do złociście roz-słonecznionej doliny Dec około jedenastej.

Rzeka, wijąca się przez pola, łąki i rozległe tereny, porośnięte wysokimi szkockimi sosnami, była wezbrana, głęboka i przejrzysta niczym ciemne szkło.

Dotarliśmy do Braemar, przejechaliśmy przez nie i po kolejnych trzech milach dojechaliśmy do Mar Lodge - leśniczówki Mar. Zatrzymaliśmy się i wysiedliśmy z auta. Suka mogła trochę pobiegać, a Gibson poszedł po klucze do domku myśliwskiego. Potem wszyscy udaliśmy się do baru. Sinclair i Gibson pili piwo, mnie zaś podano szklaneczkę jabłeczniaka.

- Ile jeszcze drogi przed nami? - zapytałam.

- Jakieś cztery mile - odpowiedział Gibson - ale jest ona bardzo wy-boista, więc może będzie panience wygodniej siedzieć z nami z przodu.

Opuściłam więc psa i usiadłam z przodu między dwoma mężczyzna-mi. Droga wkrótce niemal w ogóle przestała być drogą, zmieniając się w rozjeżdżony przez buldożery, głęboko pobrużdżony trakt. Co jakiś czas mijaliśmy grupę drwali z wielkimi piłami, łańcuchami i ciągnikami. Ma-chaliśmy do siebie. Czasem musieli wycofywać z drogi swe wielkie plat-formy, byśmy mogli jechać dalej. Powietrze przesycone było zapachem

sosen, a kiedy dotarliśmy wreszcie do małego myśliwskiego domu, z którego korzystali amatorzy weekendowych wycieczek oraz miłośnicy górskich wspinaczek, i kiedy zdrętwiali, i obolali od tej podróży wysiedliśmy z land rovera, ogarnął nas bezgraniczny spokój. Wokół był tylko las, wrzosowisko oraz góry i jedynie daleki szum wody, i szelest sosen nad naszymi głowami zakłócał panującą tu ciszę.

- Będę na was czekać nad jeziorem Morlich - powiedział Gibson. - Jak sądzicie, dojdziecie tam do szóstej?

- Jeśli nie zdążymy, poczekaj. Gdyby nas nie było przed zapadnięciem ciemności, zadzwoń na szczyt Rescue. - Sinclair zaśmiał się głośno. - Będziemy stać na ścieżce, więc łatwo nas znajdziesz.

- Proszę uważać, by nie zwichnąć kostki - ostrzegł mnie Gibson. - Życzę udanego dnia.

Zapewniliśmy go, że z pewnością będzie taki. Patrzyliśmy, jak wraca do samochodu, zakręca i odjeżdża drogą, którą tu przybyliśmy. Dźwięk silnika znikł wkrótce w ciszy wczesnego przedpołudnia. Spojrzałam w górę i nie po raz pierwszy pomyślałam, że Szkocja wydaje się mieć więcej niż swoją porcję nieba... ona rozciąga się i unosi, sięgając ku nieskończoności. Para kulików przeleciała nad nami, a z oddali dobiegło mnie beczenie owiec.

- Możemy iść? - zapytał z uśmiechem Sinclair. Wyruszyliśmy. Sinclair szedł przodem, ja zaś podążałam za nim wzdłuż strumienia wijącego się wśród sitowia. Doszliśmy do samotnej owczej ферmy i usiedliśmy przy drewnianym ogrodzeniu, ale jakiś pies wybiegł z głośnym szczekaniem więc. wstaliśmy i udaliśmy się w dalszą drogę. Pies wrócił do swej budy i znów zapanowała cisza. Co jakiś czas pojawiały się małe zagony kolorowych, okrągłolistnych, intensywnie purpurowych kwitnących ostów i ciemne plam wrzosu, nad którymi brzęczały pszczoły. Słońce podniosło się wysoko, zdjęliśmy więc swetry i zawiązaliśmy je sobie wokół talii. Ścieżka wiodła teraz ku górze. Przeskakiwaliśmy przez pnie drzew. Idący przede mną Sinclair zaczął cicho gwizdać. Pamiętałam tę piosenkę. Bę-

dać dziećmi, po herbacie w salonie, śpiewaliśmy ją razem z babcią akompaniującą nam na fortepianie.

Tańczmy wesoło, skoro tu jesteśmy:

Obcas o obcas, palec o palec,

Ramię przy ramieniu, w równym szeregu.

To przecież wesele Mairi.

Doszlśmy do mostu i wodospadu, który nie był brązowy lecz zielony. Miał kolor chińskiego nefrytu. Spadając z wysokości ponad dwudziestu stóp, jego wody niknęły w kotle jasnych skał. Stojąc na moście, patrzyliśmy na ten huk o dy, lśniący i migotliwy niczym klejnot, mieniający się w słońcu, wygięty w dół ku spienionej toni i otoczony miniaturową tęczą. Nigdy nie widziałam czegoś tak uroczonego.

- Czemu ten wodospad ma taki kolor? Dlaczego nie jest brązowy? - zapytałam, przekrzykując głośny szum spadającej wody. Sinclair wyjaśnił mi, iż dzieje się tak dlatego, że ta woda spłynęła wprost z wapiennych szczytów i nie została zabarwiona torfem. Staliśmy tam jeszcze przez chwilę: póki nie powiedział, że nie mamy czasu do stracenia i musi my iść zgodnie z planem.

Dla zachęty śpiewaliśmy znowu, prześcigając się w przypominaniu sobie słów. Śpiewaliśmy: „Drogę na wyspy”

„Stary dom” i „Chodźcie z nami”, najbardziej marszowe piosenki. Po tem ścieżka zaczęła, piąć się coraz wyżej, ku grzbietowi wielkiej góry, więc przestaliśmy śpiewać, by nie tracić sił. Podłoże było grubo zarosnięte korzeniami starych wrzosów i bardzo błotniste. Z każdym krokiem to ciemne błoto wciskało się w moje buty ze wszystkich stron. Zaczęły mnie boleć nogi i plecy. Stwierdziłam, że mam zbyt krótki oddech i choć doszłabym do szczytu tego wzgórza, a potem następnego, wciąż wydawało mi się, że za nim czekają jeszcze inne. To bardzo przygnębiające.

Potem zaś, gdy straciłam już nadzieję dotarcia gdziekolwiek, pojawił się przed nami czarny kiel góry. Posępny szczyt rozdzierający błękit nieba i wysoka na tysiąc lub więcej stóp pionowa ściana, opadająca w dół ku wąskiej, brązowej kotlinie

- Sinclair, co to jest? - zapytałam, wskazując na ów szczyt.

- To Diabelska Góra - odpowiedział wyjmując mapę. Usiedliśmy, a Sinclair, zmagając się z wiatrem, rozłożył

ją i identyfikował otaczające nas szczyty: Ben Vrottan, Cairn Toul, Ben Macdui i długie pasmo wiodące do Cairngormu.

- A ta kotlina?

- To dolina Dee.

- A ten mały strumyk?

- To, co nazywasz małym strumykiem, jest potężną rzeką Dee. Oczywiście w swym początkowym biegu.

Naprawdę śmieszne było zestawianie owego skromnego potoku z tą majestatyczną rzeką, którą widzieliśmy wcześniej tego samego dnia.

Zjedliśmy trochę czekolady i ruszyliśmy znowu łagodnym stokiem łączącym się z długą drogą wiodącą ku Lairig Ghru. Wiła się przed nami białą linią wśród brązowych traw, pnać się łagodnie ku odległemu punktowi na horyzoncie, gdzie góry i niebo zdawały się spotykać ze sobą. Szliśmy; Diabelska Góra rosła przed nami i nad nami, a potem została z tyłu. Zostaliśmy sami, naprawdę sami. Nie było tu żadnych zajęcy, królików, saren ani szkockich pardw. Nic nie mąciło ciszy, nie poruszała się tu żadna żywa istota. Jedyne dźwięki to odgłos naszych własnych kroków i ciche podśpiewywanie Sinclaira:

Dużo śledzi, dużo mąki,

Dużo torfu do jej skrzyni,

Dużo przyjemnych dzieciaków –

Oto toast na cześć Mairi.

Niebawem przed naszymi oczami pojawił się jakiś kamienny dom wciśnięty w podnóże góry, na wprost rzeki.

- Co to za miejsce? - zapytałam.

- To opuszczone schronisko dla wędrowców i amatorów górskiej wspinaczki; korzystają z niego zwykle w czasie złej pogody.

- Co będziemy tu robić?

- Zażywać przyjemności.

- Jestem głodna - powiedziałam po chwili. Zaśmiał się głośno, spoglądając na mnie przez ramię.

- Będziemy jeść, gdy tylko dotrzemy do tej chaty.

* * *

Później, wyciągnięci na wznak, leżeliśmy leniwie w ukwieconej trawie. Sinclair zrobił sobie poduszkę ze swetra, ja zaś położyłam głowę na jego brzuchu. Wpatrywałam się w czyste błękitne niebo i myślałam, jak dziwną rzeczą jest posiadanie kuzyna: czasem byliśmy sobie tak bliscy jak brat i siostra, kiedy indziej zaś pojawiała się między nami coś krępującego. Pomyślałam sobie, że musi to się wiązać z faktem, iż przestaliśmy być dziećmi, a także i z tym, że Sinclair wydawał mi się teraz nadzwyczajnie pociągający, Ale nawet to nie tłumaczyło całkowicie instynktownego skrępowania; jakby gdzieś, na dnie mojej świadomości, jakiś dzwoneczek ostrzegał przed niebezpieczeństwem.

Mucha, komar lub jakiś inny owad wylądował na mojej twarzy. Strząsnęłam go, ale wrócił.

- Zjeżdżaj stąd!

- Komu każesz zjeżdżać? - zapytał sennie Sinclair.

- Muszel!

- Skąd?

- Z mojego nosa.

Jego ręka przesunęła się w dół, by zmieścić tę muchę. Zatrzymała się na wprost łuku mojej szczęki i palce Sinclaira zaczęły bawić się łańcuszkiem

- Jeśli teraz zaśniemy - powiedział - to obudzimy się, by szukać Gibsona, a cała górską ekipa ratownicza, ciskając gromy, przejdzie przez przełęcz, by nas odnaleźć.

- Nie zaśniemy.

- Taka jesteś pewna?

Nie odpowiedziałam, nie mogłam przecież rozmawiać o moich wewnętrznych napięciach i tym skurczu żołądka, jaki poczułam, gdy dotknął mnie ręką... Nie byłam zresztą pewna, czy ów skurcz miał podłoże seksualne, czy też spowodowany był strachem. Strach... To słowo w odniesieniu do Sinclaira wydawało się zupełnie niestosowne, ale właśnie teraz z mej podświadomości wypłynęło wspomnienie rozmowy, którą usłyszałam ostatniej nocy, a która znów mnie zaniepokoiła. Pomyślałam sobie, że powinnam była choć na chwilę spotkać się z babcią, nim rano wyszłam z domu. Wystarczyłoby jedno spojrzenie na jej twarz, a poznałabym całą prawdę. Ale babcia nie pojawiła się przed naszym wyjściem, a ja, sądząc, że śpi, nie chciałam jej przeszkadzać.

Poruszyłam się niespokojnie.

- O co chodzi? - zapytał Sinclair. - Jesteś napięta jak struna. Coś cię chyba gryzie w środku, może jakiś kompleks winy.

- O cóż miałabym się winić?

- To ty mi powiedz. Może o opuszczenie ojca?

- Ojca? Chyba żartujesz!

- Chcesz powiedzieć, że byłaś szczęśliwa, wycierając kurze w Reef Point?

- Nie. Ale ojciec ma teraz opiekę lepszą niż dotąd i nie mam żadnego powodu, by czuć się winną.

- Więc musi to być coś innego. - Koniuszek jego palca wędrował po moim policzku. - Już wiem, to ten usychający z miłości prawnik!

- Kto? - Moje osłupienie było najzupełniej prawdziwe.

- Prawnik! Wiesz przecież...

- Naprawdę nie wiem, o czym ty mówisz! - wykrzyknęłam, ale oczywiście wiedziałam.

- O Davidzie Stewarcie, kochanie. Nie czułaś, że nie mógł oderwać od ciebie oczu ostatniego wieczoru? Błyszczącym wzrokiem wpatrywał się w ciebie przez całą kolację. Muszę powiedzieć, że stworzyliście całkiem wyborny spektakl. Gdzie udało ci się dostać ten dalekowschodni kostium?

- W San Francisco. Jesteś doprawdy zabawny. To śmieszne.

- Ja wcale nie żartuję ... naprawdę, to było jasne jak słońce. Jak ci się podoba pomysł bycia ukochaną starszego pana?

- Sinclair, on nie jest stary.

- Przypuszczam, że musi mieć jakieś trzydzieści pięć lat. Ale za to zasługuje na zaufanie, moja droga - mówił teraz słodziutkim głosem jakiejś zaszuszonej wdowy - i taki z niego miły chłopiec.

- Jesteś draniem.

- Jestem - przyznał. Następnie zaś, nie zmieniając wyrazu twarzy, zapytał: - Kiedy wracasz do Ameryki?

Zaskoczył mnie.

- Dlaczego pytasz?

- Po prostu chcę wiedzieć.

- Może za miesiąc?

- Tak prędko? Miałem nadzieję, że tu zostaniesz. Zostaw ojca i zapuść korzenie w swoim własnym kraju.

- Za bardzo lubię mojego ojca, by go opuścić. A poza tym, co bym tu robiła?

- Znalazłabyś jakąś posadę.

- Mówisz jak babcia. Nie dostałabym pracy, bo nie mam żadnych kwalifikacji.

- Mogłabyś być sekretarką.

- Nie mogłabym. Ilekroć próbowałam pisać na maszynie, zawsze była poplamiona krwią.

- Ha! ha! Mogłabyś wyjść za męża.

- Nie znam nikogo.

- Znasz mnie - powiedział Sinclair.

Jego palec głaszczący mój policzek nagle stanął w miejscu. Usiadłam i obróciłam się, by spojrzeć na niego. Oczy Sinclaira były bardziej błękitne niż niebo, ale ich czyste spojrzenie nie mówiło niczego.

- Co powiedziałaś?

- Powiedziałem: „Znasz mnie”. - Dłoń Sinclaira poruszyła się i ujęła mój przegub, bez trudu obejmując go palcami.

- Nie mówisz tego poważnie.

- A może? No dobrze, załóżmy, że mówię poważnie. Co byś na to powiedziała?

- Cóż... Po pierwsze, praktycznie byłoby to kazirodztwo.

- Bzdury.

-Poza tym zaś, dlaczego ja? Wiesz przecież doskonale, że zawsze uważałeś mnie za zbyt prostą i zwyczajną - zawsze mi to mówiłeś - że jestem nieskomplikowana jak...

- Ale nie teraz. Teraz nie jesteś zwyczajna. Przemieniłaś się w cudownego wikinga.

- Nie mam też żadnych uzdolnień. Nie potrafię nawet układać kwiatów.

- A czemuż, u licha, miałbym chcieć, żebyś układała mi kwiaty?

- Ponadto nie mogę uwierzyć, że nie masz długiej, obejmującej pewnie cały kraj, listy kobiet wprost pałających miłością do ciebie, a każda z nich pewnie marzy o dniu, w którym zapytasz, czy zechce zostać panią Sinclairową Bailey

- Być może - powiedział Sinclair z wyraźnym zadowoleniem. Ale ja ich nie chcę.

Rozważałam ten pomysł, który wbrew mojej własnej woli, wydał mi się intrygujący.

- Gdzie byśmy mieszkali?

- W Londynie, oczywiście.

- Nie chcę mieszkać w Londynie.

- Jesteś niemądra. To jedyne miejsce, które się do tego nadaje. Wszystko dzieje się właśnie tam.

- Lubię wieś.

- Na wsi będziemy spędzać weekendy - i tak zawsze to robię - będziemy tu przyjeżdżać i zatrzymywać się u przyjaciół...

- I co będziemy robić?

- Spacerować po okolicy, żeglować, chodzić na wyścigi. Nadstawiłam uszu.

- Na wyścigi?!

- Byłaś kiedyś na wyścigach? To najbardziej ekscytująca rzecz na ziemi.

Uniósł się i oparł na łokciach tak, że jego oczy były teraz na poziomie moich.

- Przekonałem cię?

- Jest tylko jeden aspekt, o którym nie wspomniałeś - odpowiedziałam.

- Cóż to za aspekt?

- Miłość.

- Miłość? - Sinclair uśmiechnął się. - Ależ Janey, przecież my się kochamy. Zawsze się kochaliśmy, czyż nie?

- Ale to coś zupełnie innego.

- Jak to coś innego?

- Nie mogę ci wyjaśnić, jeśli jeszcze nie wiesz.

- Spróbuj.

Siedziałam milcząc - zakłopotana. Wiedziałam, że w pewnym sensie miał rację. Zawsze go kochałam. Jako dziecko był najważniejszą osobą w moim życiu. Nie miałam jednak tej pewności wobec mężczyzny, którym się stał. Obawiając się, by nie wyczytał tego wszystkiego z mojej twarzy, spuściłam wzrok i zaczęłam grzebać w mocnej trawie, wyciągając jej kępki wraz z korzeniami, a potem rzucałam, by rozwiął ją wiatr.

- Przypuszczam, że oboje zmieniliśmy się - powiedziałam w końcu. - Ty stałeś się innym człowiekiem, ja - Amerykanka...

- Och, Janey...

- To prawda. Wychowana zostałam tu, ale wykształcona tam. Fakt, że mam brytyjski paszport, nie może zmienić ani tego, ani sposobu, w jaki odczuwam różne rzeczy.

- Mówisz w kółko to samo. Wiesz o tym, prawda?

- Być może się powtarzam, ale nie zapominaj, że cała nasza rozmowa jest tak czy inaczej hipotetyczna, dyskutujemy wokół pewnego założenia...

Wziął głęboki oddech, jakby miał zamiar kontynuować tę dyskusję, a potem zmienił, jak mi się zdawało, decyzję i obrócił wszystko w żart.

- Moglibyśmy siedzieć tu cały dzień, prawda? I zamęczyć słońce gadaniem.

- Czy nie powinniśmy już iść?

- Tak, mamy przed sobą przynajmniej dziesięć mil. Przeszliśmy długą drogę i czyniąc to spostrzeżenie, mam na myśli jego dwuznaczność.

Uśmiechnęłam się. Sinclair objął mnie za szyję, przyciągnął moją twarz ku swojej i pocałował moje otwarte, śmiejące się usta.

Trochę tego oczekiwałam, ale jednak nie byłam jeszcze przygotowana na swoją paniczną reakcję. Musiałam uspokoić się w jego ramionach, poczekać, aż skończy. Gdy wreszcie wypuścił mnie z objęć, stałam przez chwilę w miejscu, a potem powoli zaczęłam zbierać do plecaka papier, w który owinięte były nasze kanapki, i czerwone plastikowe kubki. Nagle nasza samotność stała się przerażająca. Zobaczyłam nas oboje: mali jak mrówki, jedyne żyjące istoty w tym rozległym, pustym krajobrazie... Zastanawiałam się czy Sinclair przyprowadził mnie tu dzisiaj z zamiarem rozpoczęcia tej szczególnej dyskusji, czy też pomysł małżeństwa był tylko fantazją, którą przywiał wiatr.

- Sinclair, musimy iść, naprawdę musimy iść - powiedziałam.

Miał zamyślonę oczy, ale uśmiechnął się tylko i powiedział: - Tak. - Potem wstał, wziął ode mnie plecak i odwróciwszy się ruszył przodem, drogą wiodącą do odległej przełęczy.

W domu byliśmy przed zapadnięciem ciemności. Ostatnie kilka mil przeszłam na ślepo, stawiając po prostu jedną stopę przed drugą, nie

zatrzymując się z obawy, że gdybym to zrobiła, nie mogłabym już pójść ani kroku dalej. Kiedy w końcu dotarliśmy do ostatniego zakola drogi i przez gałęzie drzew zobaczyłam most, bramę, Gibsona i jego landrover czekający przy drodze, nie mogłam wprost uwierzyć, że rzeczywiście przeszliśmy całą trasę. Czując ból w każdym mięśniu, przeszłam ostatnich kilka jardów, przekroczyłam drogę i opadłam na siedzenie samochodu. Kiedy jednak próbowałam zapalić papierosa, stwierdziłam, że trzęsą mi się ręce.

Jechaliśmy do domu przez błękitny zmrok. Księżyc w nowiu, jasny i piękny jak złocista rzęsa, wisiał nisko na niebie. Reflektory samochodu zdawały się badać drogę królik przemknął przed maską, oczy wędrownego psa błysnęły jak dwa paciorki - i zniknęły. Dwaj mężczyźni obok mnie rozmawiali, a ja osuwałam się na siedzeniu i milczałam z wyczerpania, które nie było wyłącznie fizyczne.

* * *

Tej nocy obudził mnie dzwonek telefonu. Jego przeraźliwy dźwięk wyciągnął mnie ze snu jak złowioną na wędkę rybę. Nie miałam pojęcia, która jest godzina, ale odwróciwszy głowę, zobaczyłam księżyc wiszący nad jeziorem; i jego odbicie muskające ciemną wodę małymi smugami srebra.

Telefon dzwonił nieprzerwanie. Oszolomiona wstałam z łóżka i wyszłam na ciemny korytarz. Główny aparat był na parterze w bibliotece, ale dodatkowy znajdował się na piętrze, tuż obok dawnego pokoju dzieciennego. Udałam się więc w tamtą stronę. W połowie pokonywanej przeze mnie na ślepo drogi, dzwonienie umilkło, ale byłam zbyt śpiąca, by to spostrzec. Kiedy więc dotarłam do aparatu i podniosłam słuchawkę, rozbrzmiewały w niej już jakieś głosy. Damski, nieznany mi, był przyjemnie wysoki i miły:

- ...oczywiście, że jestem pewna. Byłam u lekarza dziś po południu i powiedział mi, że nie ma żadnych wątpliwości. Posłuchaj, sędzę, że mu-

simy o tym porozmawiać... Chciałabym cię zobaczyć tak czy inaczej, ale nie mogę wyjechać...

Słuchając - na wpółśpiąca - pomyślałam, że źle połączono rozmowę. Telefonistka w centrali Caple Bridge musiała się chyba pomylić albo zasnęła. Ta osoba nie dzwoniła do nas. Właśnie miałam powiedzieć, że to pomyłka, gdy w słuchawce, przerywając w pół zdania mówiącej kobiecie, rozległ się męski głos. Obudziłam się natychmiast i w jednej chwili byłam zupełnie przytomna.

- Czy to naprawdę takie pilne, Tesso? Nie można z tym poczekać?

Po drugiej stronie brzmiał głos Sinclaira.

- Oczywiście, że to pilne ... nie mamy czasu do stracenia - odpowiedział kobiecie głos mniej już spokojny, jakby czała się w nim histeria. - Sinclair, jestem w ciąży.

- Odłożyłam słuchawkę, starając się to zrobić delikatnie i spokojnie. Dotknęła aparatu, wydając cichy trzask. Stałam drżąca w ciemności, a potem wróciłam na półpiętro i przechyliłam się przez poręcz, by dalej słuchać. Pode mną rozciągały się schody i mroczny hol, ale zza zamkniętych drzwi biblioteki dochodził do mnie, nie dający się pomylić z żadnym innym, głos Sinclaira.

Moje stopy były lodowate. Cierpiąc z zimna, wróciłam do pokoju, delikatnie zamknęłam drzwi i położyłam się do łóżka. Niebawem usłyszałam pojedyncze brzęknięcie telefonu i wiedziałam, że rozmowa została skończona, a wkrótce potem Sinclair bezgłośnie wszedł na górę. Z jego pokoju dobiegły mnie ciche odgłosy otwierania i zamykania szuflad. Potem ponownie otworzyły się jego drzwi i Sinclair jeszcze raz zszedł na dół. Frontowe drzwi uchyliły się i za mknęły, a kilka chwil później usłyszałam tygrysi pomruk ruszającego w drogę lotusa, który wyjechał z podjazdu i główną drogę i pomknął w dal.

Stwierdziłam, że dawno już nie czułam się tak roztrzęsiona. Podobne drżenie ogarniało mnie, gdy byłam dzieckiem i budziłam się z koszmarnego snu przekonana, że w szafie ukrywają się duchy.

Rozdział 8

Gdy następnego ranka zeszłam na śniadanie, babcia siedziała już przy stole.

- Sinclair pojechał do Londynu - powiedziała, kiedy pochyliłam się, by ją pocałować.

- Skąd wiesz?

- Zostawił list w holu.

Poszukała tego listu wśród reszty korespondencji i wręczyła mi go. Używał cienkiego papieru listowego z ozdobną winiętą „Elvie” wytłoczoną u góry strony. Zdecydowanie mocny, ostry charakter pisma oddawał jego osobowość.

Ogromnie przepraszam, muszę pojechać na południe, na dzień lub dwa. Powinienem być w domu w poniedziałek wieczorem lub we wtorek rano. Uważajcie na siebie, gdy mnie tu nie będzie, i nie wpakujcie się w żadne kłopoty.

Mocno całuję Sinclair.

To było wszystko. Odłożyłam list.

- Około wpół do dwunastej w nocy dzwonił telefon. Słyszałaś go? - zapytała babcia.

Poszłam nalać sobie kawy i w ten sposób uniknęłam jej wzroku.

- Tak, słyszałam.

- Miałam zamiar go odebrać, ale byłam niemal pewna, że to do Sinclaira, więc pozwoliłam, by dzwonił.

- Tak... - powiedziałam, stawiając na stole pełną filiżankę. - Czy... on często to robi?

- Och, od czasu do czasu ...

Sortowała jakieś rachunki. Przyszło mi na myśl, że sprawia wrażenie zaniepokojonej.

- Sinclair prowadzi bogate życie - powiedziała - a poza tym zawód, który wykonuje, zabiera mu dużo czasu. Nie polega on przecież na siedzeniu w biurze od dziewiętej do piątej

- Nie, przypuszczam, że nie...

Kawa była gorąca i mocna. Pomogła mi rozluźnić ucisk

który czułam w gardle.

- A może to dziewczyna? - powiedziałam, czując przy pływ odwagi.

Babcia rzuciła mi ostre, chłodne spojrzenie.

- Tak, być może.

Opierając łokieć na stole, starałam się nadać swojemu głosowi normalne, zwyczajne brzmienie.

- Myślę, że ma ich setki. Jest najprzystojniejszym dwu nożnym stworzeniem, jakie widziałam. Przyprawia ją czasem do domu? Widziałaś kiedykolwiek choć jedną z nich?

- Och, czasem, gdy jestem w Londynie... Przyprawia ją na kolację albo idziemy do teatru.

- Pomyślałaś kiedyś, że ożeni się z którąś?

- Nigdy nie można mieć pewności, czyż nie? - Jej głos był chłodny, niemal obojętny. - Jego życie w Londynie tak bardzo różni się od tego, które wiesz tutaj. Dla Sinclaira Elvie jest czymś w rodzaju kuracji wypoczynkowej. On tu po prostu leniuchuje - stwierdziła. - Myślę też, że chętnie ucieka od tych oficjalnych obiadów i kolacji.

- A więc nigdy nie było nikogo szczególnego? Jednej, którą szczególnie lubiłaś?

Babcia odłożyła listy.

- Tak, była.

Zdjąwszy okulary, patrzyła przez okno na ogród, za którym skrzyło się błękitem jezioro w słonecznym blasku kolejnego, wspaniałego jeziennego dnia.

- Poznał ją w Szwajcarii na nartach. Byli w siebie zapatrzeni, gdy wróciła do Londynu.

- Na nartach? Czy nie przesałaś mi fotografii?

- Przysłałam fotografię? Ach tak, to był Nowy Rok w Zermatt. Właśnie tam się poznali. Zdaje się, że brała udział w jakichś mistrzostwach lub czymś takim... Wiesz, te wszystkie międzynarodowe zawody, jakie tam organizują...

- Musi być bardzo dobra.

- O tak. Jest też dość sławna.

- Poznałaś ją?

- Tak, Sinclair przyprowadził ją na obiad do Connaught, gdy latem byłam w mieście. To czarująca dziewczyna.

Sięgnęłam po grzanekę i zaczęłam smarować ją masłem.

- Jak się nazywała?

- Tessa Faraday... Zapewne o niej słyszałaś.

Słyszałam o niej. Jednak nie w tym znaczeniu, jakie miała na myśli moja babcia. Spojrzałam na smarowaną właśnie grzanekę i nagle pomyślałam, że jeśli ją zjem, zrobi mi się niedobrze.

* * *

Po śniadaniu wróciłam na górę i wyjęłam przywiezione tu rodzinne fotografie. Z podwójnej ramki wyciągnęłam zdjęcie Sinclaira, które babcia przysłała mi do Ameryki. Umieściłam je wtedy w ramce tak, by Sinclair był widoczny, a jego towarzystwo - zasłonięte.

Teraz jednak interesowała mnie tylko ona. Zobaczyłam niską, szczupłą, ciemnoooką dziewczynę ze ściągniętymi wstążką włosami i grubymi, złotymi kółkami w uszach. Ubrana była w aksamitny garnitur obszyty

czymś w rodzaju haftu. Stała, a Sinclair obejmował ją ramieniem. Wokół obojga wiły się papierowe serpentyny i ozdobne wstążki. Wyglądała na rozbawioną i szczęśliwą. Przypominając sobie zatroskany głos, jaki usłyszałam ostatniej nocy, nagle zaczęłam się o nią bać.

Fakt, że Sinclair tak nagle wyjechał na południe - prawdopodobnie po to, by się z nią spotkać - powinien mnie uspokoić, ale tak się nie stało. Jego wyjazd był zbyt prędko i nadto służbowy, nie powstrzymały go żadne osobiste względy, ani wobec babci, ani wobec mnie. Z przykrością przypominałam sobie jego stosunek do Gibsona, gdy dyskutował o wysłaniu starego dozorca na emeryturę i uświadomiłam sobie, że poprzednio usprawiedliwiałam Sinclaira. Teraz jednak było inaczej. Zmusiłam się do uczciwości wobec samej siebie. Słowo „bezwzględny” dźwięczało mi głowie. Tam, gdzie chodziło o innych ludzi, potrafił być całkowicie bezwzględny. Poruszona obawą o tę nieznaną dziewczynę, mogłam tylko mieć nadzieję, że Sinclair potrafi także współczuć.

- Jane! - To babcia wołała mnie z holu.

Pospiesznie wcisnęłam tę fotografię z powrotem w ramkę i odstawiłam ją na toaletkę, a potem zeszałam na pół-piętro.

- Słucham.

- Co dzisiaj robisz?

Zeszałam kilka stopni niżej i usiadłam na schodach.

- Jadę na zakupy. Muszę kupić kilka swetrów, bo w przeciwnym razie umrę z zimna.

- Gdzie miałaś zamiar to zrobić?

- W Caple Bridge.

- Ależ, kochanie, nie kupisz niczego w Caple Bridge.

- Jestem pewna, że dostanę tam jakiś sweter.

-Muszę jechać do Inverness na spotkanie zarządu szpitala, czemu nie miałabyś zabrać się ze mną samochodem?

- Bo David Stewart ma dla mnie trochę pieniędzy. Wymienił te dolary, które dał mi ojciec. I zaprosił mnie na lunch.

- Och, to miło ... Ale jak dostaniesz się do Caple Bridge?

- Złapię autobus. Pani Lumley mówi, że kursuje co godzina.

-No cóż, jeśli jesteś pewna... - Głos babci był pełen wątpliwości.

Stojąc tam, z jedną ręką opartą o główny słup podtrzymujący schody, zdjęła okulary i przyglądała mi się troskliwie spod pięknie zarysowanego czoła.

- Wydajesz mi się zmęczona, Jane; wczorajszy dzień był chyba zbyt wyczerpujący dla ciebie, zwłaszcza po podróży?

- Nie, wcale mnie nie zmęczył. Podobało mi się.

- Powinnam była powiedzieć Sinclairowi, by zaczekał z tą wycieczką dzień lub dwa.

- Ale wtedy moglibyśmy stracić tę wspaniałą pogodę.

- Tak. Możliwe. Zauważyłam też, że nic nie zjadłaś na śniadanie.

- Nigdy nie jem. Mówię szczerze!

- No cóż, możesz być pewna, że David zaprosi cię na odpowiedni lunch. - Odwróciła się, a potem przypomniała sobie coś jeszcze: - Jane ... jeśli idziesz na zakupy, pozwól, bym zafundowała ci nowy płaszcz przeciwdeszczowy. Powinnaś mieć coś na prawdę ciepłego.

Mimo wszystko się roześmiałam. Lubiłam, kiedy w ten sposób formułowała swoje prawdziwe myśli.

- A co jest niewłaściwego w tym płaszczu, który mam? - zapytałam figlarnie.

- Jeśli koniecznie chcesz wiedzieć; wyglądasz w nim jak żebraczka.

- Noszę go od dziesięciu lat i nigdy przedtem mi tego nie mówiono.

Westchnęła.

- Z każdym dniem stajesz się coraz bardziej podobna do swego ojca - powiedziała i nie uśmiechnąwszy się nawet z mego niewinnego żartu, podeszła do biurka i wypisała mi czek na kwotę, za którą mogłabym sobie kupić płaszcz obszyty sobolowym futrem i sięgający do samej podłogi, gdybym tylko na taki miała właśnie ochotę.

Stojąc w słońcu na końcu drogi, czekałam na autobus, który zawiózł mnie do Caple Bridge. Jak sięgnę pamięcią, nie było tak jasnego, rześkiego i pełnego kolorów dnia. W nocy padał niewielki deszcz, więc teraz

wszystko wydawało się świeżo umyte. Nawet kałuże na drodze odbijały błękit nieba. Żywopłot pełen był szkarłatnych owoców dzikiej róży, paprocie stały się złote, zaś spadające liście barwiły się wszystkimi kolorami: od głębokiej purpury po jasne żółcie. Powietrze nadciągające z północy było rześki i słodkie jak deserowe wino. Nasuwało jednak przypuszczenie, że nieco dalej na północ, wraz z nadchodzącą zimą spadł już pierwszy śnieg.

Wsiadłam do autobusu, który zatrzymał się przede mną. Był pełen ludzi jadących ze wsi do Caple Bridge na swojej cotygodniowej weekendowej zakupach. Zająłam jedyne wolne miejsce, tuż obok tęgiej kobiety trzymającej na kolanach kosz. Miała na głowie niebieski pilśniowy kapelusz, sama zaś była tak ogromna, że owo wolne miejsce stanowiła zaledwie połowa drugiego siedzenia i ilekroć autobus brał jakiś zakręt, groziło mi śmiertelne niebezpieczeństwo, że zostanę z niego zrzuciona.

Droga do Caple Bridge liczyła pięć mil, a ja znałam ją równie dobrze jak Elvie. Spacerowałam nią niegdyś, jeździłam na rowerze, a z okien samochodu ojca oglądałam krajobraz. Znałam nazwiska ludzi mieszkających w przydrożnych chatkach: panią Dargie i panią Thomson, a także panią Willie McCrae. Tu zaś był dom z groźnym psem, a tam łąka, na której pasło się stado białych gęsi.

Dotarliśmy do rzeki i przez pół mili jechaliśmy wzdłuż jej brzegu, a potem droga wygięła się w kształt litery S, by następnie przeciąć rzekę, wiodąc przez wąski, garbaty most. Jak dotąd najwyraźniej nic nie zmieniło się przez lata, które spędziłam daleko stąd, ale gdy autobus ostrożnie wspinał się na grzbiet mostu i zobaczyłam przed sobą roboty drogowe oraz sygnalizację świetlną, uświadomiłam sobie, jak rozległe były prace, które miały wyeliminować niebezpieczny zakręt.

Wszędzie ustawiono znaki i tablice ostrzegawcze. Rozebrano ogrodzenia, pozostawiając na ich miejscu wielkie kopce świeżej ziemi. Mężczyźni pracowali kilofami i łopatami. Olbrzymie koparki warczały w oddali niczym prehistoryczne potwory, nad wszystkim unosił się wyraźny i wyborny zapach gorącej smoły.

Zatrzymaliśmy się przed światłami. Czekaliśmy, ale silnik pracował, więc gdy światła zmieniły się z czerwonych na zielone, autobus ruszył, kierując się w dół wąskim traktem, wytyczonym między znakami ostrzegawczymi, a następnie zjechał na drogę. Kobieta, siedząca obok mnie, zaczęła się kręcić, sprawdzając zawartość swojego koszyka i spoglądając na półkę z bagażami.

- Czy coś pani podać? - zapytałam.

- Nie wiem, czy położyłam tam swoją parasolkę?

Wstałam, sięgnęłam po tę parasolkę i podałam ją sąsiadce, a potem zdjęłam również wielkie kartonowe pudełko z jajkami i snop strzępiastych astrów niewprawnie owinięty papierem. Nim się z tym wszystkim uporałam, autobus dojechał do miejsca przeznaczenia. Najpierw zrobił rundę wokół ratusza, potem wtoczył się na plac targowy i podjechał do ostatniego przystanku.

Nie mając żadnych koszyków ani ciężkich bagaży, wysiadłam z autobusu jako jedna z pierwszych. Babcia wytłumaczyła mi, gdzie mieści się kancelaria adwokacka. Z miejsca, w którym się znalazłam, mogłam dostrzec opisany przez nią kwadratowy, kamienny budynek, stojący dokładnie na wprost mnie, po drugiej stronie wybrukowanego placu targowego. Poczekałam na zmianę światel, przecięłam jezdnię, dotarłam do tego budynku i otworzyłam drzwi. Z tablicy wiszącej w holu dowiedziałam się, że Mr David Stewart przyjmuje w pokoju nr 3 i jest teraz u siebie. Weszłam do mrocznej klatki schodowej, starannie pomalowanej na kolor morskiej zieleni i głębokiego brązu, przeszłam pod witrażowym oknem wcale nie przepuszczającym światła i w końcu zapukałam do drzwi.

- Proszę wejść - powiedział David Stewart.

Z przyjemnością stwierdziłam, że przynajmniej jego biuro było jasne i przestronne, a na podłodze leżał dywan. Z okna roztaczał się widok na zatłoczony plac targowy. Na marmurowym kominku stał wazon pełen jesiennych astrów. To wnętrze sprawiało przyjemne wrażenie. Zapewne dlatego, iż była to sobota, David Stewart miał na sobie sportową koszulę

w kratkę i tweedową marynarkę, a gdy spojrział na mnie i uśmiechnął się na powitanie, skurcz żołądka nękający mnie od rana zniknął.

Wstał zza biurka, a ja powiedziałam:

- Jaki wspaniały poranek.
- Prawda? Zbyt miły by pracować.
- Czy zawsze pracujesz w soboty?

- Czasem... To zależy, ile mam do zrobienia. Gdy inni ludzie nie dzwonią, można nieraz uzyskać skomplikowane połączenie... - rzekł otwierając szufladę swego biurka. - Wymieniłem twoje pieniądze po aktualnym kursie. Mam tu gdzieś kwit...

- Nie zwracajmy sobie głowy kwitem.

- A to dlaczego, Jane? Będąc Szkotką, powinnaś mieć pewność, że nie okpiłem cię ani o centa.

- No cóż, jeśli to zrobiłeś, potraktuj tego centa jako osobistą prowizję. - Wyciągnęłam rękę, a on dał mi zwitek banknotów i nieco bilonu. - Teraz możesz naprawdę przyłączyć się do owych sobotnio-niedzielnych rozrzutników, choć trudno mi sobie wyobrazić, co mogłabyś znaleźć w Caple Bridge, by wydać tę kwotę.

Wsunęłam pieniądze do kieszeni mego żebraczego płaszcza.

-To samo powiedziała moja babcia. Chciała zabrać mnie do Inverness, ale powiedziałam, że umówiłam się z tobą na lunch.

- Lubisz steki?

- Nie jadłam ich od czasu, gdy ojciec postawił mi kolację w dniu moich urodzin. W Reef Point żyliśmy zimnymi pizzami.

- Ile czasu potrzebujesz na zakupy?

- Pół godziny. Zdumiało go to.

- Tylko tyle?

-Nie znoszę kupowania... Nic nigdy nie pasuje, a gdy już coś pasuje, to mi się nie podoba. Wracam zwykle z zakupów z mnóstwem nieodpowiednich rzeczy i zazwyczaj w najgorszym z możliwych nastrojów.

- Mam jednak nadzieję, że te będą miłe i wrócisz w dobrym humorze.
- Spojrzał na zegarek. - Pół godziny... umówmy się zatem tutaj o dwunastą, dobrze?

- Znakomicie, będę punktualnie.

Mając kieszeń pełną pieniędzy, szukałam miejsca, gdzie mogłabym je wydać. Były tu piekarnie, sklepy z warzywami, magazyny ze sprzętem łowieckim, sklepy rusznikarskie i garaże. W końcu - między nieuniknioną w większości małych szkockich miasteczek włoską lodziarnią a urzędem pocztowym - znalazłam sklep „Isabel McKenzie Modes”, a dokładniej „Isabel MODES McKenzie”. Wchodząc przez oszklone drzwi, skromnie ozdobione draperią z sieci, znalazłam się w małym pomieszczeniu wypełnionym półkami beznadziejnie wyglądających ubrań. Pod szklanym blatem kontuaru leżała brzoskwińowa i beżowa bielizna, tu i tam - gustownie udrapowane ponure pulowery.

Serce we mnie zamarło, nim jednak udało mi się wymknąć, rozchyliła się zasłona w głębi sklepu i wyszła zza niej niska, podobna do myszy kobieta, w za dużym o dwa numery dżersejowym kostiumie ozdobionym dużą broszą.

- Dzień dobry.

Przypuszczam, że pochodziła z Edynburga. Zastanawiałam się, czy to Isabel Modes McKenzie we własnej osobie, a jeśli tak, to co przywiodło ją do Caple Bridge. Może powiedziano jej, że handel odzieżą jest tu bardziej ożywiony.

- Och... dzień dobry. Ja... ja chciałam kupić sweter. Gdy tylko wymówiłam to słowo, wiedziałam już, że popełniłam mój pierwszy błąd.

- Mamy kilka przyjemnych dżersejów. Życzy pani sobie wełniany czy boucle ?

Odpowiedziałam, że wolę wełniany.

- Jaki rozmiar?

- Średni - odpowiedziałam - rozmiar M. Zaczęła wyciągać swetry z półek i wkrótce przebierałam w swetrach różowych, zielonych i brązowych jak jesienne liście.

- Czy ma pani jakieś... w innych kolorach?
- Jakie inne kolory ma pani na myśli?
- No cóż, powiedzmy... granatowy.
- Och, w tym roku nosić się będzie niewiele granatu, Zastanawiałam

się, skąd ma takie informacje. Czyżby

łączyła ją „gorąca linia” z Paryżem?

- To jest właśnie najmodniejszy odcień - rzekła, wskazując na jakąś jaskrawą niebieskość, która - jestem o tym przekonana - nie pasowała do niczego i do nikogo.

- Tak naprawdę... chciałam coś prostszego... wie pani coś ciepłego i grubego... może z kołnierzykiem polo... Och nie, nie mamy nic z kołnierzykiem polo... tych kołnierzyków już się nie... Bliska desperacji, prze-walałam jej niezbyt grzecznie.

- To nie ma znaczenia. Dam sobie spokój z tym swetrem... dżerse-jem... Może ma pani jakieś spódnice?

Wszystko zaczęło się od początku.

- Ma być z tartanu czy z tweedu?

- Z tweedu.

- Ile mierzy pani w pasie?

Po mojej lapidarnej odpowiedzi rozpoczęło się kolejne, jeszcze głębsze szukanie na beznadziejnie wyglądającym wieszaku. Wyciągnęła i szerokim gestem rozłożyła przede mną dwie spódnice. Pierwsza była wprost nie do opisania, a druga - w białą-brazową jodełkę - już nie tak ohydna. Zgodziłam się ją przymierzyć, wtłoczona w przestrzeń tak małą jak ciasna szafa, a wydzieloną z powierzchni sklepu za pomocą zasłony. Z trudnością zdjęłam ubranie, które miałam na sobie, i założyłam tę spódnice. Ostry tweed zaczął o moje rajstopy, jakby był utkany z ostów; zapięłam pasek i zamek błyskawiczny, i obejrzałam się w długim lustrze. Efekt był przerażający. Tweedowy wzór wirował mi w oczach jak obraz w stylu op-art; moje biodra przybrały słoniowe rozmiary, a pasek wbił się w chude ciało jak szczypce do cięcia drutu.

Isabel Modes McKenzie zakaszlała dyskretnie i uniosła zasłonę jak kuglarz.

- Och, jak ładnie pani w tym - powiedziała - ten tweed pasuje do pani.

- Nie sądzi pani, że to jest... cóż... trochę za długie?

- W tym sezonie spódnice są dłuższe, jak pani wie...

- Tak, ale ta zakrywa mi kolana.

- No cóż, gdyby się pani zdecydowała, mogłabym ją nieco skrócić... jest bardzo ładna... nie ma nic lepszego niż dobry tweed...

Kupiłam ją, byle tylko stąd uciec, ale następne spojrzenie w lustro sprawiło, iż podjęłam decyzję.

- Nie. Obawiam się, że jej nie kupię, nie tego szukałam. Rozpięłam suwak i ściągnęłam z siebie spódnice, nim zaczęła znów namawiać mnie do kupienia tej strasznej rzeczy.

Zabierając ją ode mnie, dyskretnie odwróciła oczy od mojej halki.

- Może chciałyby pani przymierzyć tę tartanową. Te dawne kolory są tak przyjemne...

- Nie - odpowiedziałam, wciągając moją starą, nie gniotącą się, niezniszczalną spódnice. - Nie, sądzę, że z niej zrezygnuję... to był tylko chwilowy pomysł... dziękuję bardzo.

Założyłam płaszcz, chwyciłam torbę i razem ruszyliśmy w stronę ozdobionych siecią drzwi. Dotarła do nich pierwsza i niechętnie otworzyła je przede mną tak, jakby miała wypuścić z pułapki cenne zwierzę.

- Może wstąpi tu pani kiedy indziej...

- Tak... być może...

- W przyszłym tygodniu będę miała nową dostawę. Niewątpliwie prosto od Diora, pomyślałam.

- Dziękuję... przepraszam... do widzenia.

Znalazłszy się na ulicy, odetchnęłam świeżym powietrzem i odeszłam najszybciej jak mogłam. Minęłam sklep rusznikarski, a potem zawróciłam, weszłam tam i w jednej chwili kupiłam duży, granatowy męski sweter. Z nie dającą się wyrazić ulgą, że moje przedpołudnie nie było

całkowitą klęską, ściskając tę dokładnie zapakowaną zdobycz, wróciłam do Davida.

Podczas gdy on układał dokumenty i zamykał szafki, sie działałam na jego biurku i opowiadałam sagę mojej nieszczęsnej wyprawy po sprawunki. Ta opowieść, opatrywana jego komentarzami - potrafił wprost perfekcyjnie posługiwać się akcentem edynburskim - rozrosła się znacząco i w końcu śmiałam się tak, aż rozboleły mnie żebra. W końcu uspokoiiliśmy się; David wsunął plik dokumentów do pękatej teczki rzucał ostatnie spojrzenie na swój gabinet, a potem zamknął drzwi i zesłaliśmy na dół obskurną klatką schodową, by po chwili znaleźć się na rozświetlonej, zatłoczonej ulicy.

Mieszkał w odległości zaledwie stu jardów od centrum tego małego miasteczka. Przebyliśmy ów krótki odcinek, idąc obok siebie. Stara teczka Davida uderzała o jego długie nogi i od czasu do czasu musieliśmy odsuwać się od siebie, by ominąć jakiś dziecięcy wózek lub parę rozplotkowanych kobiet. Jego dom okazał się jednym z szeregu identycznych, małych, dwupoziomowych kamiennych domków, które wybudowano na sąsiadujących ze sobą działkach. Przed każdym z nich znajdował się skromny ogródek, przez który wiodła ku frontowym drzwiom żwirowa ścieżka. Dom Davida różnił się od innych tylko tym, iż miał garaż przylegający do sąsiedniej działki i betonowy podjazd na ulicę. Frontowe drzwi swego domu David pomalował na jasnożółty kolor.

Po otwarciu bramy podążyłam za nim ścieżką i czekałam, aż otworzy również wejściowe drzwi. Przepuścił mnie przodem. Po obu stronach wąskiego korytarza prowadzącego ku schodom, znajdowało się kilka par drzwi. Przez jedne, usytuowane w głębi owego holu, dostrzegłam kuchnię. Wystrój wnętrza był bardzo prosty, a David - lub ktoś inny - ocieplili hol, wykładając podłogi miękką wykładziną dywanową, zaś ściany wzorzystymi tapetami, na których precyzyjnie rozmieszczono kilka sztychów o tematyce sportowej.

Dawid wziął ode mnie pakunek i płaszcz, i wraz ze swoją teczką położył je na krześle w holu, potem zaprowadził mnie do długiej bawialni z

oknami wychodzącymi na północ i południe. I właśnie ta bawialnia sprawiła, że za- chwyciłam się oryginalnym rozkładem owego bezpreten- sjonalnego domu, ponieważ okna wychodzące na południe znajdowały się w wykuszach i rozpościerał się z nich widok na długi, wąski ogród, który łagodnie opadał ku rzece.

Samo wewnątrz bawialni również było interesujące: półki z książkami, mnóstwo płyt, czasopisma na niskim stoliku przed kominkiem, miękkie fotele - sprawiające wrażenie wygodnych - niewielka sofa oraz staro- świecka etażerka pełna miśnieńskiej porcelany. Nad kominkiem... pode- szłam bliżej, by zobaczyć z bliska...

- To obraz Bena Nicholsona? Ale nie oryginał.

- Tak - skinął głową. - To oryginał. Matka podarowała mi go na moje dwudzieste pierwsze urodziny.

- To wewnątrz przypomina mi londyńskie mieszkanie twojej matki; ma tego samego rodzaju nastroj.

- Prawdopodobnie dlatego, że umeblowałem je w podobnym stylu, a poza tym matka pomogła mi wybrać zasłony, tapety i obicia.

Zadowolona w duchu, że była to matka, a nie ktoś inny, podeszłam do okna.

- Kto by pomyślał, że masz taki ogród...

Był tu niewielki taras, a na nim drewniany stół i krzesła, dalej zaś trawnik, zasypany teraz spadającymi liśćmi, oraz klomby pełne jeszcze jesiennych róż i kęp purpurowych astrów, a także fontanna dla ptaków i stara pochylona jabłoń.

- Sam zajmujesz się ogrodem?

- Z trudem można to nazwać ogrodem... Jak widzisz, nie jest duży.

- Ale ta rzeka i wszystko wokół...

- To właśnie przekonało mnie ostatecznie, gdy kupowałem ten dom. Opowiadam wszystkim znajomym, że siedzę w ogrodzie i łowię ryby w rzece Caple. Robi to kolosalne wrażenie. Nie mówię im jednak, że mam do niej zaledwie dziesięć jardów.

Na biblioteczce dostrzegłam wiele fotografii i nie mogłam się oprzeć sięgnięciu po nie.

- Czy to twoja matka? Ojciec? I ty? - Zdjęcie przedstawiało szeroko uśmiechniętego dwunastolatka. - Czy to ty?

- Tak.

- Nie nosiłeś wtedy okularów?

- Nie nosiłem ich aż do ukończenia szesnastu lat.

- Co się stało?

- Miałem wypadek. Graliśmy w zająca i chłopiec bie-

gnący przede mną tak odgiął gałąź, że uderzyła mnie w oko. Nie zrobił tego umyślnie, mogło się to zdarzyć każde-mu. Częściowo jednak straciłem wzrok w tym oku i od tej pory noszę okulary.

- Co za pech!

- Nie jest tak źle. Mogę robić większość rzeczy, na które mam ochotę... z wyjątkiem grania w tenisa.

- A dlaczego nie możesz grać w tenisa?

- Właściwie nie wiem. Ale jeśli widzę piłkę, nie mogę jej uderzyć, a gdy ją uderzam, nie widzę jej. Nie służy to grze.

Przeszliśmy do kuchni. Była tak mała jak kuchenka na jachcie i panował w niej taki porządek, że poczułam się zawstydzona na myśl o własnym bałaganiarstwie. Dawid zajrzał do piekarnika, w którym znajdowały się upieczone już ziemniaki, następnie sięgnął po patelnię, a potem z lodówki wyjął mięso i pokazał dwa, calowej grubości steki.

- Przyrządzisz je, czy ja mam to zrobić? - zapytał.

- Ty je usmażysz, a ja nakryję do stołu.

Otworzyłam drzwi wiodące na taras, rozgrzany zaskakującym o tej porze roku ciepłem.

- Czy możemy zjeść obiad na tarasie? Będziemy tam siedzieć niczym w restauracji na równiku.

- Jak sobie życzysz.

- Tam jest tak przyjemnie... Zjemy przy drewnianym stole?

Rozmawiając, pytając gdzie są sztućce i talerze, nakrywałam do stołu. A tymczasem David przygotowywał sałatkę, potem rozpakował chrupiący francuski chleb i wyjął z lodówki mały talerzyk oszronionego, zimnego masła. Gdy wszystko już było ustawione, a steki delikatnie skwierczały na patelni, nalał sherry do dwóch szklaneczek i wyszliśmy na taras, by usiąść w słońcu.

Dawid zdjął marynarkę i usadowił się wygodnie, wyciągając przed siebie długie nogi, a twarz obracając ku słońcu.

- Opowiedz mi o wczorajszym dniu - powiedział nagle.

- O wczorajszym dniu?

- Przeszłaś przecież przez Lairig Ghru - rzekł, spoglądając na mnie spod zmrużonych powiek. - A może nie?

- O tak, byliśmy tam. -I jak było?

Staralam się przypomnieć sobie wczorajszą wyprawę, ale stwierdziłam, że nie zapamiętałam niczego, prócz tej szczególnej dyskusji, jaką toczyłam z Sinclairem po posiłku.

- Było... dobrze. Wspaniale, naprawdę.

- Twój głos nie brzmi szczególnie entuzjastycznie.

- Cóż, to było... wspaniale. - Nie przychodziło mi do głowy żadne inne słowo.

- I wyczerpujące, jak sądzę.

- Tak, byłam zmęczona.

- Ile czasu zajęła ta wycieczka?

Znów z trudem to sobie przypominałam.

- Wróciliśmy przed wieczorem, Gibson czekał na nas przy jeziorze Morlich...

-Ach tak. - David sprawiał wrażenie, jakby rozważał dokładnie moje słowa. - A co dzisiaj robi kuzyn Sinclair?

Pochyliłam się, podniosłam kamyk i zaczęłam przerzucać go z ręki do ręki.

- Pojechał do Londynu.

- Do Londynu? Sądziłem, że ma urlop.

- Tak, ma - wyrzuciłam ten kamień i sięgnęłam po następny - ale ostatniej nocy otrzymałam przez telefon jakąś wiadomość... nie wiem, jaką... a rano, schodząc na śniadania nie, znalazłyśmy jego list.

- Pojechał samochodem?

Przypomniałam sobie rozdzierający nocną ciszę tygrysi pomruk lotusa.

- Tak, wziął samochód - odpowiedziałam, wyrzucając drugi kamień - wróci za dzień lub dwa. Napisał, że być może w poniedziałek wieczorem.

Nie chciałam rozmawiać o Sinclairze. Obawiając się dalszych pytań Davida, niezbyt zręcznie usiłowałam zmienić temat naszej rozmowy.

- Naprawdę siadasz z wędką we własnym ogrodzie? Nie pomyślałabym nawet, że jest taka możliwość... i powinienes podwiązać swoją jabłoń.

W ten sposób rozmowa zesłała na wędkarstwo i opowie działam mu o rzecze Clearwater w Idaho, dokąd ojciec zabrał mnie kiedyś na wakacje.

- Ta rzeka jest pełna łososi... praktycznie można je ła-pać na zgiętą szpilkę do włosów,

- Lubisz Amerykę, prawda?

- Tak, lubię.

Umilkł wygrzewając się w słońcu, a ja zachęcona jego milczeniem i problemem, który dotyczył mnie samej, po wiedziałam:

- To dziwne należeć do dwóch krajów. W żadnym nigdy nie ma się wrażenia całkowitej przynależności. Będąc - w Kalifornii - chciałam być w Elvie. Teraz zaś, będąc w Elvie...

- ...chciałabys z powrotem znaleźć się w Kalifornii.

- Niezupełnie, Są jednak rzeczy, za którymi tęsknię...

- A jakie?

-Cóż. To bardzo określone rzeczy. Oczywiście, tęsknię

za ojcem. Brak mi Rusty'ego i szumu Pacyfiku nocą, gdy wielkie fale obmywają brzeg...

- A mniej określone rzeczy?

- To jest bardziej skomplikowane. - Zastanawiałam się, czego mi naprawdę brakowało. - Brakuje mi sprawnej sieci telefonicznej, centralnego ogrzewania i wspaniałych magazynów ogrodnich, gdzie można kupić rośliny, narzędzia i gdzie wszystko pachnie kwiatem pomarańczy. - Spojrzałam na Davida i zauważyłam, że przygląda mi się uważnie. Gdy nasze oczy się spotkały, na jego twarzy pojawił się uśmiech. - To miejsce również ma swoje zalety - ciągnęłam.

- Opowiedz mi o nich.

- Urzędy pocztowe. Na wiejskiej poczcie można kupić wszystko, nie tylko znaczki. Pogoda, która nigdy nie jest tu taka sama, bo zmienia się co dwa dni, to przecież takie ekscytujące. No i popołudniowa herbata z bułeczkami, biszkoptami i wilgotnymi piernikami...

- Rozumiem, że w ten subtelny sposób przypominasz mi, iż nadszedł czas, byśmy zjedli nasze steki.

- To było nieświadome.

- Jeśli jednak nie zjemy ich teraz, staną się w ogóle niejadalne.

- Chodźmy więc.

Był to doskonały posiłek jedzony w doskonałych okolicznościach. David otworzył nawet butelkę wytrawnego czerwonego wina, które stanowiło wspaniałe uzupełnienie steków i francuskiego chleba. Zakończyliśmy zaś tę ucztę serem, biszkoptami oraz misą świeżych owoców, na wierzchu której leżały kiście białych winogron. Ponieważ byłam głodna, zjadłam bardzo dużo, do czysta wycierając talerz skórką chleba, a potem obrałam pomarańczę tak soczystą, że jej sok ściekał mi po palcach. Gdy zjedliśmy już wszystko, David wszedł do domu, by przygotować kawę.

- Może wypijemy ją w ogrodzie? - zapytał przez otwarte drzwi.

- Tak, chodźmy nad rzekę - powiedziałam, wchodząc jednak na chwilę do środka, by opłukać pod kranem lepkie ręce.

- W skrzyni stojącej w holu znajdziesz pled - powiedział David. - Weź go ze sobą nad rzekę i usiądź wygodnie, a ja przyniosę kawę.

- A co z talerzami?

- Zostawmy je... Dzień jest za piękny, by go marnowanie przy zlewie.

To sympatyczne stwierdzenie przypominało niektóre ze spostrzeżeń mojego ojca. Znalazłam pled i wyszłam z nim do spadzistego ogrodu. Rozłożyłam go na nasłonecznionym trawniku, zaledwie kilka jardów od brzegu rzeki. Po długim, suchym lecie woda w Caple opadła. Między trawnikiem a rzeką rozciągał się piaszczysty brzeg, sprawiający wrażenie miniaturowej plaży.

Jabłoń ugięła się pod ciężarem owoców. Wiele, strąconych przez wiatr, leżało u jej stóp. Potrząsnęłam drzewkiem i następane jabłka upadły na trawę, wydając przy tym miękki, pluszczący dźwięk. Pod jej koroną było cieniście i chłodno, a wokół rozchodził się przyjemny aromat jabłecznej pleśni, przypominający zapach starych strychów. Oparłam się o pień i przez koronkowe gałęzie patrzyłam na roziskrzoną słońcem rzekę. Wokół panował cudowny spokój.

Po znakomitym jedzeniu, wprawiona w dobry nastrój przez miłe towarzystwo, poczułam się podniesiona na duchu. Powiedziałam sobie jasno, że nadszedł najważniejszy moment, by zacząć rozsądnie odnosić się do swoich - w połowie tylko uzasadnionych - obaw. Coś nieustannie pulsowało na dnie mojego mózgu, dokuczało niczym bolący ząb i powodowało nieustanny ból żołądka.

Myślałam o Sinclairze bez emocji. Nie było powodu, by przypuszczać, że nie poczuje się odpowiedzialny za dziecko, które miała urodzić Tessa Faraday. Wróciwszy w poniedziałek do Elvie, powie nam, że ma zamiar się ożenić. Babcia będzie zachwycona - czyż nie mówiła, że ta dziewczyna jest urocza? - ja także będę zachwycona i nigdy nie wspomnę ani słowem o tej rozmowie telefonicznej, którą podsłuchałam.

Jeśli chodzi o Gibsona, on się naprawdę zestarzał, to fakt, i może lepiej dla wszystkich byłoby uznać, iż musi iść na emeryturę. Babcia i Sinclair z pewnością znaleźliby mu jakiś mały domek, może nawet z ogródkiem, gdzie mógłby hodować warzywa, mieć kilka kur i być szczęśliwym, mając takie zajęcie.

Jeśli zaś chodzi o mnie... Tu nie wystarczyło wzruszenie ramionami. Żeby to ja wiedziała, dlaczego wczoraj podniósł kwestię naszego małżeństwa. Moje był to po prostu zabawny pomysł, który przyszedł mu do głowy pół godziny po naszym piknikowym obiedzie. Jeśli tak, powinnam potraktować go żartobliwie, ale pocałunek Sinclaira nie był ani braterski, ani niefrasobliwy... Pamiętam, że sprawił mi przykrość i to z jego powodu czułam się tak bardzo zakłopotana. Może zrobił to rozmyślnie, by wyprowadzić mnie z równowagi...? Zawsze trzymały się go złośliwe żarty. Może po prostu był ciekaw, jak zareaguję...?

- Jane.

- Tak...? - Odwróciłam się i zobaczyłam Davida Stewarta, przyglądającego mi się ze słonecznego miejsca poza cieniem drzewa. Za nim, na rozłożonym pledzie, stała taca z kawą. Zrozumiałam więc, że musiał już wcześniej zapraszać mnie na nią, ale w ogóle go nie słyszałam.

- Czy stało się coś złego? - zapytał.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Wyglądasz, jakbyś była czymś zmartwiona. Jesteś też bardzo blada.

- Zawsze jestem blada. -I zawsze zmartwiona?

- Nie powiedziałam, że się czymś martwię.

- Czy wczoraj coś się stało?

- Co masz na myśli?

- Zauważyłem tylko, że nie miałaś zbytnej ochoty, by o tym mówić.

- Nic się nie stało... - Chciałam wyjść i zostawić go, ale jego ręka opierała się o drzewo ponad moim ramieniem i nie mogłam się zgrabnie stąd wyślizgnąć. Obrócił głowę, by spojrzeć na mnie, i to znane mi już, niepokojące spojrzenie sprawiło, iż na twarzy i szyi poczułam nagły przypływ gorąca.

- Mówiłaś mi - powiedział miłym głosem - że kiedy kłamiesz, oblewasz się rumieńcem. Stało się coś złego...

- Nie, to nie to. I w ogóle nic się nie stało...

- Gdybyś chciała mi powiedzieć - powiedziałabyś, prawda? Może mógłbym pomóc.

Pomyślałam o tej dziewczynie w Londynie, o Gibsonie i o sobie, i znów ogarnęła mnie fala obaw i niepokojów.

- Nikt nie może mi pomóc - powiedziałam. - Nikt nie może nic zrobić.

David zamilkł. Wróciliśmy na słońce. Poczulałam, że jest mi zimno; na moim ciele pojawiła się gęsia skórka. Usiadłam na rozgrzanym pledzie i wypilałam kawę, a David poczęstował mnie papierosem, bo tytoniowy dym chronił przed komarami. Po chwili wyciągnęłam się, kładąc głowę na poduszce i wystawiając ciało na słońce. Byłam zmęczona, a wino sprawiło, że poczułam się senna. Zamknęłam oczy, a szum wody zrobił swoje; zasnąłam.

Obudziłam się po godzinie. David leżał obok mnie, w odległości jednego jarda, i wsparty na łokciu czytał gazetę. Przeciągnęłam się, a gdy spojrzał na mnie, powiedziałam:

- To zdarza się po raz drugi.

- Co takiego?

- Budzę się i znajduję cię obok.

- Właśnie za chwilę miałem cię obudzić. Obudzić i odwieźć do domu.

- Która godzina?

- Wpół do czwartej. Spojrzałam na niego sennie.

- Czy pojedziesz ze mną do Elvie na herbatę? Babcia ogromnie by się ucieszyła.

- Chętnie zostałabym na herbacie, ale muszę spotkać się z pewnym starszakiem, który mieszka na końcu świata. Co jakiś czas zaczyna niepokoić się o swój testament i muszę tam jeździć, by rozproszyć jego wątpliwości.

- To przypomina szkocką pogodę, czyż nie?

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Jeden tydzień spędzasz w Nowym Jorku, robiąc tam Bóg wie co, a w następnym zaś jedziesz na głuchą wieś, by rozpraszać obawy jakiegoś starego człowieka. Lubisz pracę wiejskiego adwokata?

- Tak, prawdę mówiąc, lubię.

-To do ciebie pasuje... Mam na myśli... jakbyś się tu urodził... Twój dom i wszystko... i ten ogród. To sprawia wrażenie, jakby ktoś cię tu wkomponował.

- Ty także dobrze się komponujesz.

Chciałam, by to rozwinął, i przez chwilę sądziłam, że ma zamiar to zrobić, ale potem zrezygnował. Wstał, zabrał filiżanki i gazetę, i zaniósł wszystko do domu. Gdy wrócił, jeszcze tam leżałam i patrzyłam na rzekę. Stał nade mną, złapał mnie za ręce i szybko postawił na nogi. Obróciłam się i znalazłszy się w jego ramionach powiedziałam:

- To także już było.

- Tylko że wtedy - odrzekł David - twoja twarz była spuchnięta od płaczu i mokra od łez, a dzisiaj...

- A dzisiaj?

- Dzisiaj - roześmiał się - masz sześć tuzinów piegów więcej, a we włosach mnóstwo liści jabłoni i trochę trawy.

Odwiózł mnie do domu. Dach jego samochodu był opuszczony i wiatr rozwiewał moje włosy, które ciągle opadały mi na twarz. Na półce pod deską rozdzielczą David znalazł jakąś starą, jedwabną apaszkę i dał mi, bym zawiązała ją sobie na głowie.

Dojechaliśmy do miejsca, gdzie prowadzono roboty drogowe. Zatrzymaliśmy się przed czerwonymi światłami i czekając na ich zmianę, obserwowaliśmy ruch na jednopasmowej drodze przed nami.

- Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że zamiast prostować ten odcinek drogi, lepiej byłoby rozebrać most i wybudować nowy albo zrobić coś z tamtym piekielnym zakrętem po drugiej stronie.

- Ale ten most jest taki piękny.

- On jest niebezpieczny, Jane.

- Wszyscy to wiedzą i przejeżdżają po nim z prędkością jednej mili na godzinę.

- Nie wszyscy to wiedzą - poprawił mnie - latem co drugi kierowca przejeżdżający przez ten most jest gościem.

Zapaliły się zielone światła i ruszyliśmy do przodu, mijając wielki znak z napisem: „Zjazd”.

David, mając już za sobą garbaty most, przycisnął peda gazu.

Z wiatrem huczącym w uszach dojechaliśmy do Elvie.

W domu pokazałam babci swą zdobycz; granatowy sweter kupiony w sklepie myśliwskim.

- Myślę - powiedziała - iż miałaś wiele szczęścia, jeśli udało ci się znaleźć cokolwiek w całym Caple Bridge. Ten sweter jest z pewnością bardzo ciepły - przyznała uprzejmie, oglądając bezkształtne odzienie. Do czego będziesz go nosić?

-Do spodni... do wszystkiego. Naprawdę chciałam kupić jakąś spódnice, ale nie mogłam znaleźć...

- Jaką spódnice?

-Coś ciepłego... może kiedy będziesz znów jechała do Inverness...

- A może kilt? - zapytała babcia.

Nie pomyślałam o kilcie. To wspaniały pomysł. Kilt to najwygodniejsza rzecz na świecie. Szkoockie spódniczki mają zawsze doskonałe kolory.

- Gdzie mogłabym kupić kilt?

- Och, kochanie, nie musisz kupować; ten dom jest pełen kiltów. Sinclair nosił kilty, od kiedy nauczył się chodzić, i żaden nigdy nie został wyrzucony.

Zapomniałam już, że kilt w odróżnieniu od roweru jest „bezpłciowy”.

-Cóż za wspaniały pomysł! Czemu wcześniej nie przyszedł nam do głowy? Pójdę go poszukać! Gdzie one są? Na strychu?

- Ależ nie. Są w pokoju Sinclaira. Na górnej półce w je-go szafie. Przełożyłam je kulkami przeciwmolowymi, ale

jeśli zechcesz któryś, rozwiesimy go na dworze, straci ten zapach i będzie jak nowy.

Nie zwlekając ani chwili, rzuciłam się na poszukiwanie jakiegoś kiltu. Pokój Sinclaira, przez moment pozbawiony właściciela, był wysprzątnany, pozamiatany i panował w nim nieskazitelny porządek. Przypomniałam sobie tę wrodzoną schludność, która zawsze była mocną stroną jego charakteru. Już jako chłopiec nie mógł znieść bałaganu, wygniecionych ubrań i porzrzucanych zabawek.

Wzięłam krzesło i poszłam z nim do garderoby Sinclaira. Mieściła się w alkowie obok kominka. Przestrzeń nad szafą wypełniona była walizkami. Tam też znajdowało się miejsce na nie używaną o danej porze roku odzież. Stałam na krześle i otworzyłam drzwi do górnej części szafy. Zobaczyłam tam starannie ułożony stos książek, trochę czasopism samochodowych, raketę do squasha i parę gumowych płetw. Z wielkiego zamkniętego nesesera dochodził silny zapach kamfory. Sięgnęłam po neseser, by ściągnąć go na dół. Był ciężki i nieporęczny. Mocując się z nim, zawadziłam łokciem o stertę książek. Nic już nie mogłam zrobić, by je pochwycić. Stałam na krześle i patrzyłam, jak z hałasem spadają na podłogę. Zakławszy, mocniej szarpnęłam ciężki neseser, zdjęłam go i położyłam na łóżku, a potem schyliłam się, by pozbierać książki. Były to głównie podręczniki, jakiś słownik, mała encyklopedia Larousse'a, „Życie Michała Anioła”, a na spodzie... gruba i ciężka, oprawiona w szkarłatną skórę, pokryta znakami herbowymi, z tytułem wytłoczonym na grzbiecie złotymi literami, dwutomowa „Historia Ziemi i przyrody ożywionej”.

Znałam tę książkę. Miałam zaledwie sześć lat, gdy mój ojciec przywiózł ją do Elvie po jednej ze swoich euforycznych wizyt w antykwariacie pana McFee w Caple Bridge. Pan McFee umarł wiele lat temu. W dawnym antykwariacie mieści się teraz sklep z tytoniem, ale wtedy mój ojciec spędził wiele szczęśliwych godzin, dyskutując z panem McFee - pogodnym ekscentrykiem, nie mającym żadnych uprzedzeń wobec brudu i kurzu - oraz przeglądając stre książki, które wypełniały bezkresne półki.

„Przyrodę ożywioną” Goldsmitha ojciec znalazł także przypadkiem i przywiózł do domu triumfalnie, nie tylko dlatego, iż to bardzo rzadki wolumin, lecz także i z tego powodu, że była ona specjalnie oprawiona przez jakiegoś po przedniego, szlachetnie urodzonego właściciela, a poza tym sama w sobie stanowiła dzieło sztuki. Pierwszą rzeczą, jaką zrobił mój ojciec - chcąc podzielić się swoją radością, za chwycony tym, iż posiada tę książkę - było przyniesienie jej do pokoju dziecinnego. Chciał pokazać ją Sinclairowi i mnie. Moja reakcja prawdopodobnie rozczarowała go. Poglaskałam piękną skórę, rzuciłam okiem na jedną czy drugą ilustrację przedstawiającą azjatyckie słonie, po czym wróciłam do swoich klocków. Z Sinclairem jednak było zupełnie inaczej. Podobało mu się w tej książce wszystko: stary druk, grube strony, grafika, każdy szczegół niewielkich rysunków. Zachwycił go zapach, marmurkowane wyklejki, a nawet znaczny ciężar tej wielkiej, starej księgi.

Wzbogacenie kolekcji o taką zdobycz, zdawało się zasługiwać na szczególną ceremonię. Ojciec przyniósł więc swój własny ex libris - drzeworyt z jego inicjałami oplecionymi jakąś szczególnie dekoracyjną rośliną - i starannie przykleił go do marmurkowej wyklejki „Przyrody ożywionej” Goldsmitha. Sinclair i ja przyglądaliśmy się tej operacji w całkowitej ciszy. Gdy zaś została zakończona, wydałam westchnienie zadowolenia, bo ojciec zrobił to doskonale, a ów ex libris dowodził, bez cienia wątpliwości, że od tej chwili książka należy do niego.

Zniesiono ją na dół i położono na stoliku w salonie obok kilku czasopism i codziennej prasy, gdzie można było ten cenny nabytek podziwiać, przeglądać i czytać. Nie mówiono już o niej aż do chwili, gdy dwa czy trzy dni później ojciec spostrzegł, że zniknęła.

Nikogo to szczególnie nie zaniepokoiło. „Przyrodę ożywioną” Goldsmitha po prostu gdzieś przełożono. Być może ktoś ją pożyczył i zapomniał oddać. Ojciec zaczął się o tę książkę rozpytywać, lecz niczego się nie dowiedział. Babcia szukała jej pracownicy, ale książka nigdy już nie ujrzała światła dziennego. Nas także wciągnięto w tę sprawę. Czy widzieliśmy książkę? Ależ oczywiście, nie widzieliśmy jej. Więc tak właśnie od-

powiedzieliśmy i nikt nigdy nie kwestionował naszej niewinności. Moja mama powiedziała: „Może jakiś włamywacz...”, ale babcia ją wyśmiała: „Jaki włamywacz odwróciłby oczy od gruzińskich sreber, by wziąć tylko jedną starą książkę?” Z uporem twierdziła, że „Przyroda ożywiona” po prostu gdzieś się zapodziała i z pewnością się znajdzie. Jak każda krótkotrwała sensacja również i ta wielce tajemnicza sprawa umarła śmiercią naturalną, ale książka nigdy się nie znalazła.

Aż do dzisiaj. W garderobie Sinclaira. Starannie przechowywana wraz z innymi przedmiotami, których nie używał. Była tak piękna jak kiedyś; czerwona skóra nie straciła swej miękkości, a litery na okładce jasności i złotego blasku. Stojąc z tą książką, ciężącą mi teraz w rękach jak olów, przypomniałam sobie *ex libris* ojca. Odchyliłam okładkę i zobaczyłam, że wycięto go razem z marmurkową wyklejką. Zrobiono to delikatnie, prawdopodobnie żyletką, tuż przy samym grzbiecie książki. Na znajdującej się pod nią białej karcie przedtytułowej widniała informacja napisana pewnym, mocnym charakterem pisma dwunastoletniego Sinclaira:

Sinclair Bailey

Elvie

To jest jego książka.

Rozdział 9

Piękna pogoda wciąż się utrzymywała. W poniedziałek po południu babcia, uzbrojona w łopatę i ogrodnicze rękawice, wyszła sadzić cebulę. Zaproponowałam jej swoją pomoc, ale nie chciała z niej skorzystać. „Gdybyś mi towarzyszyła - powiedziała - jedynie rozmawiałybyśmy i nic nie mogłabym zrobić”. Ponieważ zostałam zwolniona z tego zajęcia, gwizdnęłam na psy i poszłam na spacer. Prawdę mówiąc, niezbyt lubię prace ogrodnicze.

Przeszłam kilka mil, spacerując ponad dwie godziny. Nim wróciłam, jasność dnia zaczęła gasnąć i zrobiło się chłodno. Ponad szczytami gór pojawiło się kilka chmur, które napłynęły z północy, i welon mgły rozłożył się nad jeziorem. Z otoczonego murem ogrodu, w którym Will rozpałił ognisko, płynął długi pióropusz błękitnego dymu. Powietrze przesycone było zapachem palonych liści. Z rękami w kieszeniach i głową pełną myśli o herbacie przy kominku przeszłam przez groble, a potem drogą pod bukami. Jeden z psów zaczął szczekać. Spojrzawszy w stronę domu, zobaczyłam zaparkowanego przed nim żółtego lotusa elana.

Sinclair wrócił. Spojrzałam na zegarek. Była piąta. Wcześniej przyjechał. Przebrnąwszy przez leżącą na trawie warstwę zwiędłych liści, doszłam do żwirowego podjazdu. Przechodząc obok samochodu, dotknęłam ręką lśniącego zderzaka, jakbym chciała się upewnić, że auto Sinclaira naprawdę tu stoi. Weszłam do ciepłego, pachnącego torfem holu, poczekałam na psy, a potem zamknęłam za sobą drzwi.

Usłyszałam szmer głosów w salonie. Spragnione psy pobiegły napić się ze swojej miski, a potem położyły przed »kominkiem. Rozpięłam pa-

sek płaszcza i zdjęłam go. Zrzuciłam z nóg zabłocone buty, a rękami przygładziłam włosy. Przeszłam przez hol i otworzyłam drzwi salonu.

- Cześć, Sinclair.

Siedzieli obok siebie, rozdzieleni stojącym między nimi niskim stolikiem. Sinclair podniósł się natychmiast i przeszedł przez pokój, by się ze mną przywitać.

- Janey, gdzie byłaś? - zapytał całując mnie.

- Na spacerze.

- Już prawie ciemno. Myśleliśmy, że zgubiłaś drogę. Spojrzałam na niego. Sądziłam, że będzie nieco inny;

spokojniejszy, może zmęczony po długiej jeździe, zamyślony, przytłoczony nową odpowiedzialnością. Ale oczywiście się myliłam. Jak gdyby nigdy nic, wyglądał szczęśliwiej, młodziej i bardziej niefrasobliwie niż przedtem. Tego wieczoru miał w sobie jakiś blask - promień ekscytacji przypominający światło w oczach dziecka siedzącego przy wigilijnej choince.

Ujął moje dłonie.

- Jesteś zimna jak lód. Usiądź przy kominku i ogrzej się. Uprzejmie zostawiłem ci jedną grzanekę, ale jestem pewien, że zjadłabyś więcej. Pani Lumley zaraz ci je przygotowuje.

- Nie, to wystarczy.

Przyciągnęłam sobie niski skórzany zydeł i usiadłam między nimi, a babcia nalala mi herbatę.

- Dokąd poszłaś? - zapytała. Opowiedziałam jej o swoim spacerze.

- Czy psy dostały pić? Z pewnością były mokre i zabłocone, osuszyłaś im sierść?

Zapewniłam ją, że dostały pić, nie były mokre ani zabłocone.

-Nie chodziliśmy tam, gdzie jest mokro, a przed wejściem do domu wycesałam im dokładnie z sierści wszystkie wrzosey.

Podala mi filiżankę, którą objęłam zimnymi dłońmi i popatrzyłam na Sinclaira.

- Jak było w Londynie?

- Gorąco i duszno. - Zaśmiał się, a oczy rozblęsnęły mu rozbawieniem. - Mnóstwo wyczerpanych biznesmenów w zimowych garniturach.

- Czy... osiągnąłeś to, co chciałeś?

- To zabrzmiało bardzo pompatycznie: „osiągnąłeś”. Gdzie się nauczyłaś takich długich słów?

- No dobrze, więc osiągnąłeś?

- Oczywiście. Inaczej by mnie tu nie było.

- Kiedy... kiedy wyjechałeś z Londynu? -Wczesnym rankiem... około szóstej... Babciu, czy jest

jeszcze trochę herbaty?

Podniosła dzbanek i uchyliła przykrywkę, by zajrzeć do środka.

- Nie, nie ma. Pójdę i zrobię jeszcze trochę.

- Każ to zrobić pani Lumley.

- Nie, pani Lumley ma obolałe stopy, więc ja zaparzę tę herbatę. Chcę zresztą porozmawiać z nią o kolacji. Musimy ułożyć w rondlu kolejnego bażanta.

- Pycha! Bażant z patelni! - powiedział Sinclair, gdy babcia wyszła do kuchni.

Ujął mój przegub i bawił się, przesuwając po nim palcami, jakby obracał nie istniejącą bransoletkę. Jego dotyk był chłodny i delikatny.

- Chcę z tobą porozmawiać - stwierdził. Więc jednak..

- O czym? - zapytałam

- Nie tutaj. Chcę cię mieć dla siebie. Sądziłem, że po herbacie pojedziemy gdzieś samochodem, choćby na stok Bengairnu, i będziemy obserwować wschód księżyca. Pojedziesz?

Jeśli chciał mi opowiedzieć o Tessie, wewnątrz jego samochodu nadało się do tego równie dobrze, jak każde inne miejsce.

- W porządku, pojedę - odpowiedziałam.

Przejażdżka lotusem była dla mnie nowym doświadczeniem. Nisko przypięta do siedzenia pasem bezpieczeństwa, czułam się tak, jakbym unosiła się na Księżyc i nawet prędkość, z jaką wystartował Sinclair, nie

zdołała rozproszyć tego wrażenia. Z hukiem silnika dotarliśmy do głównej drogi, przy której zatrzymaliśmy się na chwilę, potem znów ruszyliśmy naprzód tak gwałtownie, że wskazówka prędkościomierza w ciągu zaledwie kilku sekund wskoczyła na dziewięćdziesiątkę. Pola, żywopłoty i dobrze znane krajobrazy zostawały za nami, przelatując wprost w niewiarygodnym tempie.

- Zawsze jeździsz z taką prędkością? - zapytałam.

- Kochanie, nie jedziemy szybko.

Nic już nie powiedziałam na ten temat. Miałam wrażenie, że w jednej chwili znaleźliśmy się przy garbatym moście. Wjechaliśmy na niego nieco wolniej, a potem - przejechawszy przezeń tak, że miałam uczucie, iż żołądek wskoczył mi do gardła - znaleźliśmy się tam, gdzie prowadzono roboty drogowe. Światła były zielone, więc Sinclair przyspieszył i pokonał tę przeszkodę, nim zdążyły rozjarzyć się czerwienią. Wjechaliśmy do Caple Bridge z prędkością trzydziestu mil na godzinę. Z szacunku dla miejscowego policjanta i ku mojemu zadowoleniu, Sinclair zwolnił tempo, pozwalając, by lotus przejechał przez miasto znacznie wolniej. Gdy tylko zostawiliśmy za sobą ostatni dom, znowu przyspieszył. Za miastem nie było już dużego ruchu. Przed nami wiała się łagodnie powyginana droga, którą samochód pokonywał, skacząc niby rwący do przodu koń.

Dotarliśmy do skrzyżowania z małą drogą, która wiodła na południe, wspinając się kolejnymi stromymi zakrętami na stok Bengairnu. Łąki i pola uprawne zostały za nami. Ze zgrzytem opon przejechaliśmy przez pastwisko i znaleźliśmy się na wrzosowisku urozmaiconym kwitnącymi trawami i obojętnymi stadkami czarnogłowych owiec. Frzez uchylone okno samochodu wpływało chłodne powietrze i zapach torfu. Mieliśmy przed sobą gęstniejącą mgłę. Nin jednak wjechaliśmy w nią, Sinclair skierował lotusa do nie wielkiej przydrożnej zatoczki i wyłączył silnik.

Przed nami rozciągał się wspaniały widok: spokojna kotlina pod jasno turkusowym, bardziej zielonym niż niebieskim niebem na wscho-

dzie, po drugiej zaś stronie ubarwionym różowością zachodzącego słońca. Widoczne z daleka jezioro Elvie było spokojne i jasne jak brylant, zaś rzeka Caple wydawała się rozwianą na wietrze srebrną wstążką. Panowała cisza. Słychać było tylko wiatr uderzający w samochód i głosy kulików

Siedzący obok mnie Sinclair odpiął swój pas, potem gdy nie poruszyłam się, by pójść za jego przykładem - pochylił się i odpiął mój. Obróciłam się, by na niego spojrzeć on zaś, nie mówiąc ani słowa, ujął moją twarz dłońmi obciążonymi jeszcze rękawiczkami i pocałował. Po chwili odsunęłam go delikatnie od siebie.

- Chciałeś ze mną porozmawiać, pamiętasz? Uśmiechnął się, wcale nie zmieszany, i obrócił nieco, by

sięgnąć do kieszeni.

- Mam coś dla ciebie...

Wyjął małe pudełeczko, a gdy je otworzył, miałam wrażenie, że całe niebo odbiło się w gwieździstym blasku diamentów. Poczulałam się tak, jakbym spadała ze stromego urwiska głową w dół. Byłam zamroczona, ogłupiała i oszołomiona. Gdy po chwili mogłam już wydusić z siebie jakieś słowo, powiedziałam tylko:

- Ależ, Sinclair, to przecież nie dla mnie.

- Oczywiście, że dla ciebie.

Wyjął pierścionek, pudełko niedbale odłożył na półkę pod kierownicą i nim zdołałam go powstrzymać, ujął moją lewą rękę i wsunął mi ten klejnot na palec. Staralam się go ściągnąć, ale Sinclair trzymał moją dłoń tak mocno, że diamenty wbiły mi się w ciało i pokaleczyły palce.

- Ależ to nie może być dla mnie.

- Jest właśnie dla ciebie. Tylko dla ciebie.

- Sinclair, musimy porozmawiać.

- Właśnie dlatego cię tu przywiozłem.

- Nie, nie o tym. Musimy porozmawiać o Tessie Faraday. Jeśli sądziłam, że go tym zaszokuje, byłam w błędzie.

- Co wiesz o Tessie Faraday?

Jego głos wcale nie brzmiał złością; znajdował się w nim ton pobłażliwości.

- Wiem, że będzie miała dziecko. Twoje dziecko.

- Skąd się o tym dowiedziałaś?

- Bo dzwoniła w nocy. Słyszając ten telefon, wyszłam na półpiętro, by go odebrać, ale ty zrobiłeś to wcześniej i usłyszałam ją... Mówiła ci, że...

- Więc to byłaś ty?

Powiedział to z taką ulgą, jakby wreszcie udało mu się rozwiązać jakiś niewielki problem.

- Wydawało mi się, że coś przerywa połączenie. Okazałaś się bardzo taktowna, nie słuchając do końca naszej konwersacji.

- Ale co masz zamiar z tym zrobić?

- Zrobić? Nic.

- Ta dziewczyna nosi twoje dziecko.

- Droga Janey, nie wiemy, czy to dziecko jest moje.

- Ono może być twoje.

- Tak, może być moje. Ale to nie znaczy, że jest. Nie biorę odpowiedzialności za beztroskę innego mężczyzny.

Pomyślałam o Tessie Faraday, o jej wizerunku, jaki zbudowała moja wyobraźnia. Zalotna, śliczna dziewczyna w ramionach Sinclaira. Ciesząca się powodzeniem i sportowymi sukcesami, chwalona i podziwiana młoda kobieta jedząca w Connaught obiad z moją babcią. „Cóż za czarująca dziewczyna” - powiedziała o niej babcia, która rzadko myliła się w ocenie ludzi. Żaden z elementów owego wizerunku nie miał nic wspólnego z tym obrazem, jaki usiłował przedstawić mi teraz Sinclair.

- Powiedziałeś jej to? - zapytałam ostrożnie.

- Tak. Innymi słowami.

- Co ci odpowiedziała? Wzruszył ramionami.

- Powiedziała, tak jak przypuszczałem, że znajdzie inne rozwiązanie.

- I poprzestałaś na tym?

- Tak, poprzestaliśmy na tym. Nie bądź zbyt naiwna, Jane. Ona ma doświadczenie, to bardzo obrotna dziewczyna.

Przez cały czas trzymał moją rękę, ale teraz rozluźnił uścisk i mogłam rozprostować ściśnięte palce. Trzymał zaręczynowy pierścionek między kciukiem a palcem wskazującym i obracał powoli, tam i z powrotem, jakby go przyśrubowywał.

- Tak czy owak, powiedziałem jej, że ożenię się z tobą.

- Co jej powiedziałaś?

- Och, kochanie, słuchaj mnie uważnie. Powiedziałem jej, że mam zamiar ożenić się z tobą.

- Nie miałeś prawa tego powiedzieć... przecież nawet mnie nie zapytałeś.

- Oczywiście, że cię zapytałem. A o czym dyskutowaliśmy onegdaj? Co ja twoim zdaniem robiłem?

- Udawałeś, grałeś... to było aktorstwo.

- Nie, nie grałem. Co więcej, ty wiesz, że nie grałem.

- Nie jesteś we mnie zakochany.

- Ale cię kocham - powiedział głosem brzmiącym całkowicie racjonalnie. - To, że jestem z tobą, że znów mam cię w Elvie, jest najlepszą rzeczą, jaka mi się kiedykolwiek zdarzyła. Masz w sobie tyle świeżości. W jednej chwili jesteś naiwna jak dziecko, w następnej zaś okazujesz się zaskakująco mądra. Dajesz mi radość. Stwierdziłem też, że jesteś cudownie atrakcyjna. Znasz mnie chyba nawet lepiej, niż ja znam samego siebie. Czyż to wszystko nie jest lepsze niż zwyczajne zakochanie się?

- Jeśli się kogoś poślubia, to... na zawsze...

- A zatem?

- Z pewnością musiałeś być zakochany w Tessie Faraday, a teraz nie chcesz mieć z nią więcej nic wspólnego.

- Janey, to było coś zupełnie innego.

- Jak to: „coś innego”. Nie rozumiem, na czym polega ta różnica.

- Tessa jest pociągająca, wesola i bardzo łatwo dostępna. Dobrze się bawiłem w jej towarzystwie, ale na całe życie... nie.

- Ona będzie miała dziecko na całe życie.

- Powiedziałem ci już, że jest prawie pewne, iż dziecko nie jest moje.

Było oczywiste, że w tej sprawie okazał się zupełnie niewrażliwy. Spróbowałam innej taktyki.

- Założmy, Sinclair, tylko założmy, że nie chcę cię poślubić. Jak już ci mówiłam, jesteście kuzynami...

- Takie rzeczy już się zdarzały...

- Nas jednak łączy zbyt bliskie pokrewieństwo. Nie chciałabym ryzykować.

- Kocham cię - powiedział Sinclair.

Nigdy nikt mi tego nie mówił. Jako nastolatka często marzyłam we śnach, że usłyszę te słowa. Ale nigdy, że usłyszę je tak jak dziś.

- Ale... ale ja nie kocham ciebie. Uśmiechnął się.

- Twój głos nie brzmi zbyt pewnie.

- A jednak jestem pewna, zupełnie pewna.

- Nie kochasz mnie choćby na tyle, by mi... pomóc?

- Och, Sinclair, ty nie potrzebujesz pomocy.

- Otóż mylisz się. Potrzebuję. Jeśli za mnie nie wyjdiesz, cały mój świat legnie w gruzach, rozpadnie się na drobne kawałeczki, zasypie mnie nimi po uszy.

Brzmiało to jak wyznanie kochanka, ale wciąż nie wierzyłam w tę miłość.

- Mówisz to dosłownie, prawda?

- Ależ jesteś spostrzegawcza, Jane. Tak, mówię to dosłownie.

- Dlaczego?

Nagle stał się niecierpliwy. Odrzucił moją dłoń, jakby

był nią znudzony, i odwrócił się, by poszukać papierosów Wyjawszy jednego, sięgnął po zapalniczkę.

- Ponieważ... - powiedział w końcu i zamilkł.

- Ponieważ?

Wziął głęboki oddech.

- Ponieważ tkwię po uszy w długach, ponieważ muszę znaleźć pieniądze, by je spłacić, albo zastaw, by je pożyczyć. Zastaw, którego też nie mam. A jeśli to wszystko wyjdzie na jaw, co wydaje się niebezpiecz-

nie bliskie, wtedy mogę mieć pewność, że mój dyrektor pośle po mnie i nie siląc się na uprzejmość oświadczy, że może doskonale obejść się bez moich usług. Dziękuję bardzo.

- Chcesz powiedzieć, że stracisz pracę?

- Nie tylko spostrzegawcza, lecz i pojętna.

- Ale... w jaki sposób wpadłeś w te długi?

- Jak myślisz? Obstawiając konie, grając w pokera... Zabrzmiało to bardzo niewinnie,

- Ile masz tych długów?

Powiedział mi. Nie mogłam uwierzyć, że ktoś może posiadać tak dużo pieniędzy, a co dopiero mieć takie długi.

- Musiałeś postradać zmysły. Chcesz powiedzieć, że tylko grając w karty...

- Och, na miłość boską, Jane! Tyle możesz stracić w paru londyńskich kasynach w ciągu jednego wieczoru. Mnie zabrało to dwa lata.

Mnie zaś kilka chwil zabrało pogodzenie się z faktem, iż mężczyźni mogą być takimi głupcami. Zawsze sądziłam, że mój ojciec ma lekką rękę do pieniędzy, ale to...

- Czy babcia nie mogłaby ci pomóc? Pożyczyć pieniądze?

- Pomogła mi poprzednio... powiedziałbym, że bez wyraźnego entuzjazmu.

- A więc to już nie pierwszy raz?

- Nie, nie pierwszy raz. Możesz już się pozbyć tego wyrazu zaszokowanej sroki na twarzy. Poza tym babcia nie ma pieniędzy, które leżałyby w zasięgu ręki. Należy do pokolenia, które wierzy w słuszność zamrażania kapitału i wszystkie jej pieniądze ulokowane są w funduszach powierniczych i inwestycyjnych oraz w ziemi. Ziemia...

- A może by sprzedać część ziemi? - rzuciłam zdawkowo. - Na przykład... wrzosowisko?

Sinclair posłał mi krótkie spojrzenie, pełne niechętnego respektu.

- Już o tym myślałem. Znalazłem nawet grupę Amerykanów zainteresowanych kupnem tego wrzosowiska, którzy -gdyby nie mogli go kupić

- wzięliby je w korzystną roczną dzierżawę. Mówiąc szczerze, Janey, właśnie dlatego załatwiłem trochę urlopu, by przyjechać na północ i przedstawić babci ten pomysł. Ale ona, oczywiście, nie myśli o tym... choć prawdopodobnie byłoby to dla niej bardziej korzystne, niż mogę to sobie wyobrazić.

- Wrzosowisko jest już wydzierżawione.

- Jakimś płotkom. Kwota, którą płaci jej to małe stowarzyszenie, le-dwie starcza na naboje do wiatrówki Gibsona.

- A Gibson?

- Och, do diabła z Gibsonem! Zestarzał się. Najwyższy czas, by prze-nieść go na emeryturę.

Znów pograżyliśmy się w milczeniu. Sinclair palił papierosa, ja zaś, siedząc obok niego, ze wszystkich sił starałam się pozbyć uczucia zażenowania, które mnie ogarnęło. Doszłam do przekonania, że tym, czym mnie najbardziej zaskoczył, nie była ani jego bezdusność - bo już wcześniej go o nią podejrzewałam - ani fakt, że doprowadził do takiej sytuacji, lecz to, że okazał się tak szczerzy wobec mnie. Albo porzucił pomysł naszego małżeństwa i nie miał już nic do stracenia, albo też jego próżność nie miała granic.

Zaczynałam być wściekła. Rzadko i wolno tracę panowanie nad sobą, ale jeśli już to robię, jestem zupełnie roztrzęsiona. Wiedząc o tym i obawiając się, by mi się to nie przydarzyło, rozmyślnie ścisnęłam palce i starałam się pozostawać chłodna i rzeczowa.

- Naprawdę nie rozumiem, dlaczego to musi być decyzja babci, nie zaś twoja. Przecież Elvie pewnego dnia będzie należeć do ciebie. Gdybyś zechciał wyprzedawać kawałki ziemi teraz, pomyślałabym, że to twoja sprawa.

- Dlaczego mówisz, że Elvie będzie należeć do mnie.

- To oczywiste. Jesteś jedynym wnukiem babci. Nie ma nikogo innego.

-Mówisz tak, jakby to było postanowione, jakby Elvie przechodziła przez kolejne pokolenia, z ojca na syna. Ale tak nie jest. Elvie należy do

naszej babci i jeśli zechce, może przeznaczyć swą posiadłość na pensjonat dla kotów.

- A dlaczego nie dla ciebie?

- Ponieważ ja, kochanie, jestem synem mojego ojca.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- To znaczy, że nie jestem dość dobry, jestem nieudacznikiem, czarna owca, wykapanym Baileyem, jeśli chcesz.

Patrzyłam na niego nic nie rozumiejącym spojrzeniem, on zaś roześmiał się nagle. Nie był to jednak przyjemny śmiech.

- Czy nikt nigdy nie opowiadał ci, mała niewinna Jane, o twoim wujku Aylwynie? Ojciec nic ci nie mówił?

Zaprzeczyłam ruchem głowy.

- Opowiedziano mi o nim, gdy skończyłem osiemnaście lat... Ta opowieść była czymś w rodzaju niechcianego prezentu urodzinowego. Widzisz, Aylwyn Bailey był nie tylko zwyczajnie nieuczciwy, ale również nieudolny. Pięć z owych lat, które spędził w Kanadzie, przesiedział w więzieniu. Za oszustwo, defraudację i Bóg wie co jeszcze. Nigdy nie przyszło ci do głowy, że ten cały pobyt za granicą był trochę nienaturalny? Żadnych wizyt, bardzo mało listów i ani jednej fotografii w całym domu.

Nagle wszystko stało się oczywiste i zdziwiłam się, dlaczego nigdy nie uświadomiłam sobie prawdy! Pomyślałam o odbytej kilka dni temu rozmowie z babcią, o jej dziwnym spojrzeniu, kiedy mówiła mi o swoim jedynym synu: „Postanowił zamieszkać w Kanadzie i w końcu tam umrzeć. Elvie nigdy nie znaczyło zbyt wiele dla Aylwyna. Wyglądał jak Sinclair. Był bardzo czarujący”.

- Dlaczego nigdy nie wrócił do Szkocji? - zapytałam niemądrze.

- Przypuszczam, że był człowiekiem, którego babcia wołała trzymać z dala od domu. Prawdopodobnie wyobrażała sobie, że będę lepszy, jeśli nie znajdę się pod jego wpływem... - Nacisnął guzik otwierający okno i wyrzucił przez nie niedopałek papierosa - ...ale sprawy potoczyły się inaczej. Nie przypuszczam zresztą, by ta czy inna metoda miała tu jakies znaczenie. Po prostu odziedziczyłem rodzinną skłonność. - Uśmiechnął

się do mnie. - Wiesz zresztą, jeśli nie da się czegoś wyleczyć, trzeba to znosić.

- Chcesz powiedzieć, że wszyscy inni muszą to znosić?

- Och, daj spokój, dla mnie to też nie jest łatwe. Wiesz, Janey, to dziwne, co powiedziałaś, że Elvie w końcu należeć będzie do mnie. Pewnej nocy, kiedy dyskutowaliśmy o sprzedaży wrzosowiska i o tym co zrobić z Gibsonem, to był właśnie mój ostatni argument, as schowany w rękawie: „Pewnego dnia Elvie będzie moja. Wcześniej czy później należeć będzie do mnie, więc dlaczego nie miałbym już teraz decydować, co z nią zrobić?” - Odwrócił się do mnie i uśmiechnął tym swoim czarującym, rozbrajającym uśmiechem. - I wiesz, co odpowiedziała nasza babcia?

- Nie.

- Powiedziała: „Otóż tu właśnie się mylisz, Sinclair. Elvie nie oznacza dla ciebie nic, prócz źródła dochodów. Wybrałeś życie w Londynie i nigdy nie chciałeś tutaj mieszkać. Elvie otrzyma Jane”.

Wszystko stało się dla mnie jasne. To był ostatni element układanki i teraz obraz stał się kompletny.

- A więc dlatego chciałeś się ze mną ożenić? By dostać Elvie w swoje ręce?

- Powiedziałaś to trochę za sucho.

- Sucho?!

- Sądzę, że mogłabyś powiedzieć, iż to był brutalny, ordynarny pomysł. Na domiar złego podałem ci wszystkie powody, które są prawdziwe, rzeczywiste i zupełnie szczerze.

Sposób, w jaki użył tych słów sprawił, iż hamowany przeze mnie gniew wyrwał się spod kontroli, niczym kamień spadający ze stoku wzgórza.

- „Prawdziwe, rzeczywiste i szczerze”! Ty nawet nie wiesz, co znaczą te słowa! Jak możesz ich używać... jednym tchem... opowiadając mi to wszystko!

- Masz na myśli mojego ojca?

- Nie, nie mam na myśli twojego ojca. Nie obchodzi mnie twój ojciec i ciebie też nie powinien obchodzić. Gwiżdżę na Elvie. I wcale jej nie chcę, a jeśli babcia zostawi majątek mnie - to odmówię przyjęcia. Ale raczej go spalę - podaruję komuś innemu, niż pozwolę, by dostał się w twoje zachłanne ręce.

- Nie jest to szczególnie miłosierna.

- Nie mam zamiaru być miłosierna. Nie zasługujesz na miłosierdzie. Jesteś owładnięty obsesją posiadania. Zresztą zawsze byłeś... Zawsze musiałeś mieć. Jeśli nie miałeś jakichś rzeczy, to je po prostu brałeś. Kiedy byłeś mały, musiałeś mieć kolejki elektryczne, łódki, kije do krykieta i karabiny. Teraz zaś: ekstrawaganckie samochody, mieszkanie w Londynie i pieniądze, pieniądze, coraz więcej pieniędzy. Nigdy nie byłbyś zadowolony. Gdybym nawet zrobiła wszystko, czego ode mnie chcesz, gdybym nawet wyszła za ciebie i oddała ci Elvie ze wszystkim, z całym dobrodziejstwem inwentarza, nigdy nie byłoby dosyć...

- Fantazjujesz...

- Nie o to teraz chodzi. Rozmawiamy o czymś innym. To kwestia twoich priorytetów, powinieneś uswiadomić sobie, że ludzie znaczą więcej niż rzeczy.

- Ludzie?

- Tak, ludzie. Wiesz, ludzkie istoty z ich uczuciami, emocjami i wszystkimi tymi rzeczami, o których - zdaje się zapomnialeś, jeśli w ogóle kiedykolwiek miałeś pojęcie o ich istnieniu. Ludzie, tacy jak nasza babcia, Gibson, i ta dziewczyna - Tessa - która nosi twoje dziecko. I nie zaczynaj mi znowu mówić, że ono nie jest twoje, bo ja wiem, a co ważniejsze i ty cholernie dobrze wiesz, że to nieprawda. Spełnili swoją rolę, a teraz są już wykorzystani, niepotrzebni, więc ich odpychasz, odrzucaasz, jak balast za burtę.

- Nie ciebie - powiedział Sinclair - ciebie nie odpycham, ciebie biorę ze sobą.

- O nie, nie bierzesz.

Pierścionek był za ciasny, ściągnęłam go, kalecząc sobie palec, i z trudem udało mi się powstrzymać przed rzuceniem go Sinclairowi w twarz. Sięgnęłam po niewielkie jubilerskie pudełeczko, wcisnęłam klejnot w aksamit i zatrzasnąwszy wieczko, odłożyłam z powrotem na półkę.

- Miałeś rację mówiąc, że się kochaliśmy. To prawda. Zawsze wydawałeś mi się najwspanialszym człowiekiem na świecie. Lecz okazałeś się nie tylko nikczemny, ale i głupi. Musiałeś postradać zmysły, wyobrażając sobie, że mogłabym grać z tobą w tę grę, jakby nic się nie stało. Myślałeś pewnie, że jestem największą idiotką.

Ku własnemu przerażeniu usłyszałam, że głos zaczyna mi drżeć. Rozdygotana odsunęłam się od Sinclaira marząc, by znaleźć się na świeżym powietrzu, w jakiejś olbrzymiej przestrzeni, gdzie mogłabym się wykrzyknąć, wyrzucić z siebie wszystko i dać upust paroksyzmowi histerii. Byłam jednak uwięziona w ciasnym wnętrzu samochodu Sinclaira. Była to zbyt mała przestrzeń, by pomieścić wrzące emocje, nie mówiąc już o nas samych.

Usłyszałam westchnienie Sinclaira.

- Któż by przypuszczał, że wrócisz z Ameryki z takimi wzniosłymi zasadami...

- To nie ma nic wspólnego z Ameryką. Taka po prostu jestem i zawsze taka będę - czułam, że usta wyginają mi się w podkówkę, oczy zaś napęlniają łzami - a teraz chcę jechać do domu.

Mimo wysiłków rozplakałam się na dobre. Szukałam chusteczki, ale oczywiście nie mogłam jej znaleźć i musiałam przyjąć chusteczkę Sinclaira, którą podał mi bez słowa. Wytarłam oczy i nos, i z jakiegoś absurdalnego powodu ta prozaiczna czynność złagodziła napięcie między nami. Wyjął z pudełka dwa papierosy i zapaliwszy obydwa naraz, podał mi jednego. Życie potoczyło się dalej. Podczas naszej rozmowy, wokół zrobiło się ciemno. Księżyc jeszcze nie w pełni, lecz ciągle łukowaty i wąski, wznosił się na wschodzie, a jego światło wydawało się osłonięte mgłą, która schodziła ze szczytu góry i teraz otoczyła nas. Ponownie wytarłam nos.

- Co zrobisz?
- Bóg jeden wie.
- Może porozmawialibyśmy z Davidem Stewartem? -Nie.
- Ale, Sinclair...
- Miałaś rację - powiedział - czas jechać do domu. Wyciągnął rękę, by uruchomić samochód; silnik zamruczał, zagłuszając wszystkie inne dźwięki.
- Po drodze zatrzymamy się na drinka w Caple Bridge. Sądzę, że każdemu z nas dobrze zrobi jeden drink. Będziesz miała trochę czasu, by poprawić twarz, nim babcia ją zobaczy.
- A co złego stało się z moją twarzą?
- Jest spuchnięta i obrzmiała, zupełnie jakbyś miała odrę. Wyglądasz teraz znowu jak mała dziewczynka.

Rozdział 10

Szkocji bywanie w barach jest - podobnie jak chodzenie na pogrzeby - wyłącznym przywilejem mężczyzn. Kobiety nie są w nich mile widziane i jeśli już jakiś mężczyzna popełnia ten błąd i przyprowadza ze sobą do pubu żonę lub przyjaciółkę, oczekuje się od niego, by wszedł do sali dla stałych gości, dobrze osłoniętej przed spojrzeniami i głośnymi uwagami reszty awanturniczych biesiadników.

Bar „Crimon Arms” w Caple Bridge nie był wyjątkiem od tej reguły. Tego wieczoru widziano nas w chłodnej i odpychającej sali, umeblowanej trzcinowymi krzesłami i stołami, wytapetowanej na pomarańczowo i ozdobionej szeregami gipsowych kaczek oraz okolicznościowym wazonem pełnym plastikowych kwiatów. Był tam też nieczynny gazowy kominek, kilka wielkich firmowych popielniczek i pozostające pod kontrolą, fabrycznie zamknięte pianino. Wskazano nam to miejsce z życzeniami dobrej zabawy. Zdeprymowana i przygnębiona otoczeniem, niejasnymi obawami o Sinclaira i wszystkim, co się wydarzyło, siedziałam czekając na niego. W końcu nadszedł, niosąc małą szklaneczkę sherry dla mnie i dużą whisky dla siebie.

- Dlaczego nie włączyłaś kominka? - zapytał od razu. Pomyślałam o zamkniętym pianinie i atmosferze tchnącej pełną przyganą niechęcią.

- Nie wiedziałam, czy mogę to zrobić.

- Jesteś śmieszna - odpowiedział Sinclair i sięgnąwszy po zapalki przykłęknął, by zapalić płomień w owym gazowym kominku. Po małej eksplozji rozszedł się silny zapach, a potem zapłonęły niewielkie języki ognia i nim minęła minuta, poczułam ciepło wokół kolan.

- Już lepiej?

Wcale nie było mi lepiej. Zimno wciąż przenikało mnie do głębi i nie mogłam się rozgrzać, ale powiedziałam, że oczywiście czuję się już dobrze.

Zadowolony, usiadł na małym trzcinowym krześle stojącym na fantazyjnym chodniku, zapalił papierosa i podniósł swoją szklanę, czyniąc gest w moim kierunku.

- Wypijmy za przyjaźń!

Te słowa wydawały się białą flagą pokoju i pewnie powinnam odpowiedzieć tym samym, ale nie zrobiłam tego. bo nie miałam pewności, czy kiedykolwiek znów będziemy przyjaciółmi.

Sinclair nic już nie mówił. Skończywszy swoją sherry, odstawiłam pustą szklanę i widząc, że on wypił dopiero połowę whisky, powiedziałam, że idę na poszukiwanie damskiej toalety. Chciałam zrobić coś ze

swoją twarzą, nim stanę przed obliczem babci. Powiedział, że poczeka. Zeszłam na dół i znalazłam drogę do toalety dla pań, która okazała się równie nieprzyjemna jak ponura sala na parterze. Spojrzawszy w lustro, zobaczyłam w nim swoje przygnębite odbicie: spuchniętą twarz poplamioną rozmazanym tuszem do rzęs. Umyłam się i znalezionym w kieszeni grzebieniem przeczesalam splecione włosy. Przez cały czas czułam się tak, jakbym przystrajala martwe ciało, jakbym była bohaterką jednej z owych makabrycznych opowieści o amerykańskich karawaniarzach.

Te zabiegi wokół własnej osoby zabrały mi trochę czasu i kiedy wróciłam na górę, stwierdziłam, że niemila sala jest już pusta. Zza drzwi wiodących do sali ogólnej usłyszałam głos Sinclaira, który rozmawiając z barmanem zapewniał go, że miał już okazję pić swoją whisky w lepszym otoczeniu.

Nie mając co ze sobą zrobić, poszłam do samochodu, by tam poczekać na Sinclaira. Padało, a plac targowy, pusty i ciemny jak jezioro, rozświetlały pomarańczowe błyski ulicznych lamp. Siedziałam skurczona i zziębnięta, nie mając choćby tyle siły, by znaleźć i zapalić papierosa. Niebawem w otwartych drzwiach „Crimond Arms” zobaczyłam sylwetkę Sinclaira, który zamknawszy je za sobą, zmierzał przez mokry rynek w moim kierunku. Niósł jakąś gazetę.

Wsunął się za kierownicę, zatrzasnął za sobą drzwi i siedział nieruchomo. Poczulałam zapach whisky i zaczęłam się zastanawiać, ile kieliszków zdażył wypić, kiedy ja myłam w toalecie twarz.

- Czy stało się coś złego?

Nie odpowiedział. Siedział ze spuszczonego wzrokiem. Był blady, a jego długie, gęste rzęsy rzucały cień na policzki.

Ogarnął mnie niepokój.

- Sinclair!

Podał mi gazetę. Był to lokalny dziennik wieczorny, który prawdopodobnie wziął z baru. W świetle ulicznych latarni przeczytałam nagłówek: wypadek autobusowy, fotografia nowo wybranego radnego, informacja o

jakiejs dziewczynie z Thrumbo, która dokonała czegoś w Nowej Zelandii...

I wtedy znalazłam to, calowej wielkości czcionką, w dolnym rogu...

Śmierć znanej narciarki

Wczoraj rano znaleziono ciało Tessy Faraday w jej domu przy Crawley Court w Londynie. 22-letnia panna Faraday była zwyciężczynią Kobięcych Mistrzostw Narciarskich, które odbyły się zimą...

Litery tańczyły mi przed oczami i po chwili rozpląnęły się zupełnie. Zamknęłam oczy, jakbym chciała je zatrzasnąć przed grozą, ale ciemność była jeszcze gorsza i wiedziałam, że nie uwolnię się od tego, co dźwięczało teraz w moim mózgu: „Powiedziała, że znajdzie inne rozwiązanie. Ona ma doświadczenie, to obrotna dziewczyna”.

- ...I zabiła się - powiedziałam głupio.

Otworzyłam oczy. Siedział nieporuszony. Usłyszałam swój własny głos.

- Wiedziałaś, jakie miało być to inne rozwiązanie?

- Myślałam, że mówi o usunięciu ciąży.

Nagle stałam się bardzo mądra. Wszystko wiedziałam.

- Ona wcale nie bała się, że będzie mieć dziecko. To nie tego typu dziewczyna. Zabiła się, bo wiedziała, że już jej, nie kochasz, że masz zamiar ożenić się z inną.

Raptownie obrócił się ku mnie, doprowadzony do pasji i ogarnięty przyływem nagłej furii.

- Zamknij się i nic już o niej nie mów, słyszysz?! Nic nie mów, ani jednego, choćby pojedynczego słowa! Nic o niej nie wiesz i niech ci się nie wydaje, że coś rozumiesz. Nic nie rozumiesz i nikt od ciebie tego nie oczekuje!

Wykrzyczawszy to, uruchomił silnik, zwolnił zaciągnięty hamulec i ze świstem mokrych opon na mokrym bruku wykręcił i przeciąwszy plac, ruszył w kierunku ulicy, która wiodła do drogi wyjazdowej w kierunku Elvie.

Był pijany albo przerażony, bądź wstrząśnięty lub zaszokowany. Być może zresztą wszystko razem. Nie myślał o żadnych przepisach, zasadach ani nawet o zwykłej, naturalnej ostrożności. Uciekał, ścigany przez tysiąc diabłów, a szybkość była jego jedyną obroną.

Z rykiem silnika przejechaliśmy przez wąskie uliczki tego małego miasteczka i niczym rakieta wpadliśmy w ciemność wiejskiego krajobrazu. Rzeczywistość skurczyła się do drogi przed nami, a ciągnąca się wzdłuż niej biała linia i odblaskowe znaki drogowe, zdawały się pędzić wprost na nas, i wszystko zlało się w jedną całość. Nigdy przedtem nie odczuwałam prawdziwego strachu fizycznego, ale teraz uświadomiłam sobie, że zęby zaciskają mi się aż do bólu, a moja stopa tak silnie naciska wymagany hamulec, że grozi mi to zniekształceniem kręgosłupa. Minęliśmy ostatni zakręt przed drogą wiodącą do miejsca, w którym prowadzono roboty drogowe. Paliło się zielone światło, więc by zdążyć przed zmianą Sinclair jeszcze mocniej przycisnął pedał gazu i pomknęliśmy naprzód szybciej niż dotychczas. Uświadomiłam sobie, że się modłę: niech się zapali czerwone! Natychmiast! O Boże, proszę, spraw, żeby zapaliło się czerwone!

I wtedy, zaledwie pięćdziesiąt jardów przed światłami, stał się cud: światło zmieniło się na czerwone. Sinclair nacisnął na hamulec, ja zaś w tym momencie wiedziałam już, co powinnam zrobić. Gdy ze zgrzytem opon lotus w końcu stanął, trzęsąc się otworzyłam drzwiczki po swojej stronie i wysiadłam.

- Co robisz? - zapytał Sinclair.

Stałam w deszczu i ciemności, schwyтана niczym ćma w wolno zbliżające się światła samochodów, które zmierzały ku nam z przeciwnej strony.

- Jestem przerażona! - powiedziałam,

-Wsiadaj z powrotem. Zmokniesz - odparł całkiem uprzejmie.

-Wrócę piechotą.

-To cztery mile...

-Chcę iść.

-Janey... - Przechylił się, jakby chciał wciągnąć mnie do samochodu, ale ja się cofnęłam.

- Dlaczego?

-Powiedziałam ci, boję się. Masz zielone światło, musisz jechać, bo inaczej wstrzymasz cały ruch.

Jakby na potwierdzenie moich słów, mała furgonetka stojąca za samochodem Sinclaira ruszyła do przodu, włączając swój klakson. Wywołało to nieco hałasu, który w innym czasie i miejscu raczej by nas rozbawił.

-W porządku - powiedział w końcu i sięgnawszy do klamki przyciągnął drzwi, wahając się jeszcze przez moment.

- W jednej sprawie miałaś rację, Janey - powiedział.

- W jakiej?

- W sprawie dziecka Tessy. Ono było moje. Zaczęłam płakać. Łzy na mojej twarzy mieszały się z deszczem i nie mogłam nic zrobić, by je powstrzymać. Nie przychodziło mi do głowy nic, co mogłabym powiedzieć, nie miałam sposobu, by mu pomóc. Wtedy drzwi zatrzasnęły się, oddzielając nas od siebie, a w następnej chwili już go nie było. Samochód przejechał przez zator i migające świa tła, coraz szybciej zмирzając w stronę mostu.

Stwierdziłam, że bez powodu - niczym w koszmarnym śnie - w mojej głowie huczy muzyka. To dzwoniąca melodia Sinclaira. Ale teraz było już za późno. Żałowałam, że nie pojechałam razem z nim.

Tańczmy wesoło, skoro tu jesteśmy:

Obcas o obcas, palec o palec,

Ramię przy ramieniu, w równym szeregu...

Właśnie dotarł do mostu. Lotus wskoczył na jego wznoszący się garbniczym mistrz w biegu z przeszkodami. Tylne światła zniknęły nad wygięciem przesała i w następnym momencie cichą noc przesyła zgrzyt hamulców i pisk opon ślizgających się na mokrym podłożu. A potem chrzęst gniecionej metalu i brzęk tłuczonego szkła. Zaczęłam biec - równie bezsensownie, jak osoba obudzona ze snu - potykając się i rozbrzygując kałuże; otoczona przez migające światło i wielki świetlny napis: „Niebezpieczeństwo”. Ale nim dobiegłam sto jardów do mostu, rozległ się miękki, głuchy odgłos eksplozji i na moich oczach cała noc zakwitła różowym pióropuszem płomieni.

* * *

Do pogrzebu Sinclaira nie miałam okazji porozmawiać z babcią. Przed tym obrzędem żadna rozmowa nie była możliwa. Obie znajdowałyśmy się w szoku i instynktownie unikałyśmy wymieniania jego imienia, jakby samo mówienie o Sinclairze mogło otworzyć tamę naszej starannie wstrzymywanej rozpacz. Na dodatek było tak wiele do zrobienia, do załatwienia, należało się spotkać z tyloma ludźmi. Starzy przyjaciele: Gibsonowie, ogrodnik Will, pastor, Jamie Drysdale, stolarz z Thrumbo - ubrani w żałobne stroje, z wyrazem nabożnego przygnębienia - szli w kondukcje. Policja przeprowadzała liczne wywiady. Telefonowało też wielu dziennikarzy. Przysyłano kwiaty i listy kondolencyjne. Tuziny listów. Zaczęłyśmy odpowiadać na nie, ale później dałyśmy sobie spokój i układałyśmy je na mosiężnej tacy w holu.

Moja babcia należała do pokolenia, które nie boi się śmierci i nie przywiązuje wagi do ceremonii. Nalegała na klasyczny, staroświecki pogrzeb i przeszła przezeń bez widocznego wstrząsu, nawet gdy Hamish Gibson, który dostał przepustkę ze swego regimentu, zagrał na kobzie „Kwiaty lasu”. Śpiewała psalmy w kościele, a potem stała przez pół godziny, ściskając ręce różnych osób i pamiętając, by podziękować nawet tym, którzy wykonali najbardziej skromne zadania.

Teraz jednak była zmęczona. Pani Lumley, wyczerpana przeżyciami i długotrwałym stanem, wróciła do swego pokoju, by dać odpocząć spuchniętym nogom. Rozpaliłam więc ogień w salonie, posadziłam babcię przy kominku i poszłam przygotować herbatę.

Stojąc przy rozgrzanej kuchni i czekając, aż zagotuje się woda, niewidzącym wzrokiem patrzyłam przez okno na rozciągający się za nim szary świat. Nadszedł już październik. Było chłodne, bezwietrzne popołudnie. Ani jeden powiew wiatru nie poruszał kilkoma ostatnimi, pozostającymi na drzewach liśćmi. Jezioro, odbijając szare niebo, było gładkie jak tafla srebra, a znajdujące się za nim wzgórza, zdawały się pokryte śliwkowym meszkiem. Możliwe, że jutro albo pojutrze oszroni je pierwszy śnieg - było już przecież wystarczająco chłodno - i zacznie się zima.

Woda się zagotowała, zaparzyłam więc herbatę i zaniiosłam ją do salonu. Brzęk filiżanek i trzask dochodzący z ko minka były tak kojące, jak kojące są wszystkie małe rzeczy w obliczu wielkiej tragedii. Babcia robiła na drutach jakąś dziecięcą, szkarłatno-białą czapeczkę, przeznaczoną na kościelny kiermasz świąteczny. Sądząc, że pragnie ciszy, po stawiłam na stole moją pustą filiżankę, zapaliłam papierosa i czytałam gazetę z recenzją jakiejś nowej sztuki, kiedy nagle przemówiła:

- Czuję się bardzo winna, Jane. Powinnam opowiedzieć ci o Aylwynie tego dnia, gdy siedziałyśmy w ogrodzie i zaczęłaś pytać mnie o niego. Miałam zamiar to zrobić, ale potem coś sprawiło, że się rozmyśliłam. To było głupie z mojej strony.

Złożyłam gazetę. Druty babci brzęczały delikatnie; mówiąc nie odrywała wzroku od robótki.

- Sinclair opowiedział mi...

- Naprawdę? Sądziłam, że może to robi. To dla niego bardzo wiele znaczyło. Bardzo mu zależało, żebyś się dowiedziała. Byłaś zaszokowana?

- Dlaczego miałabym być zaszokowana?

- Z wielu powodów. Po pierwsze dlatego, że Aylwyn był nieuczciwy. Dlatego siedział w więzieniu. I dlatego, że ja starałam się ukryć to przed tobą.

- Chyba lepiej, że to wszystko okrywała tajemnica. Ujawnienie jej nie byłoby dobre ani dla nas, ani dla Aylwyna.

- Zawsze sądziłam, że może twój ojciec opowiedział ci...

- Nie.

-To dobrze o nim świadczy... On wiedział, jak bardzo lubiłaś Sinclira.

Położyłam gazetę na podłodze, sama zaś usiadłam na dywanie przed kominkiem. To doskonałe miejsce do zwierzeń.

- Dlaczego Aylwyn był właśnie taki? Dlaczego nie przypominał ciebie?

- On był Baileyem - odpowiedziała po prostu moja babcia - równie nieudolnym jak wszyscy Baileyowie, ale obdarzony całym wdziękiem świata. Nie mieli pensa, a pomysłów na zarabianie pieniędzy jeszcze mniej niż mieszkańiec

Księżycy.

- Twój mąż też był taki?

- O tak! - Uśmiechnęła się do siebie, jakby przypomniawszy sobie jakiś stary dowcip. - Czy wiesz, co było pierwszą rzeczą, jaka zdarzyła się po naszym ślubie? Mój ojciec spłacił wszystkie jego długi, ale zaciągnięcie kilku następnych nie zabrało mojemu mężowi wiele czasu.

- Kochałaś go?

- Szaleńczo. Ale bardzo szybko przekonałam się, że poślubiłam nieodpowiedzialnego chłopca, który nie miał najmniejszego zamiaru się zmienić.

- Byłaś jednak szczęśliwa.

- Zmarł tak szybko po naszym ślubie, że nie zdążyłam być z nim nieszczęśliwa. Ale wtedy zrozumiałam, że jestem niezależna i postanowiłam, że byłoby lepiej dla moich dzieci, gdybym wszystko zaczęła od nowa, daleko od Baileyów. Kupiłam więc Elvie i tu wychowywałam swoje dzieci. Sądziłam, że wszystko potoczy się inaczej, ale otoczenie nie całkiem eliminuje dziedziczność, cokolwiek nie mówiliby o tym specjaliści od psychologii. Opowiedziałam ci o Aylwynie. Obserwowałam, jak dorastał i coraz bardziej stawał się podobny do swego ojca, i nie było sposobu, by to zmienić. Dorósł, pojechał do Londynu i natychmiast wpadł w finansowe kłopoty. Za każdym razem mu pomagałam, ale nieuchronnie nadszedł dzień, kiedy nie mogłam już pomóc. Wplątał się w jakieś manipulacje akcjami i jego szef powiedział - zresztą całkiem słusznie - że to sprawa dla policji. W końcu przekonałam owego szefa, by jej o tym nie zawiadamiał, on zaś zgodził się na to pod warunkiem, że Aylwyn da słowo, iż nigdy już nie będzie praktykował w Londynie. Oto dlaczego wyjechał do Kanady. Ale oczywiście tam cała sprawa się powtórzyła, a wtedy Aylwyn nie miał już tyle szczęścia. Wiesz, Jane, z pewnością wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby poślubił jakąś praktyczną dziewczynę, która twardo chodziłaby po ziemi i miała tak silny charakter, by i jego przy niej utrzymać. Ale Silvia była tak samo trzpiotowata jak on. Stanowili parę dzieciaków. Przede wszystkim Bóg jeden wie, dlaczego postanowiła go poślubić; może sądziła, że on ma pieniądze. Trudno uwierzyć, że była zakochana, skoro w taki sposób zostawiła Aylwyna i dziecko.

- Dlaczego Aylwyn nigdy nie przyjeżdżał z Kanady?

- Ze względu na Sinclaira. Czasem wyobrażenie o ojcu jest lepsze niż sam ojciec. Sinclair jest... Sinclair był - poprawiła się z ledwie słyszalnym drżeniem w głosie - kolejnym Baileyem. To zdumiewające, jak jeden zły rys przechodzi przez kolejne pokolenia w tej samej rodzinie.

- Masz na myśli cały ten hazard, konie, karty, pożyczki...

- Sinclair rozmawiał z tobą, tak? -Trochę.

- Nie musiał tego robić, wiesz przecież. Miał dobrą pracę i dobrą pensję, on po prostu nie umiał oprzeć się tym emocjom. Ale fakt, że my tego nie rozumiemy, nie powinien nigdy czynić nas nieżyczliwymi, choć czasem myślałam, że Sinclair tylko po to żyje.

- Lubił przyjeżdżać do Elvie.

- Jedynie od czasu do czasu. Nie czuł do niej tego, co czuła twoja matka i... ty. Jakiś czas temu - odwróciła druty i zaczęła następny rząd - zdecydowałam, że byłoby dobrze, gdyby pewnego dnia Elvie stała się twoją własnością. Podoba ci się taki pomysł?

- Ja... Ja nie wiem...

- To był prawdziwy powód, dla którego tak bardzo chciałam, by twój ojciec pozwolił ci przyjechać do domu. Bombardowałam go listami, które ten nikczemnik pozostawiał bez odpowiedzi. Chciałam porozmawiać z tobą o Elvie.

- To wspaniały pomysł - odparłam - ale strasznie boję się posiadania rzeczy... Nie sądzę, bym chciała być skrupowana odpowiedzialnością za takie miejsce, jak Elvie. Nie czułabym się wolna, nie mogłabym jej rzucić i iść taką drogą, jaką chce!

- To brzmi bardzo tchórzliwie i trochę przypomina gadanie twojego ojca. Gdyby był trochę bardziej praktyczny w kwestii posiadania, mógłby tutaj zapuścić korzenie i mieć z tego korzyści. Nie chcesz korzeni, Jane? Nie chcesz wyjść za mąż ani mieć rodziny?

Spojrzałam w ogień i pomyślałam o wielu sprawach. O Sinclairze, o moim ojcu i o... Davidzie. I pomyślałam jeszcze o całym tym świecie, który widziałam, i rozległych przestrzeniach, które miałam wielką nadzieję pewnego dnia zobaczyć. Pomyślałam również o dzieciach w Elvie, moich dzieciach, wychowujących się w tak wspaniałym miejscu i robiących wszystkie te rzeczy, które ja i Sinclair robiliśmy tu kiedyś.

- Nie wiem, czego chcę - powiedziałam w końcu. - Taka jest prawda.

- Nie myślałam, że wiesz. Ale dzisiejszy dzień, gdy żadna z nas nie jest w takim nastroju, który pozwoliłby praktycznie odnieść się do czegokolwiek, to nie najlepszy moment, by to roztrząsać. Powinnaś jednak

o tym pomyśleć. Rozważ wszystkie „za” i „przeciw”. W każdej chwili możemy to wspólnie przedyskutować.

Pień drzewa złamał się i spadł na rozżarzone węgle w kominku. Podniosłam się, by włożyć następny. Gdy już wstałam, pochyliłam się, by wziąć tacę z filiżankami i wynieść ją do kuchni. Gdy dochodziłam do drzwi i zatrzymałam się, manewrując tacą tak, żeby chwycić za klamkę, babcia znów zaczęła mówić:

- Jane.

- Proszę.

Wciąż trzymając tacę, obróciłam się ku niej. Przestała już robić na drutach i zdjęła okulary. Zobaczyłam błękit jej oczu, osadzonych głęboko w bladej twarzy. Nigdy nie widziałam w babci oczach takiego wyrazu i nigdy nie wydawała mi się taka stara.

-Jane... pamiętasz, rozmawialiśmy pewnego dnia o przyjaciółce Sinclaira, Tessie Faraday?

Moje palce zacisnęły się na rączkach tacy, a kostki zbie- lały. Wiedziałam, co teraz nastąpi i modliłam się, aby tak się nie stało.

- Tak, babciu.

- Przeczytałam właśnie w gazecie, że ona nie żyje. Jakieś przedawanie barbituranów. Wiedziałaś o tym?

- Tak, wiedziałam.

- Nie powiedziałaś mi nic.

- Tak, wiem.

- Czy to... czy to miało coś wspólnego z Sinclairem? Nasze spojrzenia biegnące przez pokój spotkały się.

W tym momencie oddałabym swą duszę, by móc umieć przekonywująco kłamać. Nie potrafiłam jednak tego robić, a babcia знаła mnie bardzo dobrze.

- Tak - odpowiedziałam - miała urodzić jego dziecko. Oczy mojej babci wypełniły się łzami. Tylko raz w życiu, w tej jednej chwili, widziałam jej łzy.

Rozdział 11

Następnego popołudnia przyjechał David. Babcia pisała listy, ja zaś zażywałam samotności w ogrodzie i zgodnie z tym, co mi powiedziano, że wysiłek fizyczny jest najlepszą formą terapii przy napięciach psychicznych, zmiatałam zwiędłe liście. Zrobiłam już z nich małą stertę i właśnie miałam przewieźć je taczka, gdy zobaczyłam, że otworzyły się drzwi werandy i wyszedł z nich David, zmierzając w moją stronę.

Przestraszyłam się widząc, jak idzie przez trawę z rozwianym włosom i przez chwilę zastanawiałam się, jak prze-szłybyśmy przez te ostatnie dni bez niego. Zrobił wszystko, doglądał wszystkiego, wszystko załatwił, znajdując nawet czas na rozmowę z moim ojcem, by osobiście poinformować go o śmierci Sinclaira. Wiedziałam, że cokolwiek by się nie stało, zawsze powinnam być mu wdzięczna.

- Jane, co masz zamiar zrobić z tą garstką liści? - zapytał, gdy znalazł się obok mnie.

- Wsypię je na taczkę - odpowiedziałam, ale większość liści rozsypała się, ponownie sfruwając na ziemię.

- Jeśli przyciśniesz je kilkoma gałązkami, pójdzie ci to znacznie sprawniej. Przywiozłem list...

Wyjął go z kieszeni i zobaczyłam, że to list od mojego ojca.

- Skąd go masz?

- Dołączył go do listu napisanego do mnie i prosił, bym ci przekazał.

Zostawiłam taczkę i miotłę. Wyszliśmy z ogrodu i przeskakując małe płotki pastwiska, skierowaliśmy się do starego mola. Tam - nie bez obawy - usiedliśmy obok siebie na zbutwiałych deskach. Otworzyłam list i przeczytałam go na głos Davidowi.

Kochana Jane

Było mi bardzo przykro, gdy dowiedziałem się o Sinclairze i twojej obecności przy jego śmierci. Jestem jednak zadowolony, że mogłaś być z babcią i nie wątpię, że zaopiekowałaś się nią najlepiej, jak tylko mogłaś.

Czuje się winny - a uczucie to towarzyszy mi od chwili twojego wyjazdu - że pozwoliłem ci wrócić do Elvie, nie mówiąc ci wszystkiego, co dotyczyło wujka Aylwyna. Ale jakoś, z wielu przyczyn, także z powodu owego dramatycznego stylu, w jakim wyjechałaś, nigdy nie nadarzyła się ku temu okazja. Prosiłem o to Davida Stewarta i obiecał mi, że będzie miał na oku i ciebie, i całą sytuację...

- Nigdy mi nie opowiadałeś o Aylwynie...

- Bo to nie moja sprawa.

- Ale wiedziałeś.

- Oczywiście, że wiedziałem.

- Wiedziałeś także o Sinclairze.

- Wiedziałem tylko, że wyciągał piekielnie dużo pieniędzy od twojej babci.

- Najgorsze miało jeszcze nadejść, Davidzie.

- Co masz na myśli?

- Sinclair umarł, zostawiając ogromny dług.
- Obawiałem się tego. Jak się dowiedziałas?
- Bo mi o tym powiedział. Opowiedział mi wiele rzeczy -odparłam, wracając do listu.

...Prawda o wujku Aylwynie nie była najważniejszym powodem, dla którego bez entuzjazmu myślałem o twoim powrocie do Elvie, lecz moja całkowita niemal pewność, kim stał się

twój kuzyn Sinclair. Po śmierci twojej matki babcia przekonywała mnie, że powinienem zostawić cię u niej i rzeczywiście wydawało się, że to właściwe rozwiązanie. Była jednak kwestia Sinclaira. Wiedziałem, jak bardzo go lubisz i jak wiele on dla ciebie znaczy. Miałem jednak pewność, że jeśli wciąż będziesz w niego tak zapatrzona, nadejdzie dzień, w którym albo pęknie ci serce, albo prysną twoje złudzenia. Byłoby to bardzo bolesne, jeśli nie wręcz zgubne. Postanowiłem zatem zatrzymać cię przy sobie i przywiozłem do Ameryki...

-Zastanawiam się, co dało mu tę pewność, kim stanie się Sinclair? - rzekł David, przerywając mi czytanie listu.

Pomyślałam o „Przyrodzie ożywionej” Goldsmitha i przez chwilę zastanawiałam się nad opowiedzeniem Davidowi całej tej historii. W końcu jednak nie zrobiłam tego. Książki już nie było. Następnego dnia po śmierci Sinclaira wyciągnęłam ją z szafy, zniosłam na dół i wrzuciłam do paleniska, a potem patrzyłam, jak płonie. Teraz nie pozostał już po niej żaden ślad. Niezależnie od lojalności wobec Sinclaira, najlepiej było o niej zapomnieć.

-Nie wiem... przypuszczam, że intuicja. Zawsze był bardzo spostrzegawczy. Mojego ojca nie sposób omamić.

Wróciłam do czytania.

...To właśnie było też powodem, dla którego zwlekałem z odpowiedzią na prośby twojej babci, byś wróciła do Elvie. Postąpiłbym inaczej, gdyby Sinclair był żonaty, ale wiedziałem, że się nie ożenił i żywiłem dużo obaw.

Przypuszczam, że będziesz chciała zostać jeszcze trochę w Elvie, choć tutaj wszystko bardzo się ożywiło. Sam Carter dba o moje interesy, więc - jak się to mówi - jestem przy forsie i mógłbym sobie nawet pozwolić na kupienie ci powrotnego biletu do słonecznej Kalifornii, gdybyś tylko powiedziała choć jedno słowo. Bardzo za tobą tęsknię. Rusty także. Pudelka Mitzi w niewielkim stopniu rekompensuje mu twoją nieobecność, choć Linda myśli, że kiedy przyjdzie na to odpowiednia pora i księżyc wejdzie w stosowną kwadrę, Mitzi i Rusty szaleńczo zakochają się w sobie i założą własną rodzinę. Ja jednak uważam, że sprawa takiego związku nie opiera się na myśleniu.

Linda miewa się dobrze, uwielbia Reef Point i to, co nazywa prostotą życia. Nieoczekiwanie zaczęła też malować. Nie wiem, czy moje przypuszczenia są słuszne czy nie, ale wydaje mi się, że to, co robi, może okazać się bardzo dobre. Kto wie, a nuż będzie mogła kiedyś utrzymywać mnie na takim poziomie, do jakiego chciałbym się przyzwyczaić (o co nie mógłbym prosić ciebie).

Twój bardzo cię kochający ojciec.

W milczeniu złożyłam list i wsunawszy go z powrotem do koperty, wsadziłam do kieszeni mojego płaszcza.

- To brzmi tak, jakby starał się przekonać ją, by go poślubiła. A może to ona próbuje go nakłonić, żeby się z nią ożenił? Nie jestem pewna...

- powiedziałam po chwili.

- Być może przekonują się nawzajem. Chciałabyś, by tak się stało?

- Tak, sądzę, że tak. Wtedy nie czułabym się już za niego odpowiedzialna. Byłabym wolna.

To słowo zabrzmiało zdumiewająco pusto.

Na starym molo zrobiło się zimno i wstrząsnął mną ' dreszcz. David objął mnie ramieniem, a ja poczułam, jak ogrzewa mnie jego ciepło.

- Może nadszedł więc czas - powiedział - bym zaczął cię przekonywać do małżeństwa z pewnym kiepsko widzącym prowincjonalnym prawnikiem, który uwielbia cię od pierwszej chwili, od pierwszego spojrzenia.

- Wcale nie musiałbyś mnie przekonywać - odpowiedziałam.

Poczułam, że jego wargi musnęły moje włosy.

- Nie miałabyś nic przeciwko zamieszkaniu w Szkocji?

- Nie. Pod warunkiem, że zdobędziesz sobie wielu klientów w Nowym Jorku, Kalifornii, a może jeszcze gdzieś indziej, i obiecasz, że będziesz zabierać mnie ze sobą, udając się na spotkania z nimi.

- To nie powinno być zbyt trudne.

- Byłoby cudownie, gdybym mogła mieć psa. -Oczywiście, że będziesz go mieć... nie kolejnego Ru-

sty'ego, naturalnie, bo on musi pozostać unikatem, ale może któregoś z tej samej linii, o podobnej inteligencji i wdzięku.

Obróciłam się i ukryłam twarz na jego piersi. Bałam się, że oto nadeszła chwila, w której się rozplacę. Ale te obawy były śmieszne. Tylko w powieściach ludzie płaczą ze szczęścia.

- Kocham cię - powiedziałam.

David objął mnie mocno i dopiero wtedy się rozplakałam, ale to nie miało żadnego znaczenia.

Otuleni płaszczem Davida siedzieliśmy tam, planując różne nierealne przedsięwzięcia, takie jak wyprawienie wesela w Reef Point czy zamówienie ślubnej sukni u pani Isabel Modes McKenzi, co nieuchronnie doprowadziło nas do śmiechu. Potem, porzuciwszy te zamiary, snuliśmy zupełnie inne plany. Byliśmy nimi tak zajęci, że nie zauważyliśmy, iż skończył się dzień, a wieczór przyniósł przenikliwy chłód. Tę długą rozmowę przerwała nam babcia, która otworzywszy okno, zawołała nas mówiąc, że herbata jest już gotowa. Wstaliśmy i ścierpięci z zimna ruszyliśmy w stronę domu.

Ogród okrywał mrok i zdawało mi się, że widzę tam jakieś cienie. Nie rozmawialiśmy już o Sinclairze, ale wszędzie czułam jego obecność; obecność nie mężczyzny, ale chłopca, którego pamiętałam. Biegał, miękko skacząc po trawie i wynurzając się z cienia drzew, rozgarniał opadłe liście. Zastanawiałam się, czy Elvie kiedykolwiek uwolni się od niego. Ta myśl mnie zasmuciła, bo cokolwiek by się stało i ktokolwiek tu zamieszka, nie chciałabym, żeby Elvie stała się miejscem, w którym straszycy.

Idący przede mną David zatrzymał się, by zabrać miotłę i taczkę, i postawić je pod klonem. Czekał na mnie, a jego wysoka postać wyraźnie rysowała się w światłach domu.

- Co się stało, Jane? Zobaczyłaś coś?
- Duchy.
- Nie ma tu duchów - odpowiedział.

Rozejrzałam się wokoło i przekonałam, że ma rację. Tylko niebo, woda i wiatr poruszający liście. Żadnych duchów. Weszłam do domu, on zaś ujął moją rękę i razem zasiedliśmy do herbaty.

KONIEC